

M A R C I N

WOLSKI



EWANGELIA  
*według* HERODA

*Ali-Baba*

WYDAWNICTWO 

M A R C I N

**WOLSKI**

**EWANGELIA**

*według* **HERODA**

## ROZDZIAŁI

### STRAŻNIK

Wysoko na niebie pojawił się sęp. Potem drugi, trzeci, czwarty.

Szybowały powoli, tworząc figurę przypominającą romb albo, dla kogoś o bardziej poetyckim usposobieniu, Krzyż Południa.

- Zwiertrzyły padlinę, miejmy nadzieję, że nie naszą! - mawiał w takich momentach Glenn Butler, najlepszy dowódca, jakiego miał do tej pory Joe Carpenter.

Słońce paliło niemilosierdzie, jednak po otwarciu okna do wnętrza samochodu, mocnego landrowera z napędem na cztery koła, wdarł się chłodny powiew, bez śladu zwrotnikowego żaru. Zrozumiałe: znajdowali się ponad dwa tysiące metrów nad poziomem morza.

Świeże powietrze przypomniało Carpenterowi, że upływa już piąta godzina bez papierosa. Postanowił jednak być konsekwentny i nie zapalić aż do południa. I nie chodziło wcale o stosowanie się do zaleceń doktora Lewisa. Zamierzał po raz kolejny udowodnić sam sobie, że potrafi. Zresztą co innego mu zostało poza walką z własnym organizmem? Inne walki definitywnie zakończył. Był na emeryturze i wiedział, że nie ma co marzyć o powrocie do służby. Tamten okres jego życia skończył się idiotycznie, na przedmieściu Gori, wraz z wybuchem przypadkowego pocisku. Nie była to ani jego wojna, ani jego akcja, znalazł się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu, i to wyłącznie ze względu na Maud. Gdyby wierzył, być może zastanawiałby się, kto zabawił się jego losem: Bóg czy szatan? A może wspólnie?... Kiedy wyleczył się z kontuzji i pozbierał się w całkiem nowej dla siebie sytuacji, jego stan zawieszenia w próżni nie trwał długo - znalazł pocieszenie. Mógł nareszcie zająć się tym, od czego oderwała go służba dla

ojczyzny: starożytnością, nierozszyfrowanymi inskrypcjami, zaginionymi językami, tajemnicami, nad którymi łamali sobie głowy rozmaici Deanikenowie i faceci z sekcji specjalnej NSA.

Marzył o tym w młodości, ale wówczas przypominało to jedynie miraż - był za biedny, za mało wygadany, nie miał szans na stypendium, nie dysponował też odpowiednimi znajomościami... Teraz, po blisko trzydziestu latach robienia setek rzeczy z konieczności, osiągnął niezależność - był bogaty: doskonale zainwestowane pieniądze zostawione mu przez Maud przypominały baśniową butelkę niedopitkę. Bez względu na to, ile wyciągał z konta, saldo praktycznie nie ulegało zmianie. I tak James Bond miał szansę zmienić się w Schliemanna. Wystarczyłoby trochę szczęścia. Niestety, pierwsze podejście nie przyniosło satysfakcjonujących efektów. Dwa wielotygodniowe pobyty rok po roku na Saharze okazały się ślepą uliczką. Parę znalezionych artefaktów i klika na wpół zatartych inskrypcji w jaskini to zbyt mało, aby ogłosić odkrycie zaginionej cywilizacji, która, jego zdaniem, MUSIAŁA istnieć wokół śródłądowego morza, jakim w V i IV tysiącleciu było przypominające dziś wysychającą solankę jezioro Czad. Wedle opinii kilku paleohistoryków, to ona dała początek cywilizacji egipskiej, a także legendzie o Atlantydzie, tyle że pochłoniętej nie przez morze, a przez piaski... Może gdyby miejscowe władze nie uznały go za szpiega i nie cofnęły wizy, sprawy potoczyłyby się inaczej?

Cóż, musiał się przyzwycząić, że jego dawne życie rzuciło długi cień na kwestie bieżące. Niemniej uważał, że tu, w Abisynii, powiedzie mu się lepiej. Najważniejsze - miał po co żyć. Owszem, brakowało mu tych strzałów adrenaliny, które przez kilkanaście lat towarzyszyły jego akcjom na Bałkanach, w Iraku czy wreszcie w Afganistanie, gdzie każdy dzień mógł być ostatni. Inna sprawa - niekoniecznie dla niego.

- Widocznie tak już musi być, urodziłem się cywilem i umrę cywilem! - mówił do lustra, wypijając przed snem szklaneczkę bourbona.

Czasami, kiedy przeholował w liczbie szklaneczek, w lustrze pojawiała się Maud. Wyrastała ponad jego lewym ramieniem,

niekiedy jako cień ektoplazmy, czasem wyglądała bardziej realistycznie, ale zawsze blade, jak wtedy na gruzińskiej ziemi, dokąd zaniósł ją reporterska pasja, a on zaofiarował się, że zostanie jej ochroniarzem. Tylko kto mógł ją ochronić przed niespodziewanym rosyjskim ostrzałem?... Ile to już lat minęło? Jeśli lata spędzone w małżeństwie liczą się podwójnie, to lata wdowieństwa pewnie potrójnie...

Krajobraz wokół samochodu przypominał mu jedną z tych rozległych europejskich równin na wschodzie, skąd pochodzili jego przodkowie: ziemia płaska jak stół, spokojna zieleń i drzewa podobne do tych, które rosną w klimacie umiarkowanym, stada pasących się krów, zbiorowiska chałup, choć dopiero przy zbliżeniu wychodziła na jaw ich odmienność. W Europie nikt nie buduje okrągłych chat krytych słomą. Poza tym wiedział, że wrażenie wielkiego niżu jest zwodnicze; za każdym zakrętem mógł ujawnić się przepaścisty kanion o rudych ścianach, którego dołem, w zależności od suszy bądź opadów, ciekła lub kotłowała się rzeka.

Zamknął okno, widząc zbliżającą się z naprzeciwka ciężarówkę; na moment kurz z szutrowej drogi przysłonił wszystko duszącym woalem, szybko jednak opadł.

Kurz zresztą nie był czymś najgorszym, czego mógł się obawiać. Wiele mówiono mu o urokach pory deszczowej, która czyniła drogi, a raczej bezdroża abisyńskie kompletnie nieprzejezdnymi. Na szczęście tego roku pora deszczowa skończyła się już z początkiem września, co dostarczyło argumentów apostołom globalnego ocieplenia, choć realiści twierdzili, że takie anomalie powtarzają się w tych stronach cyklicznie.

Po chwili kierowca o krótkim imieniu Des skręcił w boczną drożynę, która doprowadziła ich nad skraj urwiska, z którego rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na przepaścistą dolinę.

- Debre Damo! Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział Abisyń-czyk, co niewątpliwie oznaczało, że czeka ich jeszcze żmudny zjazd na dno parowu.

Joe specjalnie wynajął szofera mówiącego wyłącznie po

amharsku, miał bowiem ochotę podszkolić się w owej niezwyklej mowie głównej grupy etnicznej Abisynii i dodać do swej bogatej kolekcji, obejmującej język urdu, pasztuński i serbsko-chorwacki, znajomość oryginalnej mowy dumnych Etiopów.

Droga opuszczała się serpentynami po nieomal pionowej ścianie. Rosło ciśnienie w uszach i podnosiła się temperatura. Za pomocą lornetki odnalazł klasztor, przypominający kapelusz grzybka usadowionego na prawie pionowej maczudze skalnej.

Podobno pierwszy mnich przybyły w te strony, nazywany Abuna Aregawi, jeden z Dziewięciu Świętych, którzy w IV wieku przynieśli do Etiopii chrześcijaństwo, aby trafić na ów szczyt, musiał skorzystać z usług uprzejmego węża, który posłużył mu za linę. Choć nie jest wykluczone, że dla ułatwienia komunikacji wyrosły mu skrzydła, jak *jego* świątobliwemu koledze Teklemu Haimanotowi z Debre Libanos, który tym cudownym sposobem wybrał się na pielgrzymkę do Jerozolimy. Warto pamiętać, że w owym locie towarzyszyła mu jego własna noga, która choć wcześniej utracona, poruszała się także dzięki parze mniejszych skrzydełek, idąc w zawody z „łapką” z *Rodziny Adamsów*.

Na tylnym siedzeniu poruszyła się Salam. Ciemnoskóra przewodniczka większość drogi przespala zwinięta w kłębek jak kot. Bardzo źle znosiła podróż samochodem, tak że co chwila musieli stawać z powodu nachodzących ją torsji. Na szczęście po zażyciu lekarstwa usnęła.

- Wysiadamy? - zapytała, a kiedy potwierdził, dorzuciła: - Miałam cudowny sen. Śnił mi się rajski ogród i anioły...

- Jeszcze kwadrans - powiedział kierowca, odwracając głowę - i lepiej nie otwieraj oczu!

Stanęli wreszcie. Wyskoczyła pierwsza, zwinna jak gazela, a Joe, mimo iż przebywał z nią od trzech dni, nie mógł wyjść w zachwyty.

Powiedzieć o Salam „piękna” to albo być ślepym, albo nie posiadać dostatecznego zasobu przymiotników. Abisyńska dziewczyna była *trudno wyobrażalnym* przykładem

doskonałości łączącej urok młodości z w pełni rozkwitłą urodą. Szczupła, choć nie chuda, nieomal dorównywała wzrostem Carpenterowi, jej wąska pęcina przywodziła na myśl szlachetną klacz, a zuchwałe piersi, odważnie napierające na bawełniany T-shirt, przypominały „dwoje bliźniąt sarnich, które się pasą między lilijami”, jak głosi Salomonowy erotyk. Jej twarz, wcielenie łagodności, ale zarazem charakteru, mogła należeć do miss Europy, która z jakiegoś powodu dała się wykapać w cudownej mlecznej czekoladzie. Jeśli dodać do tego żywą inteligencję, poczucie humoru i nieprawdopodobny talent do języków, można było otrzymać chodzącą doskonałość. Przy swoich dwudziestu pięciu latach zdążyła już ukończyć studia w Addis Abebie, a także zaliczyć półroczny staż na uniwersytecie w Izraelu, i właśnie kończyła doktorat dotyczący kształtowania się wczesnego alfabetu etiopskiego, jego relacji z arabskim, starohebrajskim, greką oraz pismami ortodoksyjnych Kościołów Zakaukazia.

Jak dotąd nie opowiadała o swoim dzieciństwie. Raz napomknęła, że pochodzi ze wsi - „jak prawie wszyscy”. Oglądając ubogie przysiółki rozsiane przy drodze, zawsze, pełne dzieciaków i kobiet krzątających się w obejściach, Joe jakoś nie mógł wyobrazić sobie jej bosej, chodzącej po rozmięklej glinie, maszerującej kilometrami w podartej sukience z plastikową bańką pełną wody na głowie albo śpiącej wśród domowego inwentarza, w okrągłej chałupce, na umieszczonym ponad zagrodą dla bydła zebu posłaniu, które musiała dzielić z sześciorgiem innych bachorów. Później dowiedział się, że urodziła się w mieście, a na wsi musiała się schronić, kiedy jej ojciec, doktor Mikael Abbá- di, został zamordowany przez komunistów. Matka zmarła dopiero rok temu.

Sądząc po wymienionych mailach, był przekonany, że przydzielił mu kogoś starszego. Ale już po pierwszym spotkaniu nie protestował. Co więcej, do jego naukowej pasji dołączyła z trudem utrzymywana w ryzach chęćka poderwania cudnej Abisynki.

Nie wydawało mu się to trudne. Należał do mężczyzn, którzy

podobają się kobietom. Sylwetkę nadal miał imponującą, utykania prawie nie było widać, a pasemka siwizny na skroniach, zdaniem młodych niewiast, których nigdy mu nie brakowało, dodawały mu jedynie powabu. To, że był od Salam ponad dwa razy starszy, też nie stanowiło problemu. W swych działaniach uwodził, często w celach służbowych, kobiety znacznie młodsze.

A jednak w ciągu pięciu dni nie skrócił dystansu do niej ani o centymetr. Uprzejmie dziękowała za komplementy, ale jeżyła się jak dzikie zwierzątko, gdy próbował ją dotknąć. Nie piła i nie chciała poruszać tematów osobistych.

„Lesba? W Abisynii? Niemożliwe!”

Jednak u podnóża Debre Damo co innego zaprzętało mu głowę: pewien trop, na pozór błahy, jednak zdefiniowany przez jego intuicję jako ważny.

Powszechnie uważa się, że era wielkich odkryć minęła, nieprawdopodobne wydaje się dziś odnalezienie grobu jakiegoś Tutanchamona czy zaginionego miasta. Carpenter nie podzielał tej opinii. Etiopia była, jego zdaniem, idealnym miejscem dla poszukiwań, które jeszcze mogły zadziwić świat. Wykopaliska archeologiczne prowadzono tu rzadko i niesystematycznie, a całe regiony leżały nietknięte, czekając na pierwszą łopatę badacza. Jedyny problem polegał na tym, że autochtoni niechętnie dzielili się swymi tajemnicami z obcymi. Tak było ze słynną Arką Przymierza. Mieszkańcy Etiopii uważają, że od czasów Menelika, syna Salomona i królowej Saby, który wykradł ją ze Świątyni Jerozolimskiej, skrzynia z manną, Dziesięciorgiem przykazań i laską Mojżesza znajduje się w Aksum, w najświętszym miejscu świątyni, pilnowana przez jednego, dożywotniego strażnika, i jeśli jest pokazywana komukolwiek, to w okryciu. W dodatku nie ma pewności, czy jest to oryginał. W każdej świątyni Abisynii znajduje się przecież kopia Arki, również niedemonstrowana postronnym, choć wynoszona z okazji świąt (w obwolicie!).

Czy jest to jednak złota skrzynia z czterema aniołami na rogach, zdolna razić zuchwałców gromami? Można mieć co do tego wątpliwości. Wśród pamiątek oferowanych przez



namolnych przekupniów Joe widywał liczne miniaturki Arki w kształcie małej bizantyjskiej świątynki ozdobionej ikonami, która w niczym nie była podobna do biblijnego artefaktu.

Carpenter wiele by dał, by móc zweryfikować prawdziwość legendy. Spędził trzy dni w Aksum, obejrzał miejscowe muzeum pełne ksiąg, szat liturgicznych, krzyży i koron dawnych monarchów, których imion nie sposób zapamiętać, dotarł oczywiście do muru całkiem nowoczesnej świątyni wzniesionej przez nieszczęsnego Hajle Sellasjego, za którym ukrywał się bezcenny obiekt, zobaczył nawet legendarnego strażnika przyodzianego w żółtą opończę, który właśnie wychodził zaczerpnąć świeżego powietrza i pogadać przez płot z jakimś swoim ziomkiem, ale to wszystko.

Nie było sumy, za jaką mógłby zbliżyć się bardziej do świętego miejsca, choć gotów był na każdą łapówkę!

Nie na wiele też mogła się przydać specjalistyczna aparatura, w którą się zaopatrzył, wykorzystując dawniejsze służbowe kontakty. Metalowy wąż zakończony miniaturową kamerą mógł dokonać skutecznej penetracji każdego wnętrza, ale w pierwszej kolejności należało się zbliżyć, oczywiście bez świadków, przynajmniej na pięć metrów do celu. W dzień zakrawało to na niepodobiestwo, a nocą cały teren był zamykany, spuszczano psy, a strażnicy wydawali się cierpieć na bezsenność.

Jedyny w miarę skuteczny pomysł, jaki przychodził mu do głowy, to użycie gazu usypiającego wobec pilnujących oraz helikoptera, aby oddalić się z miejsca przestępstwa. Wątpliwe jednak, czy uciekłyby daleko. Arka Przymierza stanowiła świętość dla trzech głównych religii monoteistycznych, a na zadzieranie z chrześcijaństwem, islamem i judaizmem naraz nie stać było żadnego zuchwalca.

Jednak pobyt w Aksum nie był całkiem bezowocny. W pobliżu dawnego pałacu królowej Saby (w istocie młodszego od legendarnej władczyni o ponad półtora tysiąca lat) natrafił na garnek ze złotymi ozdobami, ukryty najwyraźniej w czasie któregoś z najazdów arabskich w średniowieczu.

Odkrycie umożliwił schowany w podeszwie jego buta miniaturowy wykrywacz metali. Pozwalał on prowadzić

poszukiwania bez zwracania niczyjej uwagi. Specjalne urządzenie przetwarzało pomiar na wibracje odczuwane przez skórę na brzuchu badającego. Jednocześnie na podstawie elektronicznego zapisu można było odczytać w laptopie kształt znaleziska, jego skład, a także prawdopodobną głębokość, na jakiej się znajdowało. Do półtora metra.

W tym wypadku średniowieczne precjoza dzieliło od powierzchni ziemi sto dwadzieścia pięć centymetrów, więc Joe bez trudu wykopał je nad ranem za pomocą zwykłej saperki. Świadomość, że dokonuje zwyczajnej grabieży, łagodziła myśl, że gdyby nie on, znalezisko leżałoby w glebie następne tysiąc lat.

Jednak ważniejsza okazała się pewna rozmowa, jaką przeprowadził z wyjątkowo gadatliwym ochroniarzem muzeum w Aksum, żyłastym kurduplem z karabinem, który musiał pamiętać jeszcze czasy bitwy pod Aduą. Jego rozmowność była zresztą wprost proporcjonalna do gratyfikacji. Okazało się, że dożywołność strażników Arki nie jest stuprocentowa. Dwadzieścia parę lat temu ówczesny cerber doznał pomieszania zmysłów i został zwolniony z pracy.

- Może dotknął Arki, może do niej zajrzał, a może po prostu zbyt długo przebywał w jej bliskości - opowiadał ciągnięty za język tubylec.

- I co się z nim potem stało?

- Znalazł schronienie w jakimś odległym klasztorze, gdzie jego wizje na temat rychłego końca świata nie robiły wrażenia.

- A miał wizje?

- I to jakie! Paru słuchających osiwiowało po godzinie rozmowy.

Jeden dzień zabrało Carpenterowi ustalenie, że monastyr, o którym mówił ochroniarz, to Debre Damo. To wyznaczyło dalszy etap jego wyprawy. Wprawdzie obłąkany mnich od dobrych kilkunastu lat nie żył, można było jednak mieć nadzieję, że żyją świadkowie jego wizji, a wśród opowieści wyczuł też sugestię, że „wariat” zostawił po sobie jakieś zapiski...

Salam jako kobieta nie mogła mu towarzyszyć w drodze na

szczyt skały, do męskiego monasteru objętego klauzurą; inna sprawa, że wciąganie na linie zupełnie jej nie fascynowało. Na odchodnym zapisała na wydartej z jakiegoś bloczka kartce kilka zwrotów przydatnych w ekumenicznym dialogu.

W trakcie wciągania Carpenterowi przypomniała się pewna operacja desantowa w Iraku, jednak dawne wspomnienia ustąpiły, kiedy po zdjęciu butów znalazł się w wyłożonej dywanami świątyni.

Już wcześniej zauważył, że dużo łatwiej nawiązuje rozmowę z miejscowymi, jeśli zamiast w roli turysty występuje jako „brat w wierze”. Na tę okoliczność miał przygotowaną legendę „protestanckiego pastora poszukującego światła”. W dodatku pastora, któremu nieobca była myśl przejścia na jedynie słuszną wiarę. Sprawdziło się to kiedyś w Meksyku, czemu nie miało się powieść teraz?

Ortodoksów zachwycała perspektywa ewentualnej konwersji, toteż podejmowali Carpentera całe popołudnie, zaprosili na zbiorową wieczerzę i nalegali, aby spał pospołu z nimi.

Salam, z którą połączył się za pośrednictwem komórki (zadziwiające, jak gęsto w Etiopii powyrastały wznoszone przez Chińczyków wieże telefoniczne), miała spędzić noc w hotelu w Adigracie i wrócić po niego koło południa. Miał nadzieję do tego czasu dowiedzieć się wszystkiego.

Najbardziej rozmowny okazał się miejscowy przeor, sędziwy mnich mówiący całkiem niezłe po włosku, który wprawdzie o wizjach nieboszczyka strażnika rozmawiać nie chciał, ale gotów był, w zamian za ofiarę na klasztor, pokazać jego zapiski.

- I tak są nie do odczytania - skomentował.

Nie było ich wiele, cienki zeszyt. Strażnik sporządził je około dwudziestu lat temu, w czasie chwilowego oprzytomnienia, po czym zapadł w ponowną katatonię, z której uwolnił go dopiero anioł śmierci.

Joe nie próbował nawet wycygnąć owych notatek. Obrócił jedynie swój cebulasty zegarek na drugą stronę przegubu, po czym za pomocą ukrytego w nim szerokokątnego skanera skopiował stronę po stronie... Mnisi zdawali się tego nie zauważać.

W południe przyjechał po niego sam Des; Salam podobno wołała uniknąć jazdy po górskich serpentynach, toteż pozostała w hotelu. W parę godzin dojechali do Adigratu, sporej miejscowości, w której barwne stroje kobiet o częściowo zakrytych twarzach przypominały o bliskim sąsiedztwie islamskiej Erytrei.

Salam czekała na nich w hotelowej restauracji. Czują się już całkiem dobrze i pałaszowała jakąś miejscową sałatkę, przegryzając indżerę, rodzajem etiopskiego naleśnika zwiniętego na podobieństwo ręcznika z łaźni parowej, którego Carpenter nigdy by nie wziął do ust. Chyba żeby musiał. Podczas akcji w terenie zdarzało mu się spożywać rzeczy zdecydowanie mniej apetyczne. Sam hotel prezentował się dość obskurnie i niewart był ani jednej gwiazdki (w przewodniku oznaczono go trzema), co stało się powodem wielkiej awantury portiera z grupą Niemców, którzy zjechali pod wieczór. Ponieważ jednak w miasteczku nie było hotelowej alternatywy, po jakimś czasie Germańcy zmiękli, pokrzepiając się wielką ilością dobrze zmrożonego piwa Saint George, którego nigdzie w Etiopii nie brakowało.

Tymczasem Joe przelał zawartość mikroskanera do laptopa, potem wyciągnął małą drukarkę, a gotowy wydruk zaniósł Salam, która zajmowała pokój obok niego.

- Pozwolili ci skopiować? - zdziwiła się dziewczyna.

Kiwnął głową, licząc, że poniecha pytań o dalsze szczegóły. Nie pytała. Ze zmarszczonymi brewkami usiłowała odczytać tekst.

- To alfabet ge'ez - powiedziała wreszcie - starożytna wersja amharskiego. Wszystkie litery się zgadzają, tylko całość nie ma najmniejszego sensu. Wygląda na jakiś szyfr...

- Szyfr?... Szyfr mówisz? - Niewiele myśląc, w łazience zdjął ze ściany lusterko i pochylił nad tekstem. - A teraz? Spójrz na odbicie tekstu.

- Teraz... - Jego gwałtowność w działaniu wyraźnie ją zaskoczyła. - Teraz chyba będę mogła to odczytać, autor pisał najwyraźniej od prawej do lewej... Tylko jak na to wpadłeś?

- Metoda jest stara jak świat, stosował ją już Leonardo da

Vinci. Ma jednak pewien drobny mankament: jeśli stosuje ją praworęczny autor, mimowolnie rozmazuje to, co już napisał... Widzisz, tu i tu zostały ślady.

- Widzę. Będę miała jeszcze jeden drobny problem. Tekst nie został napisany po amharsku, a w języku tigre, używanym w tych okolicach.

- Podobno go znasz?

- Wersję współczesną oczywiście, jednak aby to wszystko dokładnie odczytać, będę potrzebowała trochę czasu i dobrego słownika...

- Nie będę cię poganiał. A na razie spróbuj przetłumaczyć z grubsza, co tu zostało napisane.

Zostawił ją w pokoju, a sam wyszedł na miasto. Mimo późnego popołudnia i dość wysokiego położenia - Adigrat leży na wysokości blisko dwóch i pół tysiąca metrów nad poziomem morza - panował spory żar. Po centralnym placu snuło się niewielu ludzi, a kramy nie oferowały niczego szczególnego do kupienia.

Starając się trzymać cienia i nie reagować na nagabywania żebraków i przekupniów, zadawał sobie pytanie, czego właściwie spodziewa się po manuskrypcie. Potwierdzenia, że Arka jest w Aksum? A jeśli jest?... Z jakiej epoki naprawdę może pochodzić? A nawet jeśli to ta właściwa, trudno było mu uwierzyć w jakieś niezwykle właściwości.

Wiarę stracił bardzo dawno temu. Czy do końca? Niezliczone przykłady nakazywały mu wierzyć w istnienie ponadrozumowej mocy wypełniającej wszechświat, jednak od tego do wiary w dobrotliwego pana z brodą i rytuału niedzielnych mszy było bardzo daleko.

Bywały sytuacje, że zazdrościł ludziom wierzącym, zwłaszcza podczas walki, kiedy wystrzelał wszystkie naboje i liczył minuty do chwili, w której go znajdą i zabiją, albo w tej piwnicy w Meksyku, kiedy czekał na niechybną egzekucję. Gruby Sam, Murzyn z Luizjany, uważany dotąd za niebywałego twardziela, pół nocy memlał modlitwy. Wtedy dało to efekt. Latająca kawaleria Stanów Zjednoczonych jeszcze raz zgotowała *happy end*. Inna sprawa, że ta wspaniała wiara nie uratowała Grubego

Sama w Afganistanie.

Maud, jego żona, też wierzyła, choć bez szczególnej manifestacji swych przekonań. Tylko czy w czymś jej to pomogło?

Jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, że przechadza się teraz po zielonych łąkach raj. Chociaż bardzo chciałby, żeby tak było. Żeby kres życia nie był zwyczajnym zgaszeniem światła. Definitywnym zamknięciem wszystkich spraw.

Gdyby w Aksum naprawdę była Arka Przymierza...

Nieoczekiwanie pojawił się obok niego kierowca Des.

- Niedobrze, niedobrze! - powtarzał po amharsku.

Zdołał zrozumieć, że nie mogąc doczekać się jego powrotu, Salam wyszła z pokoju i stała się obiektem zaczepek podpitych Niemców.

- Zbierz nasze rzeczy i zapal samochód! - rzucił do szofera.

Dobiegł do hotelowej knajpy. Autochtoni gdzieś się pochowali, a podpici turyści otaczali wianuszkami Salam, wyraźnie przerażoną.

- Chcemy tylko zobaczyć twoje czarne cycuszki - perorował wielki jak szafa amator kwaśnych jabłek.

- A może chcesz zobaczyć moje? - zaproponował Joe po niemiecku.

Odwrócili się. Zarechotali. Wysoki, ale niespecjalnie barczysty starszy pan nie wydawał się im kandydatem na poważnego przeciwnika.

- Nie wcinaj się, dziadku! - powiedział z boku okrągłutki okularnik, bardziej trzeźwy niż reszta towarzystwa.- Po co masz oberwać?

- Ależ nie, zapraszamy do zabawy. - Szafopodobny wypuścił Salam i ruszył w stronę Carpentera, wymachując pięściami wielkimi jak bochny.

- Pokaż mu, gdzie raki zimują, Rudi! - podburzali go pozostali.

Zabawa trwała krócej niż przerwa na reklamy w telewizji. Chwilę

później Rudi leżał na ziemi, skowycząc:

- Złamał mi rękę, złamał mi rękę!

Pozostali, mimo że puścili się kupą, chwytając stolki i sztućce, też oberwali za swoje. Z wybitych zębów tubylcy mogliby złożyć całkiem ładny naszyjnik. Do listy uszkodzeń należało jeszcze dołączyć kilka rozbitych nosów i żeber, jeden wstrząs mózgu po upadku ze schodów oraz liczne drzazgi z połamanego stołu w grzbiecie kolejnego osiłka. Joe oszczędził jedynie tłustego okularnika, który nie kwapił się do walki, tylko dygocząc jak osika, powtarzał:

- Nie bij, nie bij!

Chyba od czasu Stalingradu nikt nie załatwił Germańców równie skutecznie.

Za kontuar, zza którego powoli gramolił się barman, Joe rzucił dwa tysiące birrów, wołając:

- Proszę wszystko dopisać do mojego rachunku! - po czym pociągnął osłupiałą Salam za sobą.

- Ale nasze rzeczy...

- Des już się nimi zajął!

Rzeczywiście, wszystko znajdowało się już w samochodzie gotowym do drogi. Ruszyli z piskiem opon, przekraczając wszelkie dozwolone prędkości.

- Dlaczego uciekamy? - zapytała Etiopka, kiedy wreszcie minął jej stupor. - Przecież to oni zaatakowali.

- Nie lubię za dużo się tłumaczyć przed przedstawicielami władzy - odparł Joe.

Była to tylko część prawdy. Od lat w swych działaniach kierował się dość prostą zasadą: „Jak najmniej kontaktów z policją”. Nie miał ochoty, żeby jakiś przypadkowy bystry gliniarz odkrył jego prawdziwą tożsamość albo, co gorsza, zainteresował się bagażami. Szpiegowski sprzęt, przywłaszczony artefakty, kopia pamiątnika... Drogo mogłoby to ich kosztować.

Większość podróży Salam przespała. Zbudziła się tylko raz, kiedy Des musiał ostro zahamować, by nie wpaść na dorodnego serwala, który znalazł się na drodze i na moment znieruchomiał, oślepiony reflektorami.

Poprosiła o wodę, a potem powiedziała:

- Przepraszam, Joe, byłam w szoku i nawet ci nie

podziękowałam za to, co zrobiłeś w mojej obronie.

- Drobiazg! Zawsze do usług - odparł, żałując, że nie siedzi na tylnym siedzeniu i nie może przygarnąć dziewczyny do siebie.

Nad ranem przez nikogo niezatrzymywani dotarli do niewielkiego lotniska w Mekele, gdzie w startującym o świcie samolocie do Addis Abeby czekało zarezerwowane miejsce dla pana Maria Bonettiego (tymi dokumentami postanowił aktualnie się posługiwać). Aby upodobnić się do fotografii w swoim nowym paszporcie, Joe założył siwą perukę, dokleił szpicbródkę, nałożył ohydne rogowe okulary z pierwszej połowy XX wieku i pożegnał się ze współpracownikami.

- A my?! - zapytała Salam. - Nie lecimy z tobą?

- Niestety. Czeka was długa droga we własnym towarzystwie. I tak musicie odstawić samochód. Poza tym gdybyśmy oboje wsiedli do samolotu, mieliby nas od razu na widelcu, a tak nikt nie zwróci uwagi na samotnego białasa... Jeśli będą was pytać o ten incydent no i o to, co stało się ze mną, powiecie, że zmieniłem plany i udałem się okazją do Erytrei.

- A moje tłumaczenie tego pamiętnika? W hotelu zupełnie mi nie szło...

- Nie mam zamiaru rezygnować z wykorzystania twoich umiejętności, Salam - odparł z uśmiechem. - Za pięć dni spotkamy się w restauracji „Lucy” przy Muzeum Narodowym.

W zasadzie nie była mu potrzebna, mógł znaleźć wielu tłumaczy biegłych od niej, ale jakoś nie chciał kończyć tej znajomości. Zwłaszcza że pozostała nieskonsumowana.



## ROZDZIAŁ II

### PROROCTWO

Nikt przytomny nie popełnia zbrodni wyłącznie dla zabicia czasu. Choć niekiedy nie ma innego wyjścia!” - brzmiało inne ulubione powiedzonko Glenna Butlera.

Czas oczekiwania na przybycie Salam Joe wykorzystał dość pracowicie. W swoich połowach nigdy nie ograniczał się do zarzucania jednej wędki i ta metoda doczekała się nagrody. Plon dwudniowego wypadu na południe od stolicy do monasteru Mount Zuqualla Maryam był imponujący.

Wprawdzie sama budowla pochodziła „tylko” z XII wieku, ale legendy łączyły jej powstanie ze świętym Merkuriuszem, który osiadł tam już w IV stuleciu. Mało kto też wie, że ów święty, oczywiście pod warunkiem że nie był jedynie wytworem ludowej inwencji, zajmował się poszukiwaniem śladów pobytu Świętej Rodziny w Abisynii. Zaginiona Ewangelia świętego Józefa wspominała, że uciekając przed siepaczami Heroda, Maria, Józef i malutki Jezus dotarli aż do Etiopii i tam przyszedł Zbawiciel spędził dzieciństwo.

W opowieściach o Merkuriuszu mowa jest, że był on w posiadaniu tego dzieła i raczej nie chodziło o *Żywot Józefa Cieśli*, która to praca powstała później. Co prawda jeśli nawet wspomniana Ewangelia tam istniała, to z pewnością musiała zostać zniszczona podczas najazdów arabskich - Carpenter wszelako nie tracił nadziei, że natrafi na jakiś jej ślad, podania bowiem uparcie twierdziły, że księga ta ciągle znajduje się w klasztorze.

Carpenter posiadał doskonale sfalszowane dokumenty i upoważnienia dla doktora Maria Bonettiego z dwóch watykańskich kongregacji, które na miejscowych duchownych robiły wielkie wrażenie. A kiedy poufnie nadmienił, że *de facto* jest tajnym wysłannikiem Jego Świątobliwości przed

zapowiadaną od lat wizytą papieża w Abisynii, wszystkie tajemnice klasztoru stały przed nim otworem.

Tutejszy księgozbiór nie był liczny i przechowywano go w dość niedbałych warunkach, których widok zachodnim bibliofilom i konserwatorom niechybnie zjeżyłby włosy na głowie. Kodeksy z barwnymi iluminacjami, księgi z prymitywnym zapisem nutowym, wreszcie, co ciekawe, kilka pergaminów arabskich - wszystko to leżało na kupie razem z zabytkowymi wieloramiennymi krzyżami etiopskimi i naczyniami liturgicznymi, czekając, kiedy wreszcie powstanie muzeum.

Joe uważnie oglądał i naturalnie skanował wszystko, co wpadło mu w ręce, łącznie z iluminacjami, często bowiem w rycinach zachowywały się rzeczy, które z jakiegoś powodu pominięto w manuskrypcie. Atoli nie znalazł niczego poza wizerunkiem Merkuriusza klęczącego przed wizją Świętej Rodziny na osiołku. U jego stóp leżała księga. Na koniec bardziej z wrodzonej konsekwencji niż w przypływie szczególnej nadziei sięgnął po pisma arabskie. Od razu rozpoznał sury Koranu. Ale... Pergamin wydał się cieńszy niż zwykle i już po chwili nie wątpił, że widoczny arabski tekst jest palimpsestem. Coś było napisane na pergaminie wcześniej, a następnie pieczołowicie wyskrobane, jak zapewne sądzili zwolennicy wielokrotnego używania pergaminu - bezpowrotnie. Jednak od ich czasów technika poszła znacznie naprzód.

Korzystając, że przeor pozostawił go samego, Carpenter spryskał kartę sprayem i włączył detektor podczerwieni. Pojawiły się litery, greckie. Wzruszenie chwyciło go za gardło, kiedy czytał: „W trzecim roku wygnania, kiedy Jezus ukończył lat cztery, wielka plaga szarańczy nawiedziła kraj Szeby...”.

Niestety, z tekstu apokryficznej Ewangelii zachowały się jedynie dwie kartki, inne zapisane po arabsku pergaminy nie nosiły śladów powtórnego użycia. Mimo to trudno było przecenić wagę odkrycia. W dodatku Carpenterowi udało się wycygnąć „te bezwartościowe rękopisy muzulmańskie” za śmieszną kwotę dziesięciu tysięcy dolarów, która dobrotliwemu

archimandrycie wydała się prawdziwą fortuną.

Joe wrócił do Addis Abeby i tam poświęcił się lekturze. Stylistyka wskazywała rzeczywiście na IV wiek: autor miał doskonale rozeznanie w warunkach panujących w Etiopii, a opowieści o małym Jezusie były po prostu urocze. Z tekstu wynikało, że Świętej Rodzinie udzielił schronienia sam władca kraju, tożsamy z Baltazarem, jednym z Trzech Króli, którzy prowadzeni Gwiazdą Betlejemską złożyli hołd Dzieciątku w Betlejem. W opowieści nie brakowało cudów w rodzaju jazdy na lwie czy podniebnej żeglugi na orłosepie, a pojedynek pięcio- czy sześćoletniego Jezusa z nadwornym magiem, wygrany zdecydowanie przez Nazareńczyka, przypominał najlepsze fragmenty kina akcji. Niestety, odcyfrowany rękopis urywał się, nie wyjaśniając kulisów powrotu Rodziny do Ziemi Świętej ani końca panowania Baltazara, które, jak można wywnioskować, musiało być dramatyczne.

Przez moment Carpenter zastanawiał się, czy nie przerwać podróży i nie powrócić do Stanów, aby ogłosić swoje odkrycie. Przesądziła uroda etiopskiej tłumaczki i wrodzona niechęć do pozostawiania spraw niezakończonych.

Dlatego 19 września o umówionej godzinie zasiadł w ogródku restauracji „Lucy” przy ulicy Króla Jerzego VI. Lokal zawdzięczał swoją nazwę najsłynniejszej Abisyńce, jeśli można tak nazwać najstarszego hominida sprzed trzech milionów lat, którego szczątki, a także zrekonstruowaną postać można podziwiać w pobliskim Muzeum Narodowym. „Lucy” często określa się mianem praprababki dzisiejszej ludzkości, choć niektórzy twierdzą, że zmarła w wieku siedemnastu lat istota mogła być dziewcziną. Carpentera jednak nie fascynowała ta historia, zdecydowanie wolał wersję z Adamem i Ewą.

Salam, objuczona torbą (zapewne ze słownikami), dostrzegła Amerykanina natychmiast, jako że powrócił już do doskonale znanej jej postaci playboya w sile wieku. Próbował z uśmiechu dziewczyny wywnioskować, czy choć trochę stęskniła się za nim, czy jedynie pragnie jak najszybciej zabrać się do pracy, ale nie udało mu się tego ustalić.

Zjedli lekki obiad, po czym pojechali do domku na

przedmieściu Addis Abeby, który Joe wynajął na dwa tygodnie.

- W hotelu nie mielibyśmy komfortu niezakłóconej pracy – powiedział.

Nie oponowała.

Po drodze zdała relację ze swej długiej podróży. Okazało się, że środki bezpieczeństwa były niepotrzebne. Nikt bojowego jankesa nie szukał ani nie zatrzymywał samochodu. Być może krewcy Niemcy po oprzytomnieniu doszli do wniosku, że lepiej nie składać skargi.

Carpenter zadbał, aby w wynajętym lokalu nie brakowało im niczego: zapas żywności i płynów mógł wystarczyć na dwa tygodnie, barek był sownie zaopatrzony, a z głośników w razie potrzeby mogła się sączyć nastrojowa muzyka.

Salam z miejsca chciała zabrać się do roboty. Joe miał wobec niej trochę bardziej rozbudowane plany, ale zgodził się, aby trochę popracowała, a dopiero później siadła razem z nim do wieczery.

Okazało się, że praca będzie trochę cięższa, niż się spodziewała: mnich nie tylko pisał w języku tigre, ale jeszcze posługiwał się północną odmianą alfabetu ge'ez, a w dodatku, być może z emocji, opuszczał niekiedy litery, co powodowało konieczność wielokrotnego poprawiania tekstu.

Nie mając nic innego do roboty, Carpenter oglądał w telewizji stare filmy, niekiedy dla urozmaicenia przechodząc na CNN i newsy.

Okolo siódmej Salam pojawiła się mocno podniecona; policzki jej płonęły, co jedynie potęgowało wrażenie jej urody.

- Odszyfrowałam dwie strony! - zameldowała. - Wygląda na to, że autor naprawdę przeżył objawienie, które uznał za wydarzenie wielkiej wagi. Nie został jednak przez nikogo wysłuchany. Co ważne, jego pamiętnik, mimo staroświeckiego stylu, w najmniejszym stopniu nie sprawia wrażenia wynurzeń wariata. Chcesz przeczytać?

- Oczywiście, że chcę, ale potem robimy przerwę na kolację i relaks.

- Zgoda. Ty decydujesz! W końcu jesteś moim pracodawcą. Mam ci odczytać? Później przepiszę tekst na komputerze.

- Będę zachwycony!

W imię Boga Ojca i Syna Jego, i Ducha Świętego w Trójcy Świętej Jedynych.

*Piszę ja, niegodny sługa Pański, com widział i czegom się dowiedział, bo jeśli zostało to ujawnione mnie, to nie po to, iżby ukryte zostało aż do tych dni ostatnich. Piszę pismem odwrotnem i językiem dawnem, wiedząc, iż jeśli wola Najwyższego będzie, by to, co mnie wiadome, stało się jawne, nic odczytaniu nie przeszkodzi, ale jeśli ma pozostać zakryte, będzie zakryte aż do loypelnienia się Słowa. Można pytać, czemu obieram tę drogę, miast zwrócić się do mych braci starszych, przelożonych i uczonych w Piśmie. Tedy oświadczam: zwracałem się, i to nieraz, zanim jeszcze pomroka na mnie spadła, ale nie wysłuchano mnie czy to ze strachu przed władzą okrutną moc w kraju dzierzącą, czy też to, com opowiadał, było zbyt straszne i niepojęte, by ktokolwiek mógł dać wiarę. A że nie potrafiłem panować nad swymi emocjami, usiłując przekonywać niedowiarków krzykiem i rękoczynem, do szpitala mnie odesłano, skąd wyszedłem już po upadku Mocy Zła i pod opiekę braci z Debre Damo oddany zostałem. Ukoiwszy targające mną poryjwy i czując zbliżanie nieuchronnego kresu, piszę - a ci, co odczytają, niech uwierzą, albowiem ślepotą nie ochroni ich przed żarem z niebios ani głuchota przed rykiem nacierającego oceanu.*

*Czemu zdarzyło się to mnie? Myślę, że sprawiła to Ona (Salam wpisała w nawiasie: Arka), ale zobowiązałem się świętą przysięgą nic nie mówić o szczegółach mej posługi ani o Niej samej, toteż powiem wyłącznie o snach.*

*Przyśniły mi się w dwudziestym roku mego stróżowania. Było to przedziwne śnienie na jawie, albowiem mając świadomość, że śnię, czułem zarazem, że dzieje się to naprawdę. Ujrzałem naraz przedziwny blask i światłość w kształcie muszli czy łzy raczej i młodzieńca w niej stojącego, nieopisanej urody, który do mnie mówił. A głos, choć nadzwyczajnie słodki, brzmiał zarazem tak strasznie, że struchlały obudziłem się cały w pocie, dygocąc i nie mogąc już spać aż do świtania. Myślałem: sen to jeno, nic więcej, różne rzeczy śnią się ludziom, zwłaszcza że czytanie nabożnych pism i obecność w Miejscu Świętym Świętych może naszą imaginację ku różnym wyobrażeniom skłaniać. Po trzech dniach*

*wszelako ten sam sen przyśnił mi się po raz wtóry, a po kolejnych dziewięciu po raz trzeci. Mogę przysiąc, że za każdym razem i obraz, i słowa były identyczne, a równocześnie coraz głębiej zapadały w me serce, jak ziarno, które padłszy w glebę, zapuszcza korzenie, kiełkuje i się rozrasta. W pierwszych dniach milczałem o tem, ale czułem, że przesłanie wypełnia mnie coraz bardziej, aż zacząłem mówić i krzyżeć. Były to wybuchy często bez ładu i składu, jako że rozpaczliwie usiłowałem powściągać język, ale gdy narzucona sobie tama pękała, wylewałem setkę słów naraz. Czyż nie sprawiałem wrażenia opętanego? Gorzej, gdy słuchali mnie starsi, pojawiały się demony pragnące zaszkodzić memu przekazowi. Nie widziałem ich, lecz czułem oślizgłość ciał, smród oddechów... Tedy rozmawiając z ludźmi, równocześnie próbowałem je odgonić, co jeno potwierdzało opinie o mnie jako o szaleńcu...*

Bóg sprawił, że nie utraciłem rozumu na zawsze, zesłał na mnie dobroczynną noc, z której obudziwszy się, wróciłem do zdrowia. Nie wspominałem nikomu więcej o swoich widzeniach i nie wspomniałbym, gdyby nie zdarzył się znak pierwszy.

*Trwoga, że nie wypełnię swego zadania, powróciła, kiedy jednak nie uzyskałem odpowiedzi na parokrotną prośbę spotkania się z patriarchą, postanowiłem spisać, com widział. Nie wiem, ile czasu upłynie, nim wypełnią się wszystkie znaki, ale strach dyktuje mi przeświadczenie, że nie będzie trwało to długo...*

Umilkła.

- Co o tym myślisz? - zapytała.

- Znakomicie zbudowany nastrój, ale na razie niezwykle mało konkretów.

- A ja się boję...

Zauważył, że dziewczyna drży.

- Czytałaś ciąg dalszy?

Naraz odczuł ogromną potrzebę otoczenia jej ramieniem.

- Nie i nie wiem, czy powinniśmy czytać dalej. Mam okropne przeczucia.

- Ależ dziewczyno! W XXI wieku nikt nie wierzy w prorocтва, a jeśliby nawet i wierzył, to musiałby uznać, że

przepowiadane w nich zdarzenia wydarzą się niezależnie od tego, czy będziemy o nich wiedzieli, czy też nie. W dodatku jeśli nawet w proroctwie zawarta jest informacja o jakichś okropieństwach, może również znajdować się tam recepta, jak ich uniknąć albo jak postępować, aby zabezpieczyć się przed ich skutkami.

- Pewnie masz rację!

Siedli do stołu. Joe, świadom, że Salam unika potraw z mięsa, przyrządził pyszną rybę z dużą ilością warzyw. Do tego podał sok z mango...

- A może przy tej wyjątkowej okazji skusisz się na kieliszek białego wina?

- Ale tylko na jeden!

Skończyło się na dwóch butelkach. Ponury nastrój Etiopki szybko się ulotnił, zrobiła się wesoła, śmiała się, kiedy Carpenter parodiował rzekome wypowiedzi Niemców po powrocie do kraju na temat kontuzji doznanych podczas ekspedycji w „Abisynii. Trudno zresztą było się nie śmiać. Joe perfekcyjnie odtwarzał gestykulację poturbowanych Niemców, z których jeden pokazywał, jak poraziła go Arka, drugi demonstrował swoją potyczkę z krokodylem, a trzeci lamentował po tym, jak uległ w walce na pięści z pawianem, który na dodatek wykorzystał go seksualnie.

Spontanicznie przenieśli się na kanapę. Bliskość Amerykanina zupełnie nie przeszkadzała młodej Etiopce, podobnie jak ręka, którą ją objęła.

Nagle zaczęli się całować, mocno, namiętnie! Dziewczyna sprawiała wrażenie nowicjuszki w tej sztuce, ale nadrabiała wrodzonym talentem. Joe czuł, że ogarnia go szaleństwo, większe niż podczas którejkolwiek z tysiąca i jednej nocy spędzonych z kobietami, wliczając w to także Maud.

- Nie! - powiedziała nagle, wyswobadzając się z jego ramion i wstając. - Nie mogę!

Na moment osłupiał.

- Coś się stało? Czyms cię uraziłem?

- Nie o to chodzi. Mało o mnie wiesz... Zresztą to moja wina - dodała szybko. - Jestem prostą dziewczyną z gór. Naiwną i

konserwatywną. W dodatku traktującą pewne sprawy ogromnie poważnie. Pewnie cię rozbawi fakt, że jestem jeszcze dziewicą.

- Potrafię być delikatny.

- Zupełnie mnie nie rozumiesz. Czystość przed ślubem nie jest dla nas jedynie pojęciem teoretycznym. Ja naprawdę wierzę w chrześcijańskie zasady.

- Jeśli chcesz, ożenię się z tobą! - W tym stanie napalenia gotów był obiecać jej napad na Fort Knox, ujęcie gołymi rękami lwa czy przejście na golasa Piątą Aleją! - Oczywiście jeśli nie uważasz, że jestem za stary, za nudny, za...

- Czy to oświadczyły?

- Mogą być!

Kłęknął przed nią, co, jak później sam przyznawał, wyglądało cokolwiek błazeńsko. Sprawiała wrażenie zaszokowanej, ale nie zdecydowanej przeciwnej.

- Daj mi trochę czasu - poprosiła. -1 powtórz to za miesiąc. Wtedy weźmiemy ślub i będzie, co będzie.

Zrozumiał, że w tej fazie negocjacje zostały zakończone. Gdyby chodziło o kogoś innego, do wyboru pozostawałoby mu jeszcze kilka opcji. W najgorszym razie: w podręcznej apteczce miał specyfik nazywany „pigułką gwałtu”. Ale coś takiego nie wchodziło w grę wobec Salam.

„A to historia! Zakochałem się w Murzynce!”

- Czy mogę wracać do pracy? - zapytała Abisynka.

- Oczywiście. Pracuj, a ja zajmę się sprzątnięciem.

Nie zajęło mu to wiele czasu, a potem wyszedł z domu zapalić.

Noc już była pełna, w żadnym z okolicznych domów nie paliły się światła, centrum Addis Abeby zasłaniał pagórek, toteż nic nie przeszkadzało w podziwianiu bezchmurnego nieba rozpiętego nad jego głową. Dopiero tu, w czystym powietrzu, bez ograniczeń, jakie powodują światła miasta, można było przekonać się, jak wieloma gwiazdami wybrukowane jest niebo.

Zaciągnął się mocno, wciągając dym aż do najdalszych zakamarków organizmu. Wszechświat, kosmos, absolut!



Wielkie słowa. Cóż go to wszystko obchodziło? Był przecież białym seksistowskim samcem, któremu jakaś zacofana Afrykanka uniemożliwiła bezproblemowe zaspokojenie popędu płciowego.

Oczywiście wiedział, że to nieprawda. Ze doświadcza czegoś więcej, choć zawsze się przed tym bronił. Czy była to miłość?

Zgasił papierosa i poszedł oglądać telewizję.

Sen go zmorzył koło drugiej; idąc do łóżka, zajrzał jeszcze do pokoiku Salam, z którego sączyło się światło. Usłyszał ostre: „Pracuję!”, więc wycofał się dyskretnie.

Zasnął natychmiast. Z tym nigdy nie miał trudności. W czasach swych akcji potrafił spać w każdym miejscu, w każdej pozycji, a nawet wysypiać się na zapas.

Spał jak zawsze czujnie i dlatego nawet bardzo stłumiony płacz go obudził. Otworzył oczy. Za oknem widać było słabą poświatę pierwszego brzasku.

„Co, u licha?”

Płacz dochodził z pokoju Salam. Poszedł tam cicho i zastał ją wśród stosu kartek i słowników zanoszącą się od łez.

- Co się stało? - zapytał łagodnie. „

Odwróciła głowę. Na jej twarzy malowała się czysta rozpacz.

- Nie powinniśmy tego tłumaczyć, nigdy!

Zauważył włączony laptop. A więc zaczęła przepisywać przetłumaczony tekst.

- Pozwolisz, że przeczytam?

Zerwała się bez słowa i pobiegła do łazienki.

„Cóż takiego mogło wprawić tę rozsądną dziewczynę w stan podobnej hysterii?”

Pochylił się nad monitorem.

*Uczył nas Pan: nie znacie dnia ani godziny. Tedy i mnie nie objawiono dziejów przyszłych w sposób pozwalający określić dokładną datę Wielkich Zdarzeń. Mogę jedynie wnioskować, że moment Paruzji nie jest odległy, co może oznaczać, że i Dzień Sądu nadciąga. Czytałem pisma wielu Ojców Kościoła Powszechnego, także i naszych proroków i wiem, że są tacy, którzy twierdzą, że po powtórnym przyjściu Syna Człowieczego nastąpi Jego tysiącletnie Królowanie na Ziemi. Ze z nieskończonego miłosierdzia zostanie*

*dana jeszcze jedna szansa nawrócenia się grzesznych, odkupienia win, a także prześlągania Boga za niegodne uczynki naszych ojców i dziadów. Ze będzie dana szansa poprawy tym, którzy występkiem swym odrzucili Dobrą Nowinę lub bez własnej winy nigdy jej nie poznali. Oby tak było! Jednak jest i druga interpretacja, iż Syn Boży przyniesie z sobą bicz oraz miecz. I stoczywszy ostatnią bitwę z Szatanem w miejscu zwanym Armagedon, przystąpi do Dnia Ostatniego. Otworzy mogiły i wezwie zmarłych na Sąd straszny. Nie zostałem powiadomiony, jak się to odbędzie, choć przy ogromnym znieprawieniu współczesnego świata trzeba by bezgranicznego Miłosierdzia Bożego, aby wybaczyć rodowi ludzkiemu wszystko zło, które świadomie czynił i nadal czyni.*

*Posłaniec, który do mnie mówił, nie wiem, czy był to Archanioł, czy jakiś z pomniejszych Aniołów, o niczym takim nie wspominał - rzekł jeno, że przesypuje się czas w klepsydrze i Dzień Przyjścia nadchodzi.*

*A poprzedzać go będzie siedem znaków.*

*Pierwszy już się wydarzył.*

*- Oto padnie samo z własnego rozkładu sprośne królestwo Szatana Północy, a wraz z nim skończy się także niedola dzieci Szeby.*

*Czyż można inaczej opisać rozkład Związku Sowieckiego i upadek naszego czerwonego reżimu, który trwał lat siedemnaście na upodlenie ludu i nieustanną obrazę Boga?*

*O pozostałych zdarzeniach wyrokować nie będę, mogę jedynie żywić nadzieję, że nie nadejdą bardzo prędko, bo każde z nich niesie moc bólu, niedoli i zła.*

*- I będzie znak drugi - mówił Posłaniec. - Cztery Rumaki Apokalipsy przybędą niebem i spadną na miasta Babilonu. I runą dwie wielkie wieże ku niebu wzniesione, a uwyzwolona nienawiść rzuci żagiew wojny w góry i piaski. (Tu Salam dopisała w nawiasie: atak na Stany Zjednoczone, 11 września 2001 roku).*

*- Znak trzeci nadejdzie w dzień po święcie Narodzenia Pańskiego. Oto morze wystąpi z brzegów, zatapiając lądy i miasta. I potoną setki tysięcy ludzi różnej wiary, majątku i pochodzenia. (Tsunami w Azji Południowo- -Wschodniej, 26 grudnia 2004 roku).*

- *Znak czwarty. Odejdzie mąż Boży przez Trójcę Świętą dany, iżby odnowił oblicze ziemi. A przed swem odejściem mowę utraci i wielki smutek w całym świecie uczyni.* (Salam napisała jedynie datę 2 kwietnia 2005 roku, ale Carpenterowi natychmiast stanął przed oczami wstrząsający obraz polskiego papieża daremnie usiłującego przemówić do ludu Bożego).

*Znak piąty. Biali okrzykną królem królów czarnego, biorąc go kim innym, niż jest w istocie. I będzie to początek upadku królestwa.* (Wybory w Stanach Zjednoczonych, 4 listopada 2008 roku).

*Znak szósty. I zdarzy się, iż mały kraj doświadczy wielkiej straty i wielkiej zbrodni. Spadną z nieba ludzie wielcy, dobrzy i szlachetni, a śmierć ich nie przyniesie opamiętania ni własnego kraju, ni świata, ni sprawców.* (Katastrofa smoleńska, 10 kwietnia 2010 roku!!!)

Dokonując kolejnego zapisu, Salam musiała być bardzo zdenerwowana. Dość krótki tekst jeżył się od literówek i błędów ortograficznych.

I przepadnie cały Kościół Rzymski z jego pasterzami i arcybiskupami, a zło obróci wniwecz jego tradycję.

Na moment Amerykaninem zatępeła groza, ale zaraz potem pojawiły się wątpliwości. Nie było konkretnych ani najmniejszej wskazówki, jakiego rodzaju miałyby to być katastrofy. Arabowie mieli zająć Półwysep Apeniński i Rzym obrać na siedzibę kalifatu Euroarabii, co przewidywała już jakiś czas temu Oriana Fallaci? A może Unia Europejska, opanowana przez fanatyków liberalizmu, któregoś dnia miała zdecydować się na zepchnięcie katolicyzmu do katakumb poprzez likwidację po śmierci kolejnego pontyfeka? Wielu libertynów miałyby na to wielką ochotę. Jednak żadne z tych zdarzeń nie miało szansy nastąpić prędko. I to było pocieszające.

Z drugiej strony abisyński mnich prorok, dotąd w swych wieszczeniach tak precyzyjny, wobec tej jego zdaniem największej tragedii pozostawał zadziwiająco lakoniczny. Archanioł go nie poinformował?

Nagle do Carpentera dotarła myśl tak oczywista, że zaczął się śmiać.

Salam, która wreszcie wyszła z łazienki, patrzyła na niego

osłupiała.

- Ale mnie zrobili w jajo, ale nabrali! - wołał Joe. - I ja się dałem podpuścić!

- O czym mówisz? - Twarz dziewczyny była już sucha, ale oczy nadal zaczerwienione od wylanych łez.

- O tym, że oboje padliśmy ofiarą mistyfikacji. Nie wiem, kto był jej autorem, ale mnisi z Debre Damo musieli mieć nie lada rozrywkę, przewidując, w jaką trzęsionkę mogą wpędzić ludzi Zachodu, jeśli „odkrywca” zechce upublicznić prorocstwo. Jak przypominę sobie ich miny, gdy mnie żegnali... Ale ze mnie dureń!

- Zupełnie cię nie rozumiem. Tekst powstał z początkiem lat dziewięćdziesiątych, kiedy nie można było przewidzieć żadnego z wydarzeń...

- A jaką mamy pewność, że powstał właśnie wtedy? Są tylko słowa mnicha, który odgadł we mnie poszukiwacza skarbów pragnącego dobrać się do pilnie strzeżonych tajemnic idasztoru, więc postanowił dać mu nauczkę. Być może faktycznie istniały jakieś zapiski strażnika pomyleńca, ale mnie z całą pewnością pokazano falsyfikat, powstały najdalej przed paru laty, nie wykluczam, że sporządzony przez cały zespół odznaczający się sporą znajomością rzeczy.

- Nie poznałbyś, że to świeże notatki?

- Papier można postarzyć, zresztą nie miałem czasu na dokładne badania.

Nie wydawała się przekonana.

- Nie dopuszczasz choćby teoretycznie, że może to być prawda?

- Nie. Gdyby to była prawda, gotów byłbym sam zostać mnichem! Posłuchaj, Salam! Coś takiego jak wieszczanie incydentalnych zdarzeń jest z naukowego punktu widzenia niemożliwe. Wszystkie znane prorocstwa są albo późniejszymi podróbkami, albo, jak Nostradamus, spisano je tak mętnie, że pasują do każdej sytuacji. Naprawdę, kochanie, szkoda twoich łez. I nie bój się, zapłacę ci za twoją pracę.

Słowom towarzyszył przyjacielski gest ręką. Abisynka odskoczyła *jak na widok atakującego węża*.

- Nie dotykaj mnie! - zawołała. - Nie chcę twoich pieniędzy.  
O Boże, Boże!

To mówiąc, wybiegła z domu, zapominając o słownikach.

Zaskoczony tą niczym nieuzasadnioną reakcją próbował naturalnie pobiec za nią, dogonić, zawrócić. Jednak na ulicy pojawili się już pierwsi śpieszący do pracy mieszkańcy, którzy całkiem opacznie mogli zinterpretować widok białego mężczyzny biegnącego za uciekającą auto- chtonką. A zdecydowanie nie czuł się na siłach walczyć z całą Abisynią.

Cóż rozsądnego może uczynić mężczyzna w obliczu totalnej, podwójnej porażki? Rozsądnego raczej nic. Może się jednak napić!

Wiedziony tą nie wiadomo gdzie i przez kogo sformułowaną dewizą, Joe Carpenter pił przez trzy, a może cztery dni, aż do kompletnego wyczerpania zgromadzonych rezerw. Piłby zapewne i dłużej, gdyby instynkt samozachowawczy nie powstrzymał go przed pójściem do sklepu i uzupełnieniem zapasów, oczywiście póki jeszcze mógł chodzić. Ostatniego dnia już nie mógł. Leżał na kanapie jak wielka ryba, łapiąc powietrze między kolejnymi sztachnięciami papierosem. Na szczęście spał bez pościeli i tylko dlatego od zapalonego papierosa nie sfajczyło się łóżko, mieszkanie i w efekcie on sam.

W sukurs przyszła mu umiejętność zasypiania na żądanie. Udało mu się przymusić swój rozedrgany organizm do zaśnięcia, po czym spał przez następną dobę. Obudził się wczesnym popołudniem, potwornie blady, słaby, ale przytomny, dowlókl się do łazienki, wypił wiadro wody, potem znów sięgnął po papierosa. Ale go nie znalazł, ani w wielu leżących pudełkach, ani w kieszeniach. Zaczął zbierać niedopalone pety z zamiarem sporządzenia z nich skręta, ale naraz poraziła go śmieszność sytuacji. Uległ bez reszty jednemu nałogowi i nie mógł zapanować nad drugim.

Cisnął tytoń w diabły. W lodówce znalazł siedem jajek i zrobił sobie gigantyczną jajecznicę. Jakoś ją przełknął, popijając niesłodzoną, cholernie mocną kawą.

„Jeśli serducho wytrzyma, stanę na nogi”.

Wytrzymało. Staął! Na krótko. Podcięło go zaraz po

włączeniu telewizora.

Początkowo myślał, że trafił na jakiś film science fiction, przeleciał więc pozostałe kanały, jednak na każdym, nawet na tych zazwyczaj nadających wyłącznie filmy, było to samo. Napisy: „Breaking News” i „End of Roman Church”. Ponieważ wszedł w środek przekazu, musiało minąć kilkanaście minut, zanim udało mu się ustalić, co naprawdę się stało.

A stało się coś niewyobrażalnego. 24 września, w pierwszym dniu konsystorza z udziałem papieża, całego kolegium kardynalskiego i kilkudziesięciu tysięcy wiernych, jakiś terrorysta wdarł się na Via della Conciliazione i zdetonował tam walizkową bombę atomową. Jej moc była wprawdzie znacznie mniejsza od tej, która unicestwiła Hiroszimę, wszelako i tak efekt był przerażający. Zgromadzeni na placu Świętego Piotra po prostu wyparowali, a domy wzdłuż ulicy zostały zdmuchnięte. Sama bazylika, dzieło Michała Anioła i Berniniego, zmieniła się w ruinę: zapadła się kopuła, miażdżąc cudowny barokowy ołtarz. Nic nie ocalało z Kaplicy Sykstyńskiej, pałacu papieży. Przepadły w znakomitej większości bezcenne zbiory watykańskie z galerii belwederskiej.

Podmuch wyrządził największe szkody w promieniu kilometra, dalej polegały one głównie na pożarach i promieniowaniu. Bezpośrednio wskutek wybuchu zginęło wprawdzie „tylko” sto tysięcy ludzi, jednak co najmniej drugie tyle było poparzonych. Poza tym około trzech milionów mieszkańców Rzymu ewakuowano z miasta, jako w najwyższym stopniu zagrożonych chorobą popromienną.

Do zamachu na razie nikt się nie przyznawał. Większość komentatorów obwinała Al-Kaidę, ale nie wykluczano też jednostkowej akcji jakiegoś antykatolickiego szaleńca. Jedno wydawało się pewne: Kościół Piotrowy w takim kształcie, w jakim znano go od dwóch tysiącleci, przestał istnieć.

Joe Carpenter popatrzył na ciągle włączony ekran telewizora i po raz pierwszy od wczesnego dzieciństwa przeżegnał się.

Potem zwymiotował.

Normalna reakcja. Kiedy jednak minął szok, zaczął myśleć

logicznie. Czy mógł temu zapobiec? Czy gdyby ogłosił tekst proroctwa przed czterema dniami, doszłoby do tragedii? Oczywiście jego dawni zwierzchnicy wyśmialiby podobne obawy, ale czy zlekceważyłby je Watykan? A przecież miał tam paru zaufanych znajomych.

Pozostawało zresztą otwarte pytanie, czy samo ogłoszenie rewelacji etiopskiego mnicha nie powstrzymałoby sprawców...

Tak, popełnił okropny błąd. Trzeba było zawierzyć intuicji Salam.

Natychmiast zadzwonił do dziewczyny na numer jej komórki. Miał nadzieję, że wobec porannej hekatomby odbierze.

Nie odebrała. Telefon zadzwonił w sypialni za ścianą. Uciekając, zapomniała go z sobą zabrać.

Przeglądając listę numerów zawartych w pamięci aparatu, znalazł kilka, które uznał za przydatne: uniwersytetu, bibliotek, jakiejś koleżanki i ciotki - zadzwonił pod wszystkie. Dowiedział się jedynie, że dziewczyna wyjechała pilnie do Jerozolimy i miało to jakiś związek z jej doktoratem.

Żeby to szlag! Został bez tłumacza i nie wiedział, co kryło się w ostatniej części proroctwa. Przedtem zlekceważył tekst, teraz zdawał sobie sprawę, jakie może to mieć znaczenie. Znalazł na szczęście brud- nopsis Salam. Niestety, po amharsku; najwidoczniej angielska wersja rodziła się dopiero na klawiaturze. Joe znał podstawy tego języka, alfabet, miał podręczniki, słowniki, a dodatkowo wspierał go talent językowy.

Późną nocą miał przetłumaczony tekst mnicha proroka do końca.

I upłynie siedem miesięcy od dnia zagłady, a dziewczica porodzi dziecko, które poczęła z Ducha Świętego. A imię jej będzie Służebnica Pańska Pokój Niosąca.

*A dziecko będzie miało błękitne oczy i jasne włosy swej Matki, potęgę Ojca i umysł Ducha, który przed prapoczątkiem unosił się nad chaosem. Nie porodzi go w stajence ubogiej, lecz w nowoczesnym szpitalu, i nie pasterze kłaniać się jej będą, ale... (Tu*

zarówno w tłumaczeniu, jak i oryginale była luka). *I sprzyśnięgą się przeciw niemu władcy świata, monarchowie i.. (znowu luka) Opuszczą ją wszyscy jako wprzódę, krom Józefa, ciesiolką się parającego. Lecz gdy (równie dobrze można to było przetłumaczyć „jeśli”) bój ostatni się zakończy, a Niewiasta zetrze głowę węza przedwiecznego, upadną struchlali grzesznicy: złotych cielców czciciele, żądni zysku lichwiarze, ci, którzy oręż gotują, i ci, którzy go ślą. 7.agłada spotka mąci- cieli, którzy tumanią narody, i złych królów, co dawno Szatanowi dusze oddali, zniszczeni będą ci, co kłamią, i ci, co niesłusznie uchodzą za proroków, ci, co zgorszenie czynią, a zwłaszcza sodomią się parają, i ci, co mają krew na swych rękach. A ich los gorszy będzie, niżby sami w przepaść ognistą skoczyli. Pyle oznajmił mi Anioł. A ty, ludu Boży, czyń, co ci serce dyktuje, albowiem co będzie uczynione, będzie policzone, co będzie zaniechane, będzie pokarane.*

Joe czytał tekst wielokrotnie - nie dawało mu spokoju słowo JEŚLI. Czy stwarzało to alternatywę dla Paruzji? Czy do powtórnego przyjscia mogło nie dojść, mimo że do poczęcia doszło jakieś dwa miesiące temu?

Zaskoczyła go koncepcja Powtórnego Przyjscia jako kalki wydarzeń z Betlejem. Dotąd w zgodzie z większością teologów był przekonany, że Chrystus przyjdzie (o ile faktycznie przyjdzie) jako osoba dorosła, tymczasem z proroctwa wynikało, że będzie musiał przebyć etap powtórnego narodzenia, dzieciństwa. Na zdrowy rozum było to nawet logiczne, choć rodziło nie lada komplikacje. Pojawiała się bowiem druga Matka Boska i zapewne drugi święty Józef...

A co w tym wszystkim uczynić miał on sam? Odkrywca proroctwa! Chwilowy depozytariusz tajemnicy. Nie mógł przecież upublicznić swego odkrycia w mediach, nie ryzykując, że dojdzie do jakiejś gigantycznej, niekontrolowanej psychozy. Już teraz widział w telewizji ogromną falę odwetu, *jaka ruszyła przeciw muzułmanom*, mimo że jeszcze nie ustalono, czy zamach był dziełem jakiegoś islamskiego ugrupowania terrorystycznego. Ulice *miast europejskich* spływały krwią. Kilka krajów, między innymi Włochy oraz Izrael, ogłosiło mobilizację. A premier tego niewielkiego państwa oznajmił



wręcz, że gdyby aktualny prezydent Stanów Zjednoczonych miał jaja Reagana, Mekka, Medyna i Teheran (na dobry początek) już przestałyby istnieć.

W innej sytuacji dobrym adresatem proroctwa byłoby kierownictwo Kościoła katolickiego - to jednak nie istniało.

Swoboda manewru Carpentera była więc ograniczona. Czuł jednak, że musi coś zrobić. Obudził się w nim instynkt zawodowy, dlatego bez większych wahań wybrał znany mu na wszelki wypadek numer telefonu oficera kontaktowego CIA w Addis Abebie.

## ROZDZIAŁ III

### POWRÓT DO GRY

Zatrzymując się w miasteczku Praiano na Costa Amalfiana, Joe Carpenter myślał, że spędzi tam dobę, najwyżej trzy. Po tygodniu zorientował się, że utknął na dłużej. A z każdą spędzoną tam godziną narastało w nim wrażenie, że sprawy idą niekoniecznie w tym kierunku, w którym by chciał. Nieróbstwo sprawiało, że wróciły ataki duszności, za którymi postępowały bóle. Mógł tylko mieć nadzieję, że stanowią one echo dawnych kontuzji, a nie coś zdecydowanie gorszego...

Kiedy opuszczał Addis Abebę, wydawało mu się, że zrobił wszystko, co do niego należało. Za pośrednictwem abisyńskiego rezydenta przekazał do Waszyngtonu całość materiałów zeskanowanych w Debre Damo. Dołączył wydruk komputerowy wraz z tłumaczeniem. Zataił jedynie udział Salam w odczytywaniu i przekładzie tekstu, twierdząc, że dokonał tego sam przez blisko tydzień mozolnej dźbaniny. Nie chciał, żeby dziewczyna miała jakiegokolwiek kłopoty. Zbyt dobrze znał praktyki Firmy, gdy przychodziło utajnić sprawę. A to zrobiono by niewątpliwie, gdyby uwierzono w jego odkrycie. Chyba uwierzono, bo rzeczywiście utajniono. W ciągu kolejnych dni, które niepostrzeżenie zamieniły się w tygodnie, nie ukazała się najmniejsza nawet wzmianka o prorocztwie. Może wypracowywali jakąś strategię? Tylko jaką? Joe nie zazdrościł prezydentowi, jeśli spadł na niego obowiązek podjęcia decyzji. Inna sprawa, że nie do końca uważał oliwkowego przystojniaczka za swego prezydenta. On na niego nie głosował!

Na to, że sprawa nie została zlekceważona, miał namacalny dowód. Gdyby jego raport potraktowano jak jakąś mglistą fantasmagorię, na spotkanie z Joem już w trzy dni później w Stambule nie wysłano by zastępcy szefa CIA, samego Kena

Milesa.

Co prawda Miles i tak przebywał w Europie w związku z tragedią w Rzymie, jednak nie poświęciłby bez powodu całej doby na przesłuchanie swego byłego agenta, mając na głowie ogólnoswiatowe śledztwo. Wicedyrektor, człowiek odziedziczony jeszcze po poprzedniej administracji, należał do facetów twardo stąpających po ziemi i krytycznych wobec wszelkich zjawisk nadprzyrodzonych.

Chudy i nieproporcjonalnie wysoki, miał pociągłą twarz smutnego konia i Joe w myślach nazywał go Rosynantem, choć nie przypuszczam, żeby wielu ludzi w Firmie знаło imię rumaka Don Kichota.

- Twoje odkrycie zostanie wieloaspektowo zbadane - oświadczył Ken. - I z pewnością w świetle tego, co się zdarzyło, nie będzie zlekceważone.

- Gdybym mógł się jeszcze jakoś przydać...

- Cieszy mnie twoja gotowość, Joe. Niewielu mamy pracowników z taką znajomością Starego i Nowego Testamentu. Mam nadzieję, że się przydasz. Na pewno będziemy w kontakcie.

Zabrzmiało to interesująco, ale przez kolejne dni nic z tego nie wynikło. Jedynym konkretem była obietnica Milesa, że centrala zwróci Carpenterowi wszelkie poniesione koszty, a nawet sugestia, aby w raporcie znacznie je podwyższył, ale Joe podziękował za propozycję.

Rozstali się w przyjaźni. Carpenter liczył, że prędzej czy później zwróci się do niego. Nie mając nic lepszego do roboty, postanowił po- szwendać się po starym Konstantynopolu, lubił bowiem atmosferę tego miasta, niepowtarzalnego styku Orientu z Okcydentem, a poza tym wiedział, gdzie będzie mógł spieniężyć złote artefakty z Aksum, nie wzbudzając niczyjej reakcji. Musiał też rozważyć, co powinien robić dalej, ale akurat życie rozwiązało to za niego.

Już następnego dnia po spotkaniu z Milesem na gwarnym targu przy Złotym Rogu wpadł na niego Glenn Butler. Ciągłe postawny, zdrowy, bez śladów siwizny - co dla osobnika łysego jak kolano nie było trudne.

- Co za spotkanie! - zawołał, klepiąc Carpentera mocno w plecy. - Góra z górą...

Joe nie widział swego byłego dowódcy od dobrych czterech lat, kiedy ten odwiedził go jako rekonwalescenta w szpitalu. Potem już tylko dzwonili do siebie. Wiedział, że Glenn odszedł ze służby i prowadzi jakiś wielce intratny interes na paru kontynentach. Przeprowadził nawet sondażową rozmowę telefoniczną, badając, czy ewentualnie nie mógłby się załapać do jego biznesu...

- Jesteś za dobry, Joe! - odpowiedział mu swym typowym kpiąco-drwiącym tonem pułkownik. - Za szlachetny, za mądry i masz zbyt wiele skrupułów. Grzeb w swoich starociach, odkryj drugą Troję, złap za jaja Feniksa i wynurkuj Atlantyde. A jeśli będę ci mógł w czymkolwiek pomóc, dzwoń...

Poszli razem do pobliskiej kafejki i jakiś czas gadali o wszystkim i niczym. Carpenter niezwykle chętnie podzieliłby się z kolegą odkrytymi rewelacjami, ale podpisał zobowiązanie do zachowania tajemnicy, toteż na słowa: „Podobno byłeś w Etiopii?” (co akurat wielką tajemnicą nie było) opowiedział o odnalezionej Ewangelii świętego Józefa, którą zamierzał opublikować po powrocie do Stanów. O innych swych dokonaniach w tym kraju nie wspominał, poprzestając na zachwytych nad urodą jego mieszkanek, co Butler traktował ze zrozumieniem. Skończyło się propozycją spędzenia kilku dni w domu, który pułkownik miał na południu Włoch („Za parę dni i ja tam wpadnę”), co dziwnie korespondowało z propozycją otrzymaną z centrali: „A teraz niech pan odpocznie, nabierze sił. We właściwym momencie odezwiemy się do pana”. Joe nie palił się z powrotem do Stanów, gdzie czekał na niego doktor Lewis i pewnie kolejne serie badań, toteż przyjął ofertę. Butler podał mu adres willi w Praiano, numer telefonu gosposi, a nawet wręczył klucze do rezydencji.

Kiedy się pożegnali, Glenn wskoczył do limuzyny, a Joe ruszył mostem na drugą stronę Złotego Rogu. Bardzo szybko zauważył, że jest śledzony. Ogon był trzyosobowy (staruch, kobieta i małolat) i dość łatwo zauważalny, pozwolił mu więc człapać za sobą przez pół miasta, choć gdyby musiał, zgubiłby

go w ciągu kwadransa (Stambuł znalazł jak własną kieszeń). Rozbawiło go to odkrycie. Czyżby Firma obawiała się, że mógłby wykręcić jakiś numer? A może w Langley na dobre przyswojono sobie znaną formułę Józefa Stalina, że „ufać to znaczy kontrolować”?

Był bardziej niż pewien, że spotkanie z Butlerem i jego propozycja też nie były przypadkowe. Ostatecznie przekonał go telefon do miejscowej rezydentury i odpowiedź na prośbę o zabukowanie lotu do Neapolu.

- To już jest załatwione, mister Carpenter - usłyszał w odpowiedzi. - Leci pan o szesnastej dwadzieścia osiem. Ma pan miejsce 3A w klasie biznes.

No to poleciał. Pod koniec września morze w południowej Italii pozostawało ciągle ciepłe, choć wieczory na lądzie potrafiły zaskakiwać nieprzyjemnym chłodem. Jednak niezależnie od pogody Carpenter schodził codziennie kamiennymi schodami wykutymi w klifie nad skalistą zatoczkę i tam przez parę godzin pływał i nurkował, pragnąc utrzymać się w dobrej kondycji. Do palenia nie wrócił. Pił też zdecydowanie mniej. Może skłaniał go do tego brak luster. Tych w szarym domu brakowało nawet w łazience. Czyżby nie życzył sobie ich obecności jakiś gnieźdzący się w trzewiach domu wampir?

Z każdym dniem coraz bardziej czuł się zawieszony w próżni. Kazano mu czekać, a nie powiedziano po co. Do przeszłości wracać nie chciał, przyszłości nie widział, a terażniejszość trwała jak unieruchomiona klatka filmowa. Butler też się nie pojawił, mimo że obiecywał spędzić tu kilka dni i dodatkowo zorganizować fascynujące towarzystwo młodych Włozek. Jego komórka milczała. Z SMS-ów, które co pewien czas przysyłał, wynikało, że dużo podróżuje, że był w Stanach, na Bliskim Wschodzie, na Karaibach... „Mam trochę pilnych zajęć, ale już niedługo dobieję do ciebie” - taki mniej więcej tekst powtarzał się w licznych wariantach. Podobnie próby dodzwonienia się do centrali owocowały zdaniem znanym doskonale wszystkim użytkownikom telefonu: „Proszę czekać”.

Z drugiej strony, na co liczył? Znalazł się *poza systemem*. Na emeryturze. Przyszli młodszy i zabrawszy, co swoje, zazdrośnie strzegli swoich posad.

Chociaż dobrze byłoby wiedzieć, co przedsięwzięli w sprawie prorocstwa. Oglądał telewizję, czytał prasę, szukając jakiegoś znaku, sygnału przygotowywania opinii publicznej... Nic! Choć w innych sprawach działało się bardzo wiele. Dwa tygodnie, które upłynęły od zamachu w Rzymie, były okresem sporych społecznych turbulencji, dowodzących najbardziej bezsily i bezradności współczesnego świata - to prawda, spłonęły setki, a może tysiące meczetów, doszło też do starć ulicznych na znaczną skalę, jednak dla większości rządów tego świata niewiele z tego wynikło. Biurokraci państw Europy okazali się absolutnie niezdolni do działania w sytuacjach wyjątkowych. Uspokajali, wysyłali protesty i pałowali swoich bardziej krewkich obywateli usiłujących brać sprawy w swoje ręce. Naturalnie większość przywódców zdawała sobie sprawę, że w wypadku wyborów zostaliby zmieceni ze sceny politycznej przez najrozmaitsze „partie protestu” domagające się wydalenia wszystkich wyznawców islamu z Europy, wprowadzenia kary śmierci itp. Jednak szczęśliwym dla elit zbiegiem okoliczności w żadnym z liczących się państw Unii nie trwała akurat kampania wyborcza.

Osiemdziesięć procentowy sukces nacjonalistów w Austrii można było zignorować, samą republikę zaś na forum międzynarodowym określić mianem „reakcyjnego skansenu”.

Tymczasem machina medialna już rozpoczęła proces reinterpretacji. Wnet pojawiły się kuriozalne wypowiedzi, że Kościół katolicki, a konkretnie jego przywództwo samo sprowokowało ten akt, stanowiąc od dawna „zmurszały cień w radosnym oku współczesnego świata”. Co więcej, w niezliczonych debatach podkreślano, że próba szukania winnych wśród muzułmanów jest pomyłką i nadużyciem, albowiem islam to religia pokoju.

Właściwie na wysokości zadania stanął jedynie premier Wioch Guido Carlini, lekceważony dotąd i wyśmiewany za swą maskowaną łysinę, niewyparzony język i małoletnie

kochanki, który korzystając ze słabości opozycji - na placu Świętego Piotra zginął prezydent republiki, a także liczni senatorzy i deputowani - bez wahania wprowadził stan wyjątkowy. Zaraz potem wydał dekret o wstrzymaniu jakichkolwiek zasiłków dla emigrantów spoza Unii, niszcząc w ten sposób główny powód migracji, jakim był „socjal”. Jeszcze nie ochłonęto z wrażenia po tym posunięciu i dopiero zaczęły się pierwsze zamieszki wśród ciemnoskórej ludności, kiedy premier zaskoczył kolejnym dekretem. Tym razem „o deportacji wszystkich przybyszów z kraju islamu”. Wszystkich bez wyjątku, bez względu na czas osiedlenia i status emigranta, azylanta itp. Oficjalnie rozporządzenie wydano w celu zwolnienia miejsc pracy i zamieszkania dla ewakuowanych mieszkańców Rzymu. „Obcy” dostali miesiąc na spakowanie i bilet w jedną stronę. Opornych miano deportować siłą. We Florencji, w Neapolu i w kilku innych mocno zmuzułmanionych miastach prawie natychmiast wybuchły gwałtowne zamieszki, jednak karabinierzy, wyposażeni w ostrą amunicję, wspierani przez ochotnicze grupy obywatelskie, stłumili protesty, nie patyczkując się z tymi, którzy podejmowali walkę.

Podobno strzelano głównie gumowymi kulami, ale lewicowa prasa trąbiła o szwadronach śmierci, tajnych egzekucjach, oskarżając Cartoliniego o zbrodnie ludobójstwa. „Zwyczajny faszyzm!” - wrzeszczały media w całej Europie, grożąc sankcjami, bojkotem włoskich towarów, a także wykluczeniem Italii z Unii. Włosi jednak nie mogli o tym przeczytać: wyłączono przekaźniki telewizji satelitarnej, telefonię komórkową i ocenzurowano (na miesiąc wprawdzie, ale z możliwością przedłużenia) Internet. Okazało się, że nie trzeba było nawet miesiąca: protesty bardzo szybko osłabły, jako że większość mieszkańców Europy mniej lub bardziej jawnie sprzyjała posunięciom włoskiego rządu.

A co do miejscowych wyznawców islamu, za broń chwytala mniejszość, większość wolała być żywa między swoimi niż martwa wśród obcych. Muzułmanów z Italii przyjęły (bez szczególnego zachwyty) Albania, Iran i Libia, a z europejskich

krajów jedynie Hiszpania, której postępowi przywódcy już dawno postradali rozum.

Tymczasem do zamachu konsekwentnie nie przyznawała się żadna ze znanych organizacji terrorystycznych, a nieliczni, którzy przypisywali sobie ten czyn, po sprawdzeniu okazywali się niegroźnymi wariatami lub mitomanami. Ponieważ informacje o śledztwie pozostawały utajnione, mówiono powszechnie, że utknęło. Jednak mało kto się temu dziwił, bo wybuch skutecznie unicestwił nie tylko samego zamachowca, ale i szczątki jego piekielnego urzędnika. Antyraryjska fala w całej Europie zaczęła z wolna opadać, a jako że wróg ciągle nie odsłonił swojej twarzy, akumulowany gniew nie za bardzo miał się na kim wyładować.

Bezprzykładny akt terroru potępiły oczywiście wszystkie rządy, organizacje międzynarodowe i Kościoły, choć prywatnie nie okazywano już takiej jedynomyślności. „Koniec katolicyzmu”, jak wieszczono publicznie, był wszak na rękę wielu, zaczynając od konkurencyjnych religii i sekt, na organizacjach feministycznych i homoseksualnych kończąc. „Gdyby Bóg chciał uratować pasterzy tej owczarni, nie dopuściłby do zbrodni” - miał się wyrazić w gronie polityków Federacji Rosyjskiej patriarcha Moskwy i całej Rusi.

Ze nie spełniły się przewidywania ekspertów na temat rozpadu Kościoła na patriarchy regionalne i wspólnoty narodowe, zdecydowała determinacja kilku ludzi i cud. Nie zginęli wszyscy, którzy mogli zginąć. Na tragiczny konsystorz nie dojechało z różnych powodów trzech członków kolegium kardynalskiego, reprezentujących, fakt szczególnie, Azję, Afrykę i Amerykę Łacińską; czwarty z nieobecnych, Włoch, akurat dochodził do siebie w sanatorium po operacji przepukliny, odnalezienie zaś w siódmym dniu akcji ratunkowej piątego, stosunkowo młodego kardynała z Polski, który ocalał, albowiem w momencie wybuchu znajdował się w lochach Watykanu, modląc się przy grobie swego wielkiego rodaka, okrzyknięto cudem. Ponieważ Opatrzność nie udziela wywiadów, nawet najwybitniejszym ekspertom nie udało się wyjaśnić, dlaczego walące się mury bazyliki oszczędziły właśnie



to jedno miejsce, czemu fala termalna przeszła górą, omijając głębszą część lochów, a radioaktywny opad nie dotarł do podziemi. Jeszcze trudniej przychodziło wytłumaczyć, dlaczego ten zdyscyplinowany i chorobliwie punktualny hierarcha spóźnił się na konsystorz. Niepotwierdzona wersja głosiła, że kiedy po modlitwie u grobu Karola Wojtyły zamierzał się oddalić, usłyszał znajomy głos: „Pozostań ze mną!”.

Trzy dni po tym ocaleniu obradujące w Castel Gandolfo pięcioosobowe konklawe, w którym asystowało jeszcze siedemnastu innych kardynałów, jednak sędziwy wiek wykluczał ich z głosowania, zdecydowało o wyborze papieża.

Liberalny Włoch, rekonwalescent, lansowany przez postępowe media, spotkał się ze zdecydowaną kontrą pozostałych. Wybór któregośkolwiek z przedstawicieli kontynentów pozaeuropejskich w niestabilizowanej sytuacji całej instytucji groził schizmami. Zresztą lud Boży uważał dość powszechnie, że Duch Święty już dokonał wyboru, więc kadłubowemu konklawe nie pozostało nic innego, jak pójść za jego wskazaniem. Spadkobiercą świętego Piotra został drugi w ciągu pięćdziesięciu lat Polak.

Powszechnie spodziewano się, że zgodnie z prorocstwem świętego Malachiasza przyjmie on imię Papieża Dni Ostatnich - Piotra II Rzymianina, jednak arcybiskup z Warszawy odrzucił wyzwanie przepowiedni i przybrał imię Jana Pawła III.

Już w swoim pierwszym wystąpieniu zadziwił wiernych dynamizmem i nadzieją: zapowiedział szerokie konsultacje z kościołami całego świata celem szybkiego odbudowania kolegium kardynalskiego, a także instytucji kurii rzymskiej. Szczęśliwym zrzędzeniem losu jego poprzednicy zalecili już kilka lat temu pilną digitalizację archiwów, które dzięki temu zachowały się na serwerach zlokalizowanych poza Watykanem.

11 października z CNN Joe dowiedział się o spotkaniu grupy G20, przywódców najważniejszych państw świata, na pokładzie lotniskowca „Annapolis”. Trochę później ujawniono nieplanowane spotkanie wielkiej trójki. Po tej naradzie, która odbyła się bez udziału mediów i której nie zakończyła żadna konferencja prasowa, wścibskie kamery odnotowały jedynie

powrót przywódców na „Annapolis”. Wprawdzie oblicza prezydenta Stanów Zjednoczonych Matakiego i przywódcy Federacji Rosyjskiej Anatolija Michajłowa pozostały nieprzeniknione, szef zjednoczonej Europy Mac Brandon nie potrafił ukryć zdenerwowania.

„Co wy knujecie?” - zastanawiał się Carpenter.

Z każdym dniem pobyt w szarym domu nad urwiskiem działał na niego bardziej przygnębiająco. Czy wywoływał to sam charakter budowli, przypominającej antyczny grobowiec, czy urwisko poniżej, o które niestrudzenie rozbijały się fale? A może szczególnie dołujący był fakt, że miasteczko, gwarne i wesołe w trakcie sezonu, wyludniło się i na ulicach łatwiej było spotkać bezpańskiego psa niż człowieka?

Dom mówi wiele o naturze właściciela. Wprawdzie Glenn Butler musiałby mieć tysiąc albo więcej lat, aby ponosić odpowiedzialność za architekturę budowli, ale w końcu wybrał ją z dziesiątki innych przedstawionych w ofertach handlarzy nieruchomości. Głębokie, pozamykane na glucho piwnice, sypialnia z kopulastym sklepieniem przypominająca wnętrze grobowca, kilka starych portretów przedstawiających ludzi o złych oczach i mocno zaciśniętych wargach nie sprawiały przyjemnego wrażenia. Wprawdzie w przewodnikach po Praiano nie znalazł żadnych wzmianek o historii tego gmachu, jednak czuł, że jego mury musiały wiedzieć niejedno, a echa mrocznych tajemnic wracały do niego w snach. Widział w nich ludzi wyrzucanych przez okno w trakcie wielkiego pożaru, stąpał po starych podłogach z kałużami krwi i odkrywał nagie, martwe ciała w skotłowanej pościeli... Budził się, odczuwając duszność, otwierał dźwii i okna. Zwidy pierzchały, aby wrócić następną noc.

Nie wierzył w duchy, ktoś jednak, mimo pozamykanych drzwi i okien, które od ziemi dzieliło kilkadziesiąt metrów, potrafił strącić całe szkło z ociekacza przy zlewie, wysypać sól, mąkę i cukier, powyrzucać książki z półek na podłogę, w tym piękny album Rubensa, który upadł tak nieszczęśliwie, że reprodukcja obrazu *Rzeź niewiniątek* rozdarła się na całej długości... Teoretycznie jakiś sprawny akrobata mógł dostać się

przez dach, nie budząc Carpentera, tyle że w jakim celu miałyby to zrobić?

- A może - zadawał sobie pytanie - nie wyczułem wstrząsu tektonicznego?

Zeby wykluczyć taką możliwość, zadzwonił do urzędu sejsmologicznego w Neapolu i dowiedział się, że w ostatnich dniach skorupa ziemska była spokojniejsza niż zazwyczaj.

A może kawalarzem był ktoś z grupy Butlera? Jak się okazało, pułkownik dość chętnie udostępniał klucze do domu. Siódmego czy ósmego dnia pobytu Carpentera w szarym domu zjawił się Andy Wolff, przezywany „Szwabem” - drobny, czarniawy i pozbawiony skrupułów w stopniu większym niż inni członkowie komanda Butlera. Wolff lubił zadawać ból i czerpał przyjemność ze strachu przeciwnika, znakomicie nadawał się do przesłuchań, nadto był bezbłędny, gdy w grę wchodziły środki wybuchowe i wszelkiego rodzaju pułapki. Joe zastanawiał się często, czemu Butler toleruje w zespole takiego psychopaty - grupa nie składała się z aniołków, ale każdy uważał się za żołnierza, a Wolff pozostawał jakby ochotnikiem. Kiedyś zapytał o to Glenna i otrzymał odpowiedź:

- Jest przydatny, wykona każdą robotę, nawet taką, której żaden z was by się nie podjął.

Andy był zaskoczony obecnością Carpentera. Przyjechał leczyć rany. Wyglądał, jakby przejechał po nim czołg, ale, jak twierdził, licznych obrażeń doznał się w bójce stoczonej z grupą zazdrosnych Sycylińczyków, którym podpadł, usiłując zastawić sidła na ich siostrę.

- A warta chociaż była takiego poświęcenia? - zapytał Joe, opatrując dawnego kolegę i zszywając cięcia noża.

- Nie zajmowałem się nią dla przyjemności, tylko w ramach akcji „H” - warknął. Tu zorientował się, że chyba powiedział zbyt wiele, więc dla pewności zapytał: - Też w tym robisz?

- Aha - mruknął Joe, zachodząc w głowę, czego taka operacja miałyby dotyczyć. I dlaczego ochrzczono ją tą, a nie inną literą alfabetu, kojarzącą się z humanitaryzmem, Węgrami (Hungary), głodem (*hunger*) lub ludobójstwem (*homicide*).

Po dwóch dniach Andy wyjechał, a Carpenter zapomniał o

sprawie. Nie zapomnialy o nim jednak moce kryjace sie w murach. Calą kolejną noc stukaly, pukaly, przesuwaly meble. Do wszystkich elementow zabawy w nawiedzony dom brakowalo wyłaczenie dzwonienia lancuchami.

Postanowil dac tajemniczemu psotnikowi szanse zademonstrowania, o co wlasciwie mu chodzi, i sprbował najprostszego testu. Starannie potasowal talie kart, a nastepnie jej polowe rozlozyl na podlodze w kuchni, koszulkami do gory.

- Jesli chcesz mi cos powiedziec, duchu, to daj ci szanse - ironizowal.

Tej nocy przyznila mu sie Maud. Promienna, ubrana w nocna koszule, na polnej drodze, cala w sloncu... Chcial do niej podbiec, ale powstrzymala go gestem.

„Mnie nie uratowales, uratuj przynajmniej ja” - powiedziala.

„Kogo, moje kochanie?!”

„Dobrze wiesz kogo”.

I jak figura z piasku rozsypala sie z podmuchem wiatru.

Rano po wyjściu z lazienki zajrzal do kuchni. Duch, poltergeist czy do jakiej tam mogl nalezec kategorii, wyrazenie go zlekcewazyl. Nie przesunela sie ani jedna z zakrytych kart. Zadna nie zostala odkryta. Rowniez druga polowa talii lezala spokojnie na stole.

Postanowil je pozbierac. Podniosl pierwsza: dwójka pik, potem czwórka trefl, potem dziewiatka pik, potem dwójka, dzoker, as.... Wszystkie czarne; jesli dzokera potraktowac jako zero precyzyjnie pokazujace date wybuchu w Rzymie... Jakiez bylo prawdopodobienstwo przypadkowego ukladu? Kolejno podnosil: dwie czarne damy, czarnego waleta pik, dwa czarne króle i kolejnego dupka zolédnego... Za to wszystkie kara i kiery znajdowaly sie na stole.

Zamurowalo go tylko na moment. Potem podjal decyzje. Koniec nierobstwa, trzeba wziac sie do roboty! Czas od narodzin pomyslu do jego realizacji nigdy nie byl u Carpentera dlugi. Wynajal samochod, dwuosobowego jaguara, i jeszcze tego samego dnia, 15 pazdziernika, ruszyl w strone Rzymu. Wprawdzie miasto bylo zamkniete do odwolania, dzialaly ekipy

dezaktywacyjne i sanitarne zajmujące się zbieraniem resztek zwłok, ale Joe wiedział, że potrafi przeniknąć do zamkniętej strefy na co najmniej sto sposobów. Tym łatwiej, że nie tylko od lat znał szefa Wydziału D połączonych sił SISMI (wioska wojskówka) i SISDE (bezpieka), generała Mercatoriego, ale też osobistym przyjacielem Carpentera był dowódca włoskiej policji kryminalnej nadkomisarz Rinaldo Cavaliere.

Wpierw jednak musiał dojechać do celu, a to okazało się wcale nie takie proste. Zaraz za Neapolem część autostrady była zablokowana. Jeszcze dwa dni wcześniej okoliczne suburbia stały w ogniu walk z muzułmańskimi wysiedleńcami. Pamiątką tych starć były resztki barykad i dwa wypalone czołgi. Również dalsze odcinki autostrady nie wyglądały na spokojne, nadal patrolowane przez transportery opancerzone. Jak się zaraz dowiedział, niewielkie uzbrojone bandy muzułmanów przedostały się na wieś i siały panikę wśród miejscowej ludności. Niebawem natrafił na realny dowód działań terrorystycznych. Zaraz za Capuą islamiści uszkodzili wiadukt. Nie pozostało mu nic innego, jak zjechać z autostrady i posuwać się na północ zatłoczonymi drogami nadmorskimi. Zanocował w Gaecie, gdzie jedynym możliwym miejscem noclegu okazał się piekielnie drogi apartament, którego jednak nie wykorzystał w pełni, bo o świcie ruszył dalej.

W miarę zbliżania się do Rzymu coraz częściej widział rozciągnięte wzdłuż drogi wielkie osiedla namiotowe, w których koczowali uciekinierzy z miasta. W Latinie oświadczone mu wręcz, że dalej nie pojeździe. Telefon do nadkomisarza tylko częściowo rozwiązał sprawę: nakazano mu pozostawić samochód na miejscowym parkingu, a samego przesadzono w policyjny wóz i tak powieziono do Wiecznego Miasta.

Służby mundurowe na czas kryzysu zostały skoncentrowane na terenie EUR, nowego miasta, które Mussolini zaczął wznosić na wystawę światową w roku 1942. Tamto EXPO nigdy nie doszło do skutku, ale budowle pozostały. To dziwne i trochę nieludzkie miasto biurowców i muzeów położone było wystarczająco daleko od Watykanu, aby nie ucierpieć od

kataklizmu, a jednocześnie dysponowało sporą liczbą hal i pomieszczeń potrzebnych na zakwaterowanie wojsk i służb, a także zlokalizowanie licznych szpitali, które szybko zapełniali ludzie z poparzeniami lub chorobą popromienną. Wkrótce dołączyli do nich zbyt gorliwi członkowie ekip ratunkowych, a także pechowcy z grup rabusiów, które chciały bezkarnie rabować porzucone mienie, nie wierząc w promieniotwórcze zagrożenie.

Cavalieri zrobił sobie kwaterę w jednym z kamiennych gmachów przy placu Marconiego. Surrealistyczny charakter miejsca i sytuacji podkreślały wszechobecne rzeźby Johna Sewarda Johnsona II: wyrastające z ziemi ludzkie kończyny, które wcześniej miały za zadanie prowokować, teraz jednak, w obliczu hekatomby, kojarzyły się wyłącznie z czystą grozą.

Rinaldo, nieludzko zmęczony, a mimo to tryskający niespożytą energią, ucałował Carpentera z dubeltówki.

- Znakomicie, że się odezwałeś! - wołał. - Inna sprawa, że i tak zamierzałem cię szukać.

- Mnie? Emeryta!

- Weterana praktyka! - sprostował Włoch. - Mam tu dziesiątki utytułowanych ekspertów, specjalistów i nikogo, kto by dysponował rzeczywistym doświadczeniem w walce z terroryzmem, a w dodatku miał umysł wystarczająco otwarty, aby zrozumieć to, co wielu biurokratom wydaje się nie do pojęcia. Rozumiem, że nie odmówisz wsparcia?

- Oczywiście chętnie bym ci pomógł - odparł Joe. - Musiałbym chyba jednak porozumieć się...

- Z kim, na Boga, skoro jesteś emerytem?! - wykrzyknął komendant. - Premier dał mi absolutnie wolną rękę w dobieraniu zespołu.

A wracając do spraw najważniejszych: jadłeś coś? Zamówię dwa posiłki do pokoju.

Zaprowadził go do gabinetu, niewielkiego pomieszczenia bez okien, na szczęście z dobrą klimatyzacją. Po drodze Carpenter skorzystał z toalety.

Literatura klozetowa posiada długą i bujną tradycję, zachowały się wydrapane napisy i obsceniczne rysunki w

Pompejach, a to, co wypisuje społeczeństwo we współczesnych toaletach publicznych, winno być przedmiotem wnikliwej analizy jednostek odpowiedzialnych za badanie opinii publicznej. Jednak w ubikacji obok gabinetu Cavalieriego nie było żadnych wulgaryzmów, kafelki lśniły nieskazitelną czystością. Jedyne na lustrze ponad umywalką ktoś napisał szminką jedno słowo po włosku: „Bene” (dobrze)!

Ponieważ w centrali nie było toalet dla kobiet, można było domniemywać, że słowo to nakreśliła jakaś wielbicielka nadkomisarza Rinalda, jednak myjąc ręce, Carpenter nie mógł pozbyć się wrażenia, że aprobujący napis został skierowany do niego i że napisała go Maud.

## ROZDZIAŁ IV

### NARADA

Jak wiadomo, coraz mniej jest miejsc na świecie, w których mogą się spotkać, nie narażając się na ataki alterglobalistów, uderzenia terrorystów lub przesadną dociekliwość mediów, przedstawiciele najważniejszych państw świata - słynna grupa G20. Trudno się więc dziwić, że w tym kryzysowym czasie posiedzenie zorganizowane między 10 a 13 października odbyło się na pokładzie lotniskowca „Annapolis”, żeglującego z dala od kontynentalnych brzegów po wodach, na których wedle naukowców w najbliższym czasie miało nie być tajfunów, gór lodowych czy podziemnych wybuchów wulkanów. Wybór miejsca, w którym mieli dyskutować najważniejsi przywódcy świata, w normalnej sytuacji być może zostałby skrytykowany przez media i oprotestowany przez pacyfistów, wszelako czas, w którym przyszło im się zebrać, daleki był od normalnego.

Obrady G20 przebiegły bez zakłóceń, zresztą sprowadziły się głównie do wymiany oczywistych banałów. Prawdziwą politykę robiły służby i ich agendy. Powstrzymano się nawet od mocniejszego potępienia dyskryminacyjnej polityki Włoch wobec cudzoziemców, czego domagał się przewodniczący Unii Europejskiej, a nawet podjęto uchwałę o pomocy dla miasta Rzym i jego mieszkańców. I tyle.

Trzeciego dnia, kiedy większość uczestników spotkania opuściła już pokład „Annapolis”, prezydent Stanów Zjednoczonych, ulubieniec elit, wygadany Mulat Fanu Mataka zaprosił dwójkę wybranych gości na pokład swego jachtu, który nieoczekiwanie pojawił się w konwoju, i wspólnie udali się na krótki rejs ku malowniczym, niezaludnionym wysepkom. Gośćmi tymi byli Anatolij Siergiejewicz Michajłow, przywódca Rosji, nieduży człowieczek o wylupiastych oczach ratlerka, lecz wedle znawców problematyki rosyjskiej niebezpieczniejszy niż pitbull, oraz nowy przewodniczący Unii Europejskiej Alex Mac



Brandon, znany głównie z tego, że na wszystkich oficjalnych uroczystościach zjawiał się z partnerem, niedawno zaślubionym artystą rzeźbiarzem. Tym razem musiał przybyć sam, a jego oblubieniec bardzo się obraził, nie znalazłszy się wśród obecnych na „Annapolis”.

- Nie bądź zazdrośnikiem! Nie zaproszono tam nikogo „z małżonką”. To spotkanie robocze, nie zabawa - tłumaczył mu Alex.

Przywódca Europy i Rosjanin zdawali sobie sprawę, że nadprogramowy rejs nie będzie miał wyłącznie relaksowego charakteru, nie mieli jednak pojęcia, o co może chodzić Amerykaninowi. Szef Federacji Rosyjskiej, człowiek duszą i ciałem związany ze służbami specjalnymi, bolał z tego powodu szczególnie. Zawsze o wszystkim dowiadywał się jako pierwszy. A tu?... Jeszcze tuż przed udaniem się na spotkanie cisnął szefa swego wywiadu wojskowego, pytając, czy „Amerykańcy nie mogą próbować zwalić tego zamachu na nas”. „Przecież nie mieliśmy z tym nic wspólnego! - zachnął się generał. - Nie mamy nawet podejrzeń, kto to zrobił!”

Przybyłych na jacht zaskoczyło wręcz ascetyczne wnętrze kabiny, a zwłaszcza jej wyposażenie. Nie było tam żadnych kobiet, które w tak bogatym wyborze towarzyszyły zawsze przyjęciom u premiera Włoch, ani tej obfitości żarcia, jakim potrafili częstować Niemcy i Francuzi, nie mówiąc o alkoholach, serwowanych zwyczajowo przez nowego cara Kremla, z towarzyszeniem waz pełnych astrachańskiego kawioru, wszelakiej dziczyzny i wymyślnych owoców morza przyrządzanych przez kucharzy importowanych z Japonii. Tu musiał wystarczyć zestaw kanapek, whisky, koniak lub dwa wina do wyboru. Wyglądało na to, że amerykański prezydent naprawdę chce gadać o jakichś poważnych sprawach. Tylko jakich? Rosjanin nie przestawał zastanawiać się, czy ostatnio nie wpadła któraś z jego szpiegowskich siatek lub jakiś starzejący się generał GRU nie przeszedł na stronę wroga i nie zaczął sypać tajnymi rewelacjami, zamiast jak jego koledzy zastrzelić się na polowaniu, utonąć na wczasach w tropikach albo zejść z tego świata ze względu na zły stan zdrowia. Tylko

że jeśli nawet pojawił się podobny problem, mogli to załatwić we dwóch z Fanu. Do czego był Matakiem potrzebny ten unijny pedryl?

Weszli do kolejnej pozbawionej okien kabiny, pozostawiając na zewnątrz sekretarzy i szefów ochrony. Nawet wpływowy doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Thomas Carringham musiał zadowolić się spacerowaniem po rufie.

- Panowie - powiedział prezydent Stanów Zjednoczonych, zachęcając gości do zajęcia miejsca na ratanowych kanapach - pozwoliłem sobie was zaprosić, albowiem mamy absolutnie bezprecedensową sytuację. Oto co przypadkowo odkrył nasz człowiek, ZANIM jeszcze doszło do rzymskiej tragedii! - To mówiąc, włączył monitor i przez dwadzieścia minut oglądali prezentację na temat znaleziska w Debre Damo i zaznajamiali się z tekstem proroctwa.

Po projekcji zapadła cisza. Tyleż długa, co kłopotliwa.

- A jeśli mamy do czynienia z falsyfikatem i mistyfikacją? - zapytał wreszcie Rosjanin. - W końcu każdy może być prorokiem po czasie!

- Moje służby dotarły do oryginalnego pamiętnika szalonego mnicha i zbadały go dokładnie - odparł Mataki. - Naprawdę został napisany blisko dwadzieścia lat temu i nie był przez nikogo korygowany. Zdobyliśmy też relacje dostojników Kościoła etiopskiego potwierdzające, że o powyższych wydarzeniach słyszeli, chaotycznie wprawdzie, ale jednak już dawno temu. Tyle że nikt wtedy w owe proroctwa nie uwierzył.

- A ten odkrywca... - Michajłow sprawdził nazwisko, które zanotował w trakcie projekcji w notesiku - Joe?...

- ...Carpenter.

- Właśnie, Carpenter! Na ile można być pewnym jego wiarygodności? W końcu zgłosił się, kiedy już było PO ZAMACHU!

- Jego rzetelność gwarantuje trzydzieści lat nienagannej służby i udział w najbardziej niebezpiecznych operacjach.

- Na przykład w Gruzji?... - Anatolij Siergiejewicz zmarszczył brwi.

- W Gruzji był prywatnie!

- Wróżby, gusła, proroctwa - odezwał się naraz Mac Brandon, cały czas zajęty głównie manipulowaniem długopisem pomiędzy palcami. - Tego rodzaju rzeczy urągają światopoglądowi naukowemu i wydaje mi się, że trzeba szukać innych interpretacji.

- Na przykład jakich?

- Ze autorzy proroctwa znali plan większości zdarzeń, bo sami w nich uczestniczyli. Jakieś tsunami prędzej czy później by nastąpiło, papież też musiał kiedyś umrzeć, a pozostałe incydenty... Wyprzedzająca wiedza o nich nie byłaby czymś szokującym, jeśli w całej sprawie miała udział Al-Kaida.

- Dużo bym dał, żeby tak było. - Prezydent nalał każdemu po drinku. - Niestety, nic nie wskazuje na Al-Kaidę. Brak też dowodów na udział w tym zamachu jakichkolwiek muzułmanów.

- Rozumiem, że jest brana pod uwagę możliwość, że jednak nie zrobili tego fundamentaliści islamscy? - zapytał Michajłow.

Jego prawa noga założona na lewą cały czas drgała nerwowo.

- Jak najpoważniej - odparł Amerykanin. - Kamery przesyłające obraz na żywo do studia zarejestrowały na chwilę przed wybuchem obraz karetki, która od strony Borgo Santo Spirito wjechała na promenadę prowadzącą w stronę placu Świętego Piotra. Włosi potwierdzili, że pojazd nie pochodził z żadnego z rzymskich szpitali! Był to z pewnością zrobiony falsyfikat. Śledczy idą tym tropem, a my robimy wszystko, żeby im pomóc.

- Rozumiem teraz, dlaczego wybuch przekraczał moc tak zwanej bomby walizkowej - mruknął Rosjanin. - Tak potężnego ładunku nie mógł wnieść w plecaku pojedynczy człowiek, w dodatku nie przyciągając niczyjej uwagi.

- Jednak użycie sanitarki oznakowanej czerwonym krzyżem żadną miarą nie eliminuje Al-Kaidy - upierał się europrezydent.

- Panowie, nie rozpraszajmy się. Zostawmy śledztwo jego biegowi i wróćmy do tematu proroctwa, bo on jest tu najważniejszy - zaapelował Mataka. - Załóżmy, że to, co panom

przed chwilą zademonstrowaliśmy, jest prawdą. Z wszystkimi konsekwencjami! Za niecałe siedem miesięcy urodzi się mały Chrystus i rozpocznie się odliczanie czasu pozostałego do końca świata.

- Równie dobrze można byłoby przyjąć, że prawdą są wszystkie te brednie od wieków głoszone przez Kościół - warknął Europejczyk.

- Daj pan spokój, Alex! Nie jesteśmy w telewizji! - syknął Michajłow. - Ja osobiście jestem praktykującym chrześcijaninem i nie życzę sobie żartów na ten temat. Ponadto wierzę w Paruzję, choć nie przypuszczałem, że nastąpi aż tak szybko.

Biegłość Rosjanina w tematyce religijnej dawała się wytłumaczyć praktyką w wydziale do walki z Kościołem w ramach KGB. Nie był to długi staż, ale i tak bił pod tym względem Brytyjczyka, który nigdy nie był nawet ministrantem.

- Mnie też bliskie są ideały chrześcijańskie! - poparł Rosjanina Matak. Było to z jego strony dość odważną deklaracją. Na temat stosunku prezydenta Stanów Zjednoczonych do wiary krążyły najróżniejsze spekulacje. W zależności od potrzeb marketingowych bywał raz bardziej chrześcijaninem, raz muzułmaninem lub animistą, a krytycy uparcie wytykali mu młodzieńcze grzeszki: praktykowanie voodoo i flirt z satanizmem. Doszło do tego, że w trakcie kampanii wyborczej musiał odcinać się publicznie od znanego z kontrowersyjnych kazań pastora Wilcoxa, co jednak nie przeszkodziło, aby w wyborach ten dziwny człowiek znalazł się wśród personelu Białego Domu. - A co do rzekomych bredni na temat zjawisk nadprzyrodzonych... Muszę zmartwić szanownego kolegę. Jeszcze za czasów moich poprzedników w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego utworzono komórkę zajmującą się wspomnianą problematyką. Wnioski są niezwykle ciekawe. Mianowicie osiemdziesiąt dziewięć procent cudów uznanych przez Kościół rzymskokatolicki nie można zakwestionować, również pozytywnie zweryfikowano znaczną liczbę zjawisk paranormalnych niedających się wyjaśnić na gruncie

współczesnej nauki, a także kilkaset przypadków opętania.

- Jako realista dopuszczam jeszcze jedną koncepcję - odezwał się Rosjanin. - Proroctwo mógł sporządzić ktoś dysponujący realną wiedzą o przyszłości. Może wynaleziono jakieś urządzenie, które to umożliwia, jakiś „wziernik do przyszłości”...

- Sam pan wie, że nauka wyklucza taką możliwość - ożywił się Mac Brandon.

- Dzisiejsza nauka - prychnął Michajłow - być może! Ale za parę lat ktoś podważy twierdzenia Einsteina, sformułuje inną teorię na temat czasu i przestrzeni...

- I sądzicie, że jest możliwe, aby ktoś dokonał takiego naukowego przewrotu akurat w zacofanej Abisynii? - nie poddawał się super-Euro- pejczyk.

- Zostawmy rozważania na temat tego, co jest, a co nie jest możliwe! - przerwał spór prezydent Stanów Zjednoczonych, wyraźnie zły, że partnerzy co rusz odwodzą go od tematu. - Jako odpowiedzialni za ten świat mamy do czynienia z konkretną sprawą i musimy zdecydować, jak ją rozwiążemy. Istnieje kilka opcji. Pozwolić panu Carpenterowi upublicznić swoje odkrycie...

- W żadnym wypadku! - krzyknęli chórem jego obaj rozmówcy.

- Łatwo wyobrazić sobie następstwa takiego działania - rozwinął temat Mac Brandon. - Oznaczałoby to tryumf tradycjonalistów i masowe represje wobec wszystkich, których uznano by za grzeszników - tu powiódł wzrokiem dookoła - z nami na czele.

- Co do prześladowań niewierzących pewien nie jestem. Ale na pewno zgruchotałoby to dotychczasowy styl życia, struktury państw i kanony zachowań - zgodził się Michajłow. - Ludzie inaczej się zachowują, mając przed sobą i swoim potomstwem perspektywy bezterminowe, a inaczej, kiedy się dowiedzą, że czeka ich najwyżej kilkadziesiąt lat, a następnie nieuchronny koniec dotychczasowego świata i wielce prawdopodobny sąd...

- Zgadzam się z panami - rzekł Matak. - Co więcej, uważam, że oprócz paniki i nieprzewidywalnych działań nastąpiłoby

oczywiste zahamowanie globalnej gospodarki, nastawionej przeciw na stałą nieposkromioną konsumpcję. A przy tym wariacie o rosnącym popycie mogliby mówić jedynie producenci włosiennic, dyscyplin i popiołu do posypywania głowy... - Tu zauważył, że nikt się nie zaśmiał, więc zmienił ton. - Zatem poważnie: zgodziliśmy się, że puszczając sprawę na żywioł, mielibyśmy do czynienia z apokalipsą jeszcze przed apokalipsą. Istnieje jednak druga możliwość. Utajnienie.

-1 to nie jest rozwiązanie najgorsze! - powiedział były oficer KGB. - To jak z okłamywaniem nieuleczalnie chorego. Mówi się pacjentowi, że wszystko jest na dobrej drodze, że jego stan się poprawia, a potem szast-prast... Chory nawet nie ma kiedy się zdziwić!

- W dodatku jeśli dojdzie do przepowiadanego kataklizmu, zdarzy się to już na pewno nie za naszej kadencji - zauważył praktycznie prezydent Unii Europejskiej. - A co do odpowiedzialności historycznej... Jeśli potem ma nie być historii...

- Pozostaje odpowiedzialność przed Bogiem, jeśli założymy, że istnieje. A to, niestety, zostało silnie potwierdzone - rzucił prezydent Stanów Zjednoczonych.

- Jeśli istnieje, to pójdziemy do piekła niezależnie od tego, co byśmy teraz zrobili - odpowiedział szczerze Michajłow.

- Zatem przypadnie panom do gustu trzecie możliwe rozwiązanie - rzekł Fanu Mataki - choć być może uznacie je za typowo amerykański pragmatyzm.

- Jakie rozwiązanie?

- Z proroctwa, jeśli wysłuchaliście go dokładnie, wynika po pierwsze, że „powtórne narodziny” nie odbędą się bez trudności. Analiza filologiczna dowodzi, iż na podstawie tekstu nie można stuprocentowo powiedzieć, że Mesjasz się narodzi. Pada słowo: JEŚLI. To znaczy: może się narodzić, ale nie musi... - Tu prezydent znacząco zawiesił głos.

Noga siedzącego na fotelu Michajłowa przestała drgać, a jego stalowe oczy wbiły się w Mulata.

- Och, ty draniu! - powiedział z nieklamany podziwem.

- Rozumiem, że zgadujecie, panowie, co mam na myśli. Operacja, którą musielibyśmy przedsięwziąć, nie jest

bezprecedensowa. Została już raz podjęta, przed ponad dwoma tysiącami lat...

- I zakończyła się klapą... - powiedział Mac Brandon.

Nie wiadomo, czy wskutek nadmiaru emocji, czy wypitych trunków, których dolewał sobie, nie czekając na gospodarza, zrobił się bardzo błady. Mataki przeciwnie, z każdym słowem jego oczy wydawały się płonąć mocniejszym blaskiem.

- Oprawcy Heroda działali w trudnych warunkach, byli niekompetentni i nie posiadali wystarczających środków technicznych - rzekł. - My na szczęście mamy zupełnie inne możliwości. - Nacisnął jakiś przycisk, po czym powiedział: - Pułkownik Butler, zapraszamy.

Do salonu wszedł mężczyzna do złudzenia przypominający Bruce'a Willisa. Wysoki, barczysty, łysy, z krzywym uśmiechem. Skłonił się po wojskowemu.

- Zeby było jasne - ciągnął gospodarz - pułkownik Glenn Butler od pewnego czasu nie jest pracownikiem moich służb. Prowadzi prywatną firmę usługową zajmującą się rozwiązywaniem spraw trudnych i beznadziejnych.

„Wiem - pomyślał Michajłow. - Kiedyś dawaliśmy pięćdziesiąt milionów rubli, żeby go wyeliminować”.

- Jeśli zdecydujemy się na wspomnianą operację - Matakiemu jakoś nie przechodził przez usta termin „rzeź niewiniątek” - jej przeprowadzeniem zajmie się Glenn, co oznacza, że w najmniejszym stopniu nie obciąży ona żadnego z nas. Nawet gdyby sprawa miała wyjść na jaw, pozostanie inicjatywą prywatną. - Tu zwrócił się do Butlera: - Pułkowniku, prosimy.

Na całościennym ekranie pojawił się podświetlony fragment tekstu proroctwa wraz z angielskim i rosyjskim (sic!) przekładem.

- Jak panowie prezydenci zauważyli, nasza robota została znacznie ułatwiona - powiedział Butler. Stojąc na szeroko rozstawionych nogach, przypominał sierżanta prowadzącego zajęcia dla rekrutów, a nie przywódców świata. - Mamy dość precyzyjny termin: poród ma nastąpić po upływie siedmiu miesięcy od dnia zamachu w Rzymie. Mamy też

charakterystykę matki: dziewica, a zatem kobieta niezamężna, blondynka (bądź albinoska), w ciąży z dzieckiem, do którego nikt się nie przyznaje, ma urodzić w nowoczesnym szpitalu...

- Wszędzie teraz są już szpitale - mruknął Mac Brandon.

- Na koniec mnich okazał się na tyle nierozważny, że podał nam jej imię: Służebnica Pańska, czyli po hebrajsku Miriam, co, jak wiadomo, oznacza Marię, oczywiście we wszystkich dopuszczalnych wariantach: Marianna, Mary, Masza i tak dalej. Na pierwszym etapie naszej operacji zamierzamy odnaleźć wszystkie kobiety odpowiadające wspomnianym parametrom.

- A potem? - Twarz Michajłowa przypominała w tym momencie kamienne lico sowieckiego sędziego wydającego wyrok śmierci.

- Nie jesteśmy barbarzyńcami, Anatoliju Siergiejewiczu - uspokoił go Matak - i nad „ostateczne rozwiązania” przedkładamy metody łagodnej perswazji. Poza tym to XXI wiek i wlewanie oleju do głowy nie musi oznaczać strzelania w potylicę... Proszę kontynuować, pułkowniku!

- Wspomnianym kobietom moja agencja złoży, naturalnie przez pośredników, których mamy w tej chwili na świecie kilkuset, propozycję nie do odrzucenia. Premię za dokonanie aborcji.

- Ile? - zainteresował się Europejczyk.

- Nie mam zamiaru wprowadzać stałego taryfikatora. Jedne kobiety z radością zgodzą się pozbyć kłopotu za tysiąc dolarów, do przekonania innych potrzeba będzie miliona.

- A jeśli znajdą się fanatyczki gotowe donosić ciążę za wszelką cenę? - pytał Rosjanin.

- Wywołamy sztuczne poronienie. I to w sposób, jaki postronnym obserwatorom wyda się naturalny. Mogę dać panom słowo honoru, że przy tej operacji nikt nie zginie.

- Oprócz płodów - mruknął Michajłow i zapytał jeszcze: - Czy dajecie gwarancję, że żadna potencjalna matka nie prześlizgnie się przez wasze sito?

- Zamierzamy przeprowadzić operację z dużym marginesem personalnym, zaliczając do interesującej nas grupy nawet



jednostki o bardzo niskim prawdopodobieństwie... Co istotne, nikt z pracujących dla nas pośredników nie pozna prawdziwego celu akcji.

- A jeśli będą pytać?

- To dowiedzą się, że jest to pilotażowy program kontroli urodzin. A gdyby pojawił się ktoś nazbyt ciekawski, po prostu zrezygnujemy z jego usług.

- Świetnie to zostało zaplanowane. - Mac Brandon usiłował wstać z fotela, ale szło mu to dosyć nieskładnie, pozostał więc tam, gdzie siedział. - Jednak od początku zastanawiam się, jaką rolę mamy odegrać w tym przedsięwzięciu my i dlaczego nieobecny tu jest prezydent Chin czy Indii?

- Wydaje mi się, że w tamtych krajach blondynki chrześcijanki nie stanowią dość dużej grupy społecznej - odparł z uśmiechem Matak. - Potrzebuję waszej pomocy głównie po to, aby wasze służby nie utrudniały przypadkiem akcji pułkownika, żeby w prasie nie pojawiły się żadne spekulacje na ten temat. A poza tym... - znowu się uśmiechnął - bardzo chętnie podzielę się z panami odpowiedzialnością za tę akcję. Trzech Króli zamiast jednego Heroda - czy to nie wygląda zdecydowanie lepiej?

- Czy mogę się odmeldować? - zapytał pułkownik.

- Proszę poczekać. Rozumiem, że panowie nie zgłaszają sprzeciwu?

Prezydent Unii Europejskiej westchnął ciężko:

- A co ja mogę? W tej sytuacji... jest oczywiste, iż proponowane rozwiązanie służyć będzie dobru ludzkości.

Matak obrócił się w stronę Michajłowa. Ten kiwnął potakująco głową.

- Jeśli rzeczywiście nie ma innego wyjścia, wchodzimy w to! Rozumiem, że na terenie Federacji, która w skali świata dysponuje chyba największym zasobem blondynek, załatwimy to własnymi siłami i... - popatrzył koso na pułkownika - ...własnymi metodami. Oczywiście w pełnej współpracy z szanownym koordynatorem.

- Nie wiem, czy to rozsądne - zawahał się prezydent Stanów Zjednoczonych.

- Tak będzie lepiej dla nas wszystkich! - przerwał twardo były czekista, który nie miał zamiaru wpuszczać kogokolwiek na swoje podwórko. - Mam jednak do pułkownika liczne pytania szczegółowe. Na przykład jak zamierzacie wyłowić owe „matki”? Wedle statystyki w ciążę zachodzi ćwierć miliona kobiet dziennie. Nawet jeśli odrzucić Chińczyków, Hindusów, Afrykanów i Latynosów, pozostanie „kupa naroda”.

- Na szczęście wynaleziono komputery i sieć - odpowiedział Butler. - Moi hakerzy spenetrują wszelkie bazy danych szpitali, lekarzy położników...

- Nie wszystkie kobiety zgłaszają się do lekarzy z początkiem ciąży, zwłaszcza jeśli ciąża ta jest wynikiem... dość niejasnych okoliczności.

- To oczywiste - rzekł Butler. - Dlatego nasza akcja związana będzie z Legionem Pomocy Samotnym Matkom i podobnymi organizacjami charytatywnymi. Zostanie też przeprowadzona wielka loteria dla matek singielek, z główną nagrodą wysokości miliona dolarów... To powinno zadziałać... Chociaż z tego, co wiem, u was, panie prezydencie - popatrzył na Michajłowa - działalność Legionu jest chyba ciągle zakazana?...

- Ale prowadzimy własną, przemyślaną działalność pronatalistyczną! Samotne kobiety zgłaszające ciążę otrzymują stałe stypendium i premię po szczęśliwym porodzie.

- Akcję wspierać będzie dyskretny wywiad środowiskowy - dodał pułkownik.

Rosjanin jednak nadal zachowywał czujność czekisty.

- Trzeba też wziąć pod uwagę, że część przyszłych matek, z tą najważniejszą włącznie, może dosyć długo ukrywać ciążę, pozostawać pod opieką znajomych lub rodziny.

- Dlatego w dalszej kolejności przyjrzymy się WSZYSTKIM Mariom - uśmiechnął się Butler. - Oczywiście niezamężnym, naturalnym blondynkom w wieku rozrodczym. Zwłaszcza tym, którym nieoczekiwanie zmieniała się figura. Może to oznaczać, że będziemy mogli „zaopiekować” się nimi dopiero w końcowym okresie ciąży, ale nie sądzę, żeby to dotyczyło wielu przypadków.

- Radziłbym wziąć pod szczególną uwagę klasztory - dorzucił

Michajłow. - Na terenie Wspólnoty Niepodległych Państw nie będzie z tym problemu, bo wszędzie działa nasza agentura, ale na przykład w Polsce zakonnica czy nowicjuszka w ciąży upierająca się, że poczęła z Ducha Świętego, może być naprawdę dobrze chroniona.

- Wszystko pozostanie pod kontrolą! - błysnął swymi olśniewająco białymi zębami Matak. - Proszę zauważyć, że nikt poza nami trzema i pracownikami agencji pułkownika Butlera nie będzie miał pojęcia o istnieniu tej operacji. I oby tak zostało! Proponuję więc: wypijmy za jej powodzenie!

Nagła fala uderzyła w jacht i przez moment wydawało się, że jednostka wywinie koziołka; dwie szklanki spadły i roztrzaskały się o podłogę, a Mac Brandon upadł na fotel.

Widząc przerażenie, jakie pojawiło się na jego twarzy, prezydent Stanów Zjednoczonych tylko się roześmiał:

- Spokojnie, panowie, ta jednostka jest niezatapiałna!

## ROZDZIAŁ V

### WSPÓŁPRACOWNIK

Życie nauczyło Carpentera, by nie ufał nikomu. Rinaldo należał do nielicznej grupy wyjątków obdarzanych ograniczonym, ale jednak zaufaniem. Może dlatego, że Joe znał jego rodzinę, bywał w jego domu, bawił się z jego dziećmi. A może skłaniała go do tego intuicja dość szybko dzieląca ludzi na porządnych (mniejszość) i łajdaków (faktycznych lub chwilowo tylko potencjalnych).

Do meritum sprawy nadkomisarz Cavaliere przeszedł dopiero po spożyciu przystawek.

- Zapewne jesteś ciekaw, co udało nam się do tej pory ustalić?  
- zapytał swego gościa.

- Słyszałem o tej tajemniczej karetce na Via della Conciliazione - powiedział Carpenter.

- Karetka stanowiła początek naszego śledztwa. Co więcej, na pięć sekund przed eksplozją jeden z policjantów obecny na placu próbował odszukać dane wspomnianej sanitarki w bazie danych... Nie upubliczniliśmy tej wiadomości, chociaż jest jasne, że gdyby znalazł się ktoś równie bystry dwie przecznice wcześniej i tam zatrzymał pojazd... Ale nie mówmy o tym. Stało się! Dzięki zapisowi z ulicznych kamer, a także na podstawie zeznań naocznych świadków udało nam się prześledzić drogę przebytą przez karetkę. Mamy także portrety obu mężczyzn z szoferki.

- Było dwóch uczestników samobójczego zamachu? - przerwał Joe. - To ciekawe!

- Mnie to też nie pasowało do hipotezy fanatycznych terrorystów samobójców, ale raczej wrobionych frajerów, którzy nie zdawali sobie sprawy z tego, co robią. Zapewne ich zleceniodawcy wspominali wyłącznie o ładunku konwencjonalnym, który mieli dostarczyć jak najbliżej placu Świętego Piotra, a potem bezpiecznie się oddalić. Wiemy w

każdym razie, że wjechali od strony Via San Pio, na sygnale. Wcześniej, już bez sygnału, posuwali się bulwarem wzdłuż Tybru, na który skręcili z Viale di Trastevere. Kamery zarejestrowały ich w tunelu przy stacji Zatybrze i jeszcze w paru miejscach wcześniej. Wiemy też z całą pewnością, że nie przybyli z autostrady od strony Fiumicino. Nikt nie widział ich na obwodnicy ani poza nią.

- Mogli przedostać się jakimiś bocznymi uliczkami?

- Mogli. Ale nie ma na to najmniejszych dowodów.

- Czyli chcesz powiedzieć, że musieli mieć kryjówkę wewnątrz autostradowej pętli!

- Idziesz dokładnie tokiem mego rozumowania. Przez kilka dni w promieniu dwóch kilometrów od miejsca, gdzie widziano ją najdalej, penetrowaliśmy okolice i w końcu znaleźliśmy w rejonie Corviale dom na uboczu, gdzie musiano dokonać owej dość precyzyjnej charakteryzacji ... - Urwał, widząc, że ordynans wnosi dwa talerze z apetycznie wyglądającym makaronem w sosie holognese. - Wygląda na domowy, ale pochodzi z najlepszej restauracji w EUR - skomentował Rinaldo. - Częstuj się.

Ale Joe był głównie głodny informacji, dlatego po przełknięciu paru kęsów zapytał o bliższe szczegóły dotyczące kryjówki domniemanych spiskowców.

- To była zapuszczona, od lat niezamieszкана rudera otoczona murem, ze starym warsztatem samochodowym na zapleczu. Wydałem rozkaz zajęcia jej grupie naszych najlepszych antyterrorystów.

- I okazała się pusta?

- Nie całkiem. Napastnicy pozostawili po sobie mnóstwo śladów, a także trzy ciała w płytkim grobie wykopanym w piwnicy. Trójka mężczyzn od dwudziestu czterech do pięćdziesięciu pięciu lat zginęła z powodu trucizny, prawdopodobnie w tym samym czasie, kiedy ich dwaj kompani podążali z nuklearnym ładunkiem w stronę Città del Vaticano. Wedle naszego laboratorium truciznę podano w koniaku, którym raczyli się po rozpoczęciu akcji.

- Terroryci rzadko posługują się trucizną - zauważył Joe,

delektując się winem podanym do posiłku.

- Chyba że planując likwidację współników, znajdują się w sytuacji „jeden na trzech” i wolą nie ryzykować bezpośredniego starcia.

- Myślisz, że oprócz nich był tam tylko sam szef operacji? Bez obstawy? - W oczach Carpentera pojawiło się zainteresowanie.

- Opieram się na dowodach. W dniach poprzedzających akcję używano w domu sześciu łóżek. Chyba tym szóstym nie był żaden zabłąkany turysta!

- Rozumiem, że zidentyfikowano całą grupę?

- Nie sprawiło to szczególnej trudności, mieliśmy wszystkich w ewidencji. To drobni opryszkowie, ludzie do wynajęcia. Dwóch starszych miało w młodości pewne związki z Czerwonymi Brygadami, ale później nie mieszało się do polityki. Nie interesowały ich nawet uliczne zadymy. Ich rodziny i kumple byli zdumieni, gdy pojęli, że wzięto ich na spytki w kontekście zamachu. „To do nich niepodobne!” - twierdzili zgodnie. Podobno mniej więcej tydzień przed tragedią przechwalali się, że wkrótce zarobią dużą kasę, choć nie mówili za co. Potem jakby zapadli się pod ziemię.

- Nie mieli komórek?

- Mieli, ale wszystkie przez ten tydzień pozostawały wyłączone. Dopiero w czasie akcji kierowca i jego towarzysz przeprowadzili parę rozmów. Według tego, co ustalono, nie przypominały pożegnalnych dialogów samobójców. Starszy obiecywał wpaść do domu na kolację, młodszy umówił się na wieczór z dziewczyną... Ostatnią rozmowę odbyli trzydzieści sekund przed katastrofą.

- Meldowali, że są na miejscu?

- Zapewne. Nie mamy zapisu nagrań, a znamy jedynie czas połączenia. Ustaliliśmy też, że telefon, z którym się łączyli, należał do najstarszego z nich, Antonia Fordiniego. Nie znaleziono go w domu ani w grobie przy ciele. Ciekawe, że z tego samego telefonu prawie natychmiast po odebraniu meldunku zadzwoniono raz jeszcze, na numer telefonu na kartę. Jednorazowego użytku. Połączenie trwało sekundę.

Jeden impuls. Być może w ten sposób uruchomiono detonator.

Rozumiem, że nikt z zabitych nie miał wcześniej nic wspólnego z bronią jądrową?

- Oczywiście. Natomiast nie najgorzej znali się na samochodach. Rozbieranie kradzionych wozów na części od lat było ich specjalnością.

- A wspomniany „Szefer” nie zostawił żadnego śladu? Nikt go nie widział? Musiał przecież wynająć dom, załatwić furgonetkę...

- Wszystko to zorganizowała kobieta w średnim wieku. Jasna peruka, ciemne szkła, płaciła gotówką. Nikt jej o nic nie pytał. Nazwisko, które podała - Clarissa Pazzi - okazało się fałszywe. Nie sądzę, żeby na podstawie portretu pamięciowego ktokolwiek ją rozpoznał. Tak, Joe, nasz przeciwnik to absolutny zawodowiec. W całym domu nie znaleziono żadnych odcisków palców, które mogłyby należeć do niego. Butelkę i szklanki, w których zapewne podano zatruty koniak, wymyło i wytarto do czysta. Do pracy łopatą „grabarz” nałożył rękawiczki...

- Rozumiem jednak, że was to nie zniechęciło?

- Bynajmniej, zwłaszcza że udało się stwierdzić, iż w ciągu dni poprzedzających zamach wynajęci opryszkowicze nie zajmowali się wyłącznie charakteryzowaniem karetki.

- A czym jeszcze?

- Cięciem palnikiem na drobne kawałki sporego samochodu, którego odcisk koła znaleźliśmy przy wjeździe. Nasza ekipa włożyła sporo roboty w zbieranie pozostałych drobiazgów, przetrząsanie złomowisk; w końcu ustalono, że była to „mleczarka”.

- Słucham?

- Beczkowóz do przewozu mleka, wewnątrz którego przewieziono zapewne ładunek plutonu. Dobry pomysł; jeśli chcesz, możesz zobaczyć schemat. - Tu wyciągnął rulon kalki technicznej. - W niegroźnie wyglądającej bańce umieszczony jest mniejszy pojemnik z nuklearnym materiałem, a dookoła mleko tworzy warstwę izolacyjną. Na szczęście dla nas konstrukcja nie była idealnie szczelna, a mleko to nie płynny ołów, toteż zostały promieniotwórcze ślady w miejscu

dłuższych postojów na stacjach benzynowych. Później, już dzięki kamerom ze stacji i z dróg, ustaliliśmy trasę beczkowitzu. Jak myślisz, skąd przybył ładunek?

- Z Europy Wschodniej?

- Z Brindisi - rzekł Rinaldo i wskazał mały punkcik na skraju obcasy włoskiego buta. - Od razu wyjaśnię, że rysopis kierowcy zarejestrowany przez wspomniane kamery niewiele nam powiedział: wysoki, z zasłaniającą twarz ciemną brodą i w grubych przeciwsłonecznych okularach. To mógłbyś być nawet i ty. Ktoś zapamiętał lekkie utykanie...

- Czy mogę skontaktować się z moim adwokatem? - zażartował Carpenter, Cavalieri jednak się nie roześmiał.

- Podejrzewam, że tym kierowcą mógł być sam „Szefer”. Nie dopuściliby, żeby opryszkowie coś skapowali przed czasem. Udało się nam również ustalić, że mleczarkę przezaaczoną do złomowania kupiono przed miesiącem na szrocie koło Pescary.

- A nabywczynią była „tajemnicza kobieta w średnim wieku”?

- Tak. Odnaleźliśmy warsztat, w którym stary wóz wyremontowano na tip-top. Jak słusznie się domyśliłeś, robotę zleciła kobieta mówiąca z lekkim akcentem cudzoziemskim. Jeden z mechaników upierał się, że to była Amerykanka. Inny, że było w niej coś słowiańskiego. Niewiasta twierdziła, że wóz będzie jej potrzebny do transportu surowców płynnych. O więcej nie pytali. Zapłaciła gotówką! Oczywiście w poszukiwaniu „Amerykanki” przetrząsnęliśmy wszystkie okoliczne hotele, agencje wynajmu samochodów. Ani śladu.

- Jeszcze jeden dowód profesjonalizmu!

- Jak najbardziej. Zatem trudno było się dziwić, że w Brindisi na dłuższy czas ślad się nam urwał. Jakoś nie mogliśmy uwierzyć, że w pobliżu znajduje się wytwórnia bomb atomowych, zbadaliśmy więc wszystkie promy i statki towarowe wchodzące w interesującym nas okresie do portu. Poszukiwania rozciągnęliśmy również na pobliskie Bari. Nadal na próżno. Przeskanowaliśmy nadbrzeża wykrywaczami ultrasłabego promieniowania i też nic. Dopiero dziś o świcie otrzymałem wiadomość o jachcie zatopionym niedaleko



wybrzeża, kilkanaście kilometrów na południe od Brindisi. Nasze ekipy właśnie zajmują się jego podniesieniem.

- A ty siedzisz tutaj tak spokojnie? - nie wytrzymał Carpenter.

- Spokojnie nie znaczy beczynnie. Za chwilę wylatujemy do Apu- lii. Po prostu czekałem na ciebie! Poza tym nigdy i nigdzie nie ruszam się z pustym żołądkiem.

Początkowo, zaraz po starcie, Rzym z lotu ptaka wyglądał prawie normalnie. Oczywiście jeśli za normalność uznać znikomy ruch na zatłoczonych zazwyczaj ulicach. Na metropolitalnych arteriach widać było wyłącznie pojazdy wojskowe, karetki i chłodnie do przewozu zwłok. Mimo że od dramatu upłynęły dwa tygodnie, ciągle znajdowano nowe ofiary.

Skierowali się w stronę centrum. Do Kapitolu wyglądało jeszcze znośnie. Dalej, spoglądając w kierunku Watykanu, *krajobraz* przedstawiał się coraz bardziej przerażająco. Zerwane dachy, wypalone budynki, zrujnowany gmach parlamentu, choć obok stareńki Panteon ostał się całkiem nieźle. Zaraz dalej zaczynało się jedno wielkie rumowisko, z którego sterczał, jak bęben wojskowego dobosza, zamek Świętego Anioła, pozbawiony statui wieńczącej go od stuleci i osmalony jak rondel. W miejscu placu Świętego Piotra ział koszmarny lej otoczony przez pniaki po kolumnadzie Berniniego, przechodzące w gruzowisko Watykanu, gdzie uwijały się ekipy w kombinezonach antypromieniotwórczych, ratujące bezcenne detale do przyszłej rekonstrukcji. Dwa kilometry na północ miasto wracało do swego charakteru. Pozostawało jedynie bezludne.

- Pokazałem ci to - powiedział Rinaldo - żebyś na własne oczy mógł się przekonać, cośmy tu przeżyli. Nie ma rodziny w Rzymie, która nie poniosłaby bolesnych strat; ja, chociaż pochowałem brata, szwa- gierkę i dwie siostrzenice, mogę zaliczać się do szczęśliwców potraktowanych przez los wyjątkowo ulgowo.

Kiedy dolecieli na miejsce, wydobyty wrak utrzymywany na powierzchni przez pontony zbliżał się do spokojnej skalistej

zatoczki, w dawnych czasach służącej, wedle miejscowych podań, za kryjówkę przemytników. Morze było spokojne, choć niebo się chmurzyło. Nieubłagany *winter time*.

Na oko jednostka o nazwie „Nimfa Kalipso”, której portem macierzystym był chorwacki Zadar, nie zdradzała żadnych poważnych uszkodzeń. Nienaruszone maszty, nieuszkodzona kabina... Okazało się, że powodem zatopienia była dziura wprawnie wybita w dnie. Nie ulegało też wątpliwości, do jakich celów mógł ostatnio służyć jacht: w luku balastowym znaleziono ślady promieniowania.

Ludzie Cavalieriego zdążyli już zgromadzić całe *dossier* feralnego rejsu. Okazało się, że od trzech tygodni uważano „Nimfę” za zaginioną i trwały jej intensywne poszukiwania po obu stronach Adriatyku. Statek został wynajęty pół roku wcześniej przez pana Clarence’a Woodsa z Kolorado, który przed blisko miesiącem wybrał się na „adriatyckie wakacje” z żoną i dwiema dorastającymi córkami. Po wyjściu z Zadaru odwiedzili Szybenik, Split i Dubrownik, a następnie skierowali się do Kotoru w Republice Czarnogóry, skąd „Nimfa” wyszła w morze 15 września. Nie było jasne, czy „Nimfa” uda się potem do Albanii, czy też pozeleguje w stronę wybrzeża Włoch. W każdym razie od tej pory nikt nie widział ani jachtu, ani jego pasażerów. Zdjęcia satelitarne wskazywały, że ostatecznie jednostka skierowała się w stronę Bari, jednak nie zdołała dopłynąć do portu przed zapadnięciem ciemności, a rankiem kompletnie wessała ją mgła.

Choć na Pobrzeżu Dalmatyńskim takie rzeczy zdarzają się niesłychanie rzadko, poszukujący podejrzewali porwanie. Rodzina Woodsów w okolicach Denver cieszyła się opinią zamożnych, jednak przez cały miesiąc nikt nie zażądał okupu. Prowadzący śledztwo podkreślali też, że nic nie zapowiadało tragedii. Aż do feralnego 15 września rejs przebiegał w najlepszym porządku. Woodsowie dzwonili do znajomych, córki intensywnie SMS-owały, starsza z przyjaciółką, młodsza z narzeczonym. Nie mogły się nachwalić kapitana, trzydziestopięcioletniego Slavka Mi-levicia, którego obyczajem szczerów lądowych wynajęto razem z jachtem. Patty Woods,

pragnąc zagrać na nerwach swemu boyfriendowi, wysłała nawet fotkę Milevicia, strzeloną z komórki: widniał na niej przystojniak o oliwkowej cerze i zabójczym wąsiku, za niski, żeby móc być tajemniczym „Szefem”. Zresztą jego ciało, podobnie jak zwłoki całej czwórki pasażerów, znaleziono w rufowej kabynie zatopionej „Nimfy”. Nie nosiły śladów przemocy, a dzięki dość szczelnemu zamknięciu nie dobrały się do nich ryby. Po przybiciu jachtu do brzegu ekipy sanitarne zajęły się pakowaniem ciał do plastikowych worków. Joe odwrócił wzrok. Wiele śmierci w życiu widział, ale nie potrafił się przyzwyczaić do tego, że ofiarami bywali niewinni ludzie, a zwłaszcza młode i piękne dziewczyny, stworzone przecież do zupełnie innych celów.

Pobieżne oględziny ciał nie wykazały żadnych ran ani śladów przemocy.

- Nie zdziwię się, jeśli się okaże, że użyto tej samej trucizny co w ruderze pod Rzymem - mruknął Cavalieri, obwąchując poczerwiałe usta denatów.

Nadkomisarz znów obstawił trafnie: późniejsza sekcja wykazała, że truciznę podano prawdopodobnie w czerwonym winie podczas kolacji, na którą złożyły się miejscowe owoce morza.

Cennym dowodem był ostatni wysłany już z Kotoru SMS Patty Woods, w którym donosiła o przyjęciu do załogi instruktorki divingu. Nie było żadnych zdjęć ani nawet imienia, tylko jednozdaniowa charakterystyka, która w świetle późniejszych zdarzeń zabrzmiała szczególnie złowrogo: „niemłoda, ale rewelacyjna w swym fachu”...

Kłopot z tym, że nikt w czarnogórskim porcie nie zapamiętał przybycia przystojnej divemasterki. Nie odbyła odprawy paszportowej, niczego też nie dały poszukiwania w miejscowych klubach nurkowych. Snorkeling i diving były wprowadzane w planach wycieczki (i dlatego na pokładzie znajdował się kompresor i zestaw butli), jednak aż do Kotoru nie brano na pokład dodatkowego specjalisty.

- Ciekawe, dlaczego tym razem „Szef” nie wszedł na pokład osobiście? - zastanawiał się Cavalieri.

- Może nie umie nurkować. Albo czekał, aż jego partnerka upora się z załogą i przybije do miejsca, w którym będzie mógł spokojnie załadować bombę.

- Spróbujemy znaleźć miejsce załadunku, ale dobrze byłoby, gdybyś mógł przyjrzeć się bliżej temu kapitanowi. - Cavalieri wręczył teczkę z faktami i zdjęciami Milevicia. - Jest chyba zbyt młody, aby mógł uczestniczyć w wojnie serbsko-chorwackiej, ale już w walkach o Bośnię teoretycznie mógłby... Zwróciłem się o pomoc w tej sprawie do kolegów w Zagrzebiu, ale pomyślałem, że niezależnie od nich ktoś taki jak ty, znający język i ludzi...

- Jeśli trzeba, mogę się rozejrzeć. I tak nie mam nic innego do roboty. Jednak wydaje mi się, że wysyłając mnie na Bałkany, masz jeszcze coś w zanadru. Podejrzewasz, skąd się wzięły bomby?

- To akurat nie jest aż taka wielka tajemnica. Choć nikt z zainteresowanych tego nie potwierdził, w roku 1991 w okresie zamieszania w Rosji podczas puczu Janajewa przekazano dziesięć takich walizkowych gadżetów pod opiekę Slobodanowi Milosevicowi, ówczesnemu przywódcy Jugosławii.

- Przecież to groziło rozpętanem trzeciej wojny światowej.

- Nie do końca wiadomo, o co w tej sprawie chodziło puczystom i czyja to była inicjatywa. Odpowiedzialny za decyzje Borys Pugo jak wiadomo popełnił samobójstwo. W każdym razie w jakieś pół roku później Rosjanie zażądali zwrotu atomowego depozytu. Milosevic zwrócił im osiem ładunków...

- A dwa pozostałe? Czyżby serbski przywódca zostawił sobie walizeczki jako polisę na życie?

- Poruszamy się w świecie domysłów - odparł Cavalieri. - Może coś więcej wiesz na ten temat twoi mocodawcy. Milosevic twierdził, że dwie bomby „zaginięły”, jednak jego samego już o to nie zapytamy...

- Wiem, zmarł w 2006 roku w Hadze w podejrzanych okolicznościach.

- Wiadomo, że jeden z jego ludzi odpowiedzialnych za tę

operację zniknął. Oficjalnie poległ w Bośni.

- Mamy jego namiary?

- Chwilowo żadnych. Poza tym że podobno nosił ksywkę „Diabeł”.

- Jednym słowem, wystarczy znaleźć „Diabła”, a dowiemy się, kto wyprawiał kolegium kardynalskie na łono Abrahama.

Jeśli choć przez chwilę myślał, że jego kontakty z Cavalierim to jego prywatna inicjatywa, ot, przysługi świadczone sobie przez starych kumpli, to z błędu wyprowadził go mężczyzna oczekujący go w hotelu w Bari: Billy Sloane, zwany „Personalnym”, jeden z bystrzejszych agentów cenionych w Firmie za doskonałego nosa, dzięki któremu udaremnił irańską prowokację, która omal nie rozbiła nadwątlonej spoistości Paktu Północnoatlantyckiego. Billy miał również szczęście, które pracownikom tajnych służb jest równie potrzebne jak przeszkolenie w technikach walki. Towarzyszyło mu w misjach, ale nie opuszczało w życiu prywatnym. Jak bowiem inaczej nazwać spóźnienie na pokład concorde’a, który przed paru laty roztrzaskał się pod Paryżem, a Sloane miał zamiar dolecieć nim do Quito i dalej na Galapagos?

Z kolei ksywka „Personalny” nie dotyczyła wykonywanych przez niego zadań, choć w tropieniu rozmaitych typków, którzy narazili się Wujowi Samowi, nie miał sobie równych, ale aparycją: niski i kanciasty, przypominał faktycznie pracownika działu kadr lub rachunkowości jakiejś niekoniecznie wielkiej korporacji.

- Cieszę się, że wracasz do służby, chłopie - powiedział Carpen- terowi, jakby to było oczywistością. - Mamy tu dla ciebie cały zestaw śmiertcionośnych upominków plus paszporty, gotówkę, parę kart i dyskietkę z wszystkim, co może być ci pomocne. Za trzy godziny masz lot do Belgradu. A potem... wszystko zależy od ciebie. Osobiście ci zazdroszczę, że może przyskrzynisz tych drani! Gdybym znał serbski, sam zgłosiłbym się na ochotnika.

-Jeszcze nie powiedziałem, że wchodzę w ten interes. Cavalieri mnie prosił, ale...

Sloane tylko się roześmiał.

- Rinaldo, ty i my to teraz jedna drużyna. A sprawa, którą masz rozwikłać, powinna ci odpowiadać. Dobrzy przeciw złym. Zawsze lubiłeś taki *deal*.

Faktycznie, lubił, dlatego przyjął to, co mu wręczono, a następnie dał się podwieźć na lotnisko. Jednego tylko nie mógł się pozbyć - dziwnego przeświadczenia, że jego dawni zwierzchnicy, dając mu ponownie zatrudnienie, chcieli równocześnie odsunąć go jak najdalej od eschatologicznych aspektów proroctwa.

## ROZDZIAŁ VI

### DALMATYŃSKIE TROPY

Belgrad, Sarajewo, Mostar, Osijek, Zagrzeb, Podgorica. Dla Carpentera przypominało to powrót do przeszłości. Czasami zdawało mu się, że wojna skończyła się dopiero wczoraj, a on, młodszy i zdrowszy, po raz kolejny uszedł z życiem z paru opresji, w trakcie których położono już na nim krzyżyk. Na miejscu jednak zdał sobie sprawę, że było to dawno. A i on sam nie był tamtym sprawnym młodzieniaszkiem, który nie wiedział, co to strach i zmęczenie.

A przecież czasami, spoglądając we wsteczne lustro, zastanawiał się, czy nie zobaczy za swymi plecami kogoś z ich dawnego oddziału. Tylko kogo mógł zobaczyć? Ci, którzy przeżyli, pożenili się, obrośli tłuszczem, dziećmi i nieruchomościami. Z pewnością do cywila - poza Butlerem - nie wrócili „Szwab”, Wolff, Big Novak, Złota Vivien, Armand Borel, mistrz organków (a także organów płciowych), i haker Molina... Reszta wtopiła się w społeczeństwo.

Również w nieistniejącym już państwie marszałka Tita ślady bratobójczych walk pozacierały się, jak zaklejone dziury po kulach czy otynkowane na nowo wypalone ongiś domy. Czasem tylko na jakiejś bocznej drodze straszły zburzone domostwa i zdziczałe ogrody. Poza tym dawna Jugosławia rozsypała się na wiele państw - tak odmiennych: Chorwacja, dzięki turystyce, stawała się krajem coraz bardziej wesołym, Serbia była smutna, Bośnia nieufna.

Dwa tropy, za którymi podążał Joe, kapitana „Nimfy” i tajemniczego „Diabła”, nieoczekiwanie splotły się koło Mostaru. Wieś, z której pochodził Milevic, została zburzona, a resztki tamtejszych Chorwatów wyemigrowały na Pobreże Dalmatyńskie. Oczywiście ci, którym udało się przeżyć. Pod tym względem rodzina Milevicia miała sporo szczęścia. Starsza

siostra Slavka żyjąca wówczas w Sarajewie - Vesna, która związała się z jakimś ważnym Serbem, ostrzegła swoich przed planowaną pacyfikacją. Od lat mieszkała w Stanach Zjednoczonych, ale nie utrzymywała kontaktu z rodziną. Która zresztą i tak ją wykleła. Wyjść za Serba!?

Carpenterowi udało się ustalić, że wybrańcem Vesny był Niko Petković, rocznik 1963, w tamtym czasie młody nauczyciel fizyki w gimnazjum w Sarajewie, który jednak, zmobilizowany do wojska w roku 1991, porzucił zawód i nigdy do niego nie wrócił. Jego specjalności - fizyka nuklearna i wzrost metr osiemdziesiąt trzy centymetry - czyniły go wręcz idealnym kandydatem na „Diabła”, jak i tajemniczego „Szefa” terrorystów. Oficjalnie poległ pod Mostarem, ale czy naprawdę? Jego zwęglone zwłoki rozpoznano wyłącznie na podstawie identyfikatora.

„A co robiłeś później, Niko? Jaką zdobyłeś tożsamość? I co skłoniło cię do wejścia na drogę zbrodni?” - zastanawiał się Joe.

Dwie nauczycielki odnalezione w Sarajewie, które pracowały z Nikiem około roku, twierdziły, że był typem samotnika; na co dzień chmurny, niechętnie zawierał znajomości. Dziewczynę, z którą chodził, Vesnę, pracowniczkę apteki przy głównej ulicy miasta, określały krótko: piękna, niezwykle zgrabna, w szkole trenowała pływanie i gimnastykę akrobatyczną, ale z charakteru bardzo do niego podobna.

- Jakby się w korcu maku dobrali - mówiła dawna nauczycielka chemii, chuda i bezbarwna jak stara próbówka. - Kiedy byli razem, reszta świata w ogóle się dla nich nie liczyła.

Carpenter próbował dowiedzieć się czegoś więcej, ale w odpowiedzi usłyszał jedynie:

- Wojna wszystko podzieliła; zanim to szaleństwo się zaczęło, nie *zastanawialiśmy się*, kto katolik, kto prawosławny, kto muzułmanin, wszyscy należeliśmy do partii i uważaliśmy się za ateistów. I komu to przeszkadzało?

Z Sarajewa Joe pojechał na północ do Osijeka, z którego okolic pochodził Niko. Tam ukończył gimnazjum i stamtąd poszedł do wojska. Szybko ustalili, że cała rodzina Petkovićów



zginęła pod Vukovarem, podczas chorwackiej ofensywy. Wystarczający powód, by się mścić.

Pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej o młodym Niku, szukał jego kolegów i koleżanek z lat szkolnych. Mówili niechętnie. A jeśli udało się cokolwiek wyciągnąć, powtarzały się opinie z Sarajewa. Chłopak był odludkiem. Miał na dobrą sprawę tylko jednego przyjaciela, imieniem Drago. Co zabawne, Chorwata. Spotkanie się z nim okazało się dość trudne: od ponad dwudziestu lat przebywał na oddziale przypadków ciężkich szpitala psychiatrycznego w Zagrzebiu. Rozpoznanie: cykliczne ataki paranoi!

- Ma pan szczęście - powiedział ordynator, wprowadzając gościa do ustronnego pawilonu ukrytego w zieleni, którego charakteru można było się domyślić wyłącznie na podstawie potężnych krat w oknach wszystkich pięter oraz stalowych drzwi, pilnowanych przez kamery. - Nawroty choroby przeplatają się ze stanami nieoczekiwanego polepszenia. Aktualnie znajduje się w całkiem niezłej formie.

Rumiany mężczyzna, do którego pokoju go wprowadzono, nie sprawiał wrażenia szaleńca. Siedząc na czystym łóżku, zajmował się rozwiązywaniem krzyżówki, choć rzut oka wystarczył Carpenterowi, aby zauważyć, że Drago wpisuje w diagram wyrazy niemające żadnego związku z hasłami.

Ze wrażenie normalności jest pozorne, Joe mógł przekonać się już po pierwszym zdaniu.

- Od których przychodzisz? - zapytał Drago, prześwidrowując Amerykanina jasnoblękitnymi oczami.

- Chyba uprzedzono pana, jestem dziennikarzem i piszę...

- Bzdura, bzdura, bzdura! - przerwał gwałtownie. - Są albo jedni, albo drudzy! Jednych ojcem jest dzień, drugich matką jest noc. A gdy się spotkają, będzie jedynie płacz i zgrzytanie zębów. - Po czym nagle zmienił ton: - Niech pan siada, panie redaktorze. Może kawy albo czekoladkę? Drinków tu, niestety, nie serwują. Czym mogę służyć?

- Chciałbym porozmawiać o Niku...

- Ostatni raz widziałem go krótko po maturze. I wolałbym nie oglądać go więcej. Zabijcie go, zanim was zabije!

- A więc jest pan zdania, że żyje, że nie poległ pod Mostarem? - wypytywał Joe.

- Takich ludzi jak on nie można zabić. A przynajmniej nie tak prosto. Osinowy kołek, srebrna, poświęcona kula... A i to niepewne.

Wicie już, że to on zrobił. - Wskazał na przyczepiony do ściany wycinek z gazety z lotniczym zdjęciem zniszczonego Watykanu. A korzystając z tego, że Joe zaniemówił, ciągnął dalej: - Wicie, wicie! Gdybyście nie wiedzieli, nie przysłano by cię tutaj. Naprawdę czekoladki są pyszne. Amerykańskie! Nie masz przypadkiem papierosa? Zabraniają mi palenia, zupełnie nie wiem dlaczego. Przecież od tego bardziej nie zwariuję.

- Poczęstuję pana. - Joe wyjął pudełko marlboro, któremu Drago zaczął przyglądać się ze zwierzęcą oskumą. - Ale nic za darmo, w zamian potrzebuję informacji.

- Kiedy ja nic nie wiem. - Drago znowu zamachał rękami. - Nikt w tej sprawie nic nie wie.

- Szkoda. - Carpenter, który konsekwentnie nie palił, a nosił fajki, jedynie aby ćwiczyć silną wolę, przypalił papierosa i zaciągnął się płytko. - Chcę tylko wiedzieć, jak do tego doszło. Kiedy pański przyjaciel Niko stał się inny?

- Zawsze był inny. - Drago wyrwał mu papierosa z palców i sztachnął się mocno. - Chorobliwie ambitny, perfekcyjny, zawsze chciał dokonać czegoś niezwykłego. Miał jedenaście lat, kiedy podpalił stary młyn. Rok później zrobił skok na delikatesy. Niczego ze sklepu nie wziął, ale chciał nam pokazać, że potrafi, Tyle że w małym, prowincjonalnym miasteczku nie można dokonać wiele więcej. Więc się dusił. Przez jakiś czas zamierzał zostać księdzem. Twierdził, że wystarczy, jeśli skończy seminarium i zostanie biskupem, bo dalej to już wie, jak dochrapać się papieskiej tiary.

- Był katolikiem? - zdziwił się Joe. - Słyszałem, że cała jego rodzina to prawosławni...

- Niko chyba w ogóle w nic nie wierzył, ale świetnie udawał. Zmusił mnie, żebym przedstawił go naszemu proboszczowi, i z miejsca go oczarował. Przystąpił do komunii, chodził do

spowiedzi... Ciekawe, jaki kit musiał wtykać księżom... Ale ten bzik na tle religii szybko mu przeszedł. O wiele bardziej zainteresowała go konkurencja.

- Kogo ma pan na myśli?

Drago ściszył głos do granic słyszalności.

- Diabła! - I widząc, jakie to wywarło na Carpenterze wrażenie, zachichotał. - Niko miał już jakieś szesnaście lat, kiedy zaczął znikać na całe dni. Inni koledzy myśleli, że ma dziewczynę. Mnie jednemu się zwierzał. Buszował po okolicznych lasach, oddawał się postom, próbował narkotyków. I składał ofiary szatanowi. Początkowo ze zwierząt. Raz mnie wciągnął i musiałem uczestniczyć w egzekucji czarnego kota razem z czarnym kogutem. Najpierw umieścił ich w jednym worku i podtopił. Potem... - Nerwowo przełknął ślinę. - Oszczędzę panu szczegółów. Ja rzygałem na samo wspomnienie przez parę dni!

„Podoba mi się ta twoja wrażliwość, Drago - mówił mi później. - Dlatego będziesz mym umiłowanym uczniem. Proces mego przeistoczenia wkrótce się zacznie i ty go zobaczysz”.

No i zaczął się. W przeddzień poboru do wojska zabrał mnie do takiej jednej rudery za miastem. Opuszczony dom położony na wysokiej skarpie nad rzeką. Kompletnie odludzie. Nie wiadomo, kto to zbudował, w każdym razie kiedy teren zaczął się osuwać i zawałiło się kilka ścian, opuścili go wszyscy mieszkańcy. Zapytałem Nika, po co mnie przyciągnął w takie odrażające miejsce.

„Będziesz służył do czarnej mszy” - odparł.

Zaraz po przybyciu w te ruiny Niko wyciągnął z jakiejś piwniczki skrepowaną, kompletnie nagą dziewczynę, liczącą jakieś dwanaście, może trzynaście lat.

„Dziewica - powiedział, zagłębiając palec w jej przyrodzeniu. Zaskomliła jak ranne zwierzę. - Takie są najlepsze do naszych celów. Pomóż mi, Drago, trzeba ją umyć”.

Pomogłem, nie podejrzewając, jak dalej rozwinie się sytuacja. Sądziłem, że więcej jest w tym zabawy i straszenia niż rzeczywistej groźby. Rozkrzyżował ją na stole, obstawił ją świecami. Przywiązał! Nie powiem, podnieciłem się widokiem

jej piersi, łona i tak dalej. Kiedy ją posiadał, po prostu nie mogłem się opanować i... no, wiesz.

- Masturbacja?

Drago westchnął tylko.

- Tymczasem Niko zawołał, żebym poszedł w jego ślady. Nie mogłem, bo właśnie skończyłem.

„W takim razie złożysz ofiarę - zacharczał. - Poderżniesz jej gardło”.

Iu wyciągnął rękę z nożem.

„Nieee!!!”

„Skoro nie, to dokonam ofiary podwójnej”.

Ruszył ku mnie, a ostrze sprężynowca lśniło w świetle księżyca.

Nie wiedziałem, co robię, oszalały ze strachu wytrąciłem mu majcher i rzuciłem się do ucieczki. Niewiele pamiętam, zaraz za ruinami znajdowało się urwisko aż do rzeki, spadłem z wysokości kilkunastu metrów i... I jak to mówią doktorzy, nigdy już nie wróciłem do zdrowia. Niko też na dobre wyjechał z Osijeka. Po roku wojska dostał się na studia do Belgradu. Wiem od wspólnych znajomych, którzy mnie odwiedzali...

- Pisywał może do pana?

- Nigdy! - powiedział z naciskiem i dorzucił raz jeszcze: - Nigdy!

- A ta małaletnia dziewczyna? Przeżyła?

- Nigdy o niej nie słyszałem. Nawet trochę pytałem. Maksymalnie dyskretnie, ma się rozumieć. Wreszcie dostałem zszywkę starych gazet. Zauważyłem wzmianki o paru przypadkach zaginięć małych w tamtym okresie. W każdym razie żadnego ciała nie znaleziono.

Drago był elokwentny, miły, *gotów* do pomocy, dlatego tak zdumiała Carpentera jego reakcja na następne pytanie.

- A kto panu przysyła te paczki z Ameryki, z czekoladą i kawą?

Nagle spurpurowiał jak burak, zaczął ryczeć: „Wyjść, precz!”. Potem słowa zrobiły się kompletnie nieartykułowane. Szaleniec począł bić rękami o krawędź łóżka i głową o ścianę, w jego ustach pojawiła się piana. Zaraz do pokoju wpadli

pielęgniarki i lekarka, która korzystając z tego, że mężczyźni go unieruchomili, zrobiła mu zastrzyk.

- Parę tygodni mamy z głowy - powiedziała do Carpentera i ten wyczuł w jej głosie wyrzut. - Zaczął się nowy cykl. A pan go przyspieszył!

Joe cały czas nie przestawał obserwować Drago. Ten po pewnym czasie uspokoił się i zwiotczał, jednak kiedy przywiązywali go pasami do łóżka, otworzył jedno oko.

- Dziewica porodzi syna i nazwie go Emmanuel! - wymamrotał.

Potem usnął.

Co się tyczy otrzymywanych co miesiąc paczek, Billy Sloane ustalił, że wysyłano je raz w miesiącu z Tamy na Florydzie, Fedeksem. Zlecenie stałe, opłacone gotówką na pięć lat z góry. Ofiarodawczyni (była to kobieta) nie zdradziła swojej tożsamości. Zresztą nie musiała.

Nie mając dość czasu, aby czekać w Zagrzebiu, licząc bez większej nadziei, że pacjentowi się polepszy, Carpenter poleciał do czarnogórskiej Podgoricy. Wedle zdobytych informacji mieszkała tam Marina, młodsza siostra kapitana Milevicia i tajemniczej Vesny. Wprawdzie w rozmowach z przedstawicielami miejscowej policji kobieta twardo trzymała się wersji, że od lat nie ma kontaktu z siostrą, jednak Joe liczył, że dzięki urokowi osobistemu .dowie się czegoś więcej.

Marina pracowała w barze hotelu „Kerber” w centrum miasta. Obiekt był nowoczesny, a jednocześnie, wbrew nazwie przywodzącej na myśl straszliwego psa, strażnika podziemi, przytulny. Liczył wszystkiego dwadzieścia pokojów. Joe wynajął tam apartament i większość czasu spędzał w barze. Jego najnowsza legenda na własny temat brzmiała: biznesmen ze Stanów, szukający miejsc do inwestowania w branży turystycznej. Zauważył, że trzydziestoletnia Marina szybko zwróciła na niego uwagę. Trudno zresztą było nie zwrócić, sezon się kończył i lokal, zwłaszcza wieczorem, świecił pustkami. Zachowaniem Marina Milevic nie przypominała starszej siostry, ponurej, jak mówiono, farmaceutki. Była otwarta, wesoła, choć dyskretna czerń jej stroju stanowiła nie-

wątpliwą żalobę po bracie. Carpenter nie śpieszył się ze skracaniem dystansu. Czytał gazety, oglądał telewizję i dopiero drugiego dnia zasiedział się aż do późnego wieczora. W pewnym momencie jego uwagę zwróciły reklamy akcji humanitarnej pomocy samotnym matkom. Nie umknęło mu, że organizacja humanitarna o nazwie Legion gotowa była w pierwszej kolejności nieść pomoc kobietom, których cięża był efektem przypadku czy gwałtu. Akcji miała towarzyszyć loteria z nagrodą główną wysokości miliona dolarów.

- Za taką sumę sama zaszłabym w ciężę, gdybym miała z kim - powiedziała naraz do Joego, wyrastając za jego plecami.

- Nie usłyszałem, że pani podeszła - powiedział. Oczywiście kłamiąc. Śledził każdy jej ruch.

- Zauważyłam, że skończyła się panu whisky. Jeszcze raz podwójną?

- Dziękuję. Na dziś raczej wystarczy. Chyba że... - Omiótł wzrokiem puste pomieszczenie. - Chyba że napije się pani ze mną.

- Nie piję whisky!

- Może w takim razie baileysa?

- Raczej nie. - Skrzywiła się delikatnie, jak kot, któremu zaproponowano ciastko. - Jeśli mogę wybierać, jestem za śliwownicą.

- Niech będzie śliwownica. Również dla mnie.

Przy tym lokalnym alkoholu siedzieli dobre trzy godziny. Jeśli lokal reklamował się, że działa „do ostatniego klienta”, to trudno o lepsze potwierdzenie. Carpenter bredził o Kolorado, w którym, wyjąwszy parę międzylądowań w Denver, nigdy nie był. Wspomniał, że jest wdowcem (Prawda!) i ma dwójkę odchowanych dzieci (Kłamstwo! Nigdy nie dorobił się żadnego potomstwa). Pokazywał nawet zdjęcia Maud i parki dwudziestolatków, które nosił w portfelu (To, że byli to przyjaciele polegli dawno temu w „Pustynnej Burzy”, nie miało w tym momencie żadnego znaczenia).

Siedzieli coraz bliżej siebie, w coraz intymniejszej atmosferze.

Zapytał Marinę o jej żalobę. Wspomniała swego brata

marynarza, który zginął na morzu. Nie mówiła, jak zginął, ale Joe też nie drążył tego tematu. Pragnąc wyciągnąć od niej więcej, poruszył temat więzi rodzinnych; normalnie był całkowicie pozbawiony czegoś takiego, ale opowiadał o najdalszych pociotkach, o spotkaniach w Dniu Dziękczynienia u wuja Boba, który miał domek pod miastem z rewelacyjnym widokiem na ośnieżone szczyty Gór Skalistych (widział kiedyś taki landszaft w turystycznym folderze). Wreszcie, między jednym a drugim komplementem, szeptanym tak blisko, że jego wargi nieomal dotykały ładnie wymodelowanego ucha dziewczyny, wyciągnął z niej informację, że miała siostrę.

- Ale ona nie żyje! - dodała i błyskawicznie zamknęła temat.

- Bardzo mi przykro - powiedział pełen współczucia.

Zrobiło się już naprawdę późno i Marina zdecydowała się zamknąć bar.

- Jutro też będzie dzień - oświadczyła. - I ktoś musi przynieść gościom - tu popatrzyła na Carpentera - śniadanie do łóżka.

Zaofiarował się, że ją odprowadzi; przy czujnym recepcjoniście nie mógł nawet marzyć o zaciągnięciu jej do pokoju, tymczasem z jej słów wynikało, że mieszka sama. W dodatku niedaleko. Nawet jeśli nie zaprosi go do środka, nocny spacer na świeżym powietrzu z pewnością dobrze mu zrobi.

Przyjęła ofertę, choć od razu oświadczyła, że może się o nią nie kłopotać.

- To spokojna miejscina - powiedziała, biorąc go pod ramię. Czując napór jej twardego biustu, natychmiast poczuł podniecenie. - Wszyscy mnie tu znają...

Szli nieśpiesznie i gdyby był młodszy, wskazałby latarnię, przy której zaczęły się całować. Czy jaki diabeł kazał mu popsuć znakomicie rozwijający się scenariusz? Czy też naszła go wizja zapłakanej twarzyczki Salam i przypomniał sobie własną deklarację, że się z nią ożeni? Nawet jeśli trochę wtedy blefował, teraz rosło w nim przekonanie, że gdy tylko dokończy śledztwo, wróci do Etiopii i odnajdzie dziewczynę.

Zrobił więc, co zrobił. W odpowiedzi na pytanie Mariny, co też przyszło mu do głowy, aby szukać terenów do inwestowania

właśnie tutaj, odparł, że pomysł zawdzięcza przyjacielom, też rodem z Kolorado, prawdziwym fanatykom Bałkanów. Od lat rokrocznie spędzali tu wakacje, jeśli nie na lądzie, to na morzu.

- Mogła pani słyszeć o nich od brata, to rodzina Woodsów...

Marina wyrwała rękę spod jego ramienia.

- Kim pan jest, panie Carpenter? - wykrztusiła. - Bo na pewno nie inwestorem.

- Prawdę powiedziawszy, zdemaskowała mnie pani; reprezentuję firmę ubezpieczeniową. - Sięgnął po wizytówkę. - Polecono mi sprawdzić okoliczności śmierci państwa Woodsów.

- Nie wiem nic na ten temat. I proszę dać mi spokój!!! Zegnam!

Wyciągnął dłoń na pożegnanie, ale zignorowała ją i wbiegła po schodkach do murowanej willi.

- A szczęście było tak blisko - mruknął do siebie.

Jednak nie wrócił do hotelu. Ukrył się w pobliskich krzakach i czekał. W międzyczasie zadzwonił do człowieka Firmy w Podgoricy i zasugerował czujność. Matt Brown już wcześniej założył podsłuch w domu dziewczyny. Jednak Marina nie była aż tak głupia, żeby telefonować z domowego aparatu czy osobistej komórki. Mniej więcej po kwadransie usłyszał jej stopy na kamiennych schodkach. W okolicy znajdowały się trzy automaty telefoniczne. Wszystkie oczywiście pod opieką Browna. Rozmowa z numerem w Stanach Zjednoczonych była krótka.

„Nadal za mną węszą, dopytywali się o ciebie i Slavka. Co mam robić?”

„Po pierwsze nie dzwonić!” - warknęła kobieta z drugiej strony kabla. I wyłączyła komórkę.

Ale nawet to jedno zdanie wystarczyło, żeby ją namierzyć. Pół godziny później „zdjęto” panią Summer Atkinson (co za pomysłowość zamienić Vesnę na Lato). Policja zatrzymała jej wóz jak do rutynowej kontroli na drodze z centrum Sarasoty na wybrzeże. Kobieta, nadal zresztą pracująca jako farmaceutka, nie opierała się długo i wskazała miejsce pobytu swego męża. Piękny dom na brzegu morza.



- Nie mamy niczego do ukrycia - twierdziła.

Również Nicolas Atkinson, niegdysiejszy „Diabeł”, nie stawiał oporu agentom federalnym. Funkcjonariusze nie musieli wylamywać drzwi. Już na podjeździe zastali wysokiego mężczyznę na wózku inwalidzkim. Jak się okazało, Niko Petkovic nigdy nie odzyskał pełni zdrowia po starciu pod Mostarem. Ledwo powłóczył nogami, a ta kontuzja szła w parze z kompletną utratą wzroku... Kiedy zdjął ciemne okulary, oczom funkcjonariuszy ukazały się puste, zapadnięte oczodoły. Później wyszło na jaw, że przed dwudziestu laty pod Mostarem „Diabeł” po prostu zdezerterował, przechodząc na stronę Chorwatów. Wkrótce potem przydarzył mu się ten wypadek... Zresztą czy to był wypadek?

Glenn Butler twierdził zawsze, że nie ma przypadkowych zdarzeń i nieszczęśliwych zbiegów okoliczności. Bywają najwyżej nieznani sprawcy.

## ROZDZIAŁ VII

### DIABŁY I ANIOŁY

Przelot do Stanów *zabrał* Carpenterowi dwa dni; po trzech przesiadkach dotarł wreszcie do domu Atkinsona, pięknej piętrowej, krytej dachówką rezydencji położonej w ładnym ogrodzie na Longboat Key, wyspie barierowej oddzielającej Sarasotę od otwartego morza, gdzie ze względu na kalectwo Nika odbywały się przesłuchania prowadzone przez FBI. W drodze wyjątku pozwolono Joemu brać w nich udział. Petkovic utrzymywał, że atak na niego pod Mostarem był zaplanowaną akcją serbskich służb. Ginęli wszyscy, którzy mieli styczność z bombami walizkowymi.

- Dlatego przeszedłem na stronę wroga! - oświadczył - Po prostu nie dano mi żadnego wyboru.

Jeśli idzie o losy dwóch zagubionych bomb, nie miał na ich temat wiele do powiedzenia. Twierdził, że wszystkie ukryto w jaskiniach gdzieś na południu Nowej Jugosławii. Ale dlaczego zwrócono tylko osiem?

- Nie byłem w ekipie, która zajmowała się ich zwrotem. Słyszałem jedynie, że oficer za to odpowiedzialny wywiązał się z zadania i wkrótce potem zginął w wypadku drogowym.

Carpenter pozostał dociekliwy i nieufny. Dopytywał się o aktualny status majątkowy, nie bardzo wierząc, że można dorobić się willi nad morzem z prowadzenia niedużej apteki.

Niko spuścił głowę.

- Zapłacili mi - powiedział cicho. - Przekazałem Chorwatom dużo informacji na temat struktur wojskowych Nowej Jugosławii. W nagrodę otrzymałem nową tożsamość, potem obywatelstwo niemieckie, wreszcie amerykańską wizę. Już w Stanach zająłem się inwestowaniem. - Wskazał na leżący na biurku serwis giełdowy, wydrukowany alfabetem Brail- le'a. - Okazałem się w tym niezły. I miałem szczęście. Chociaż,

powiem panom, wolałbym być nadal biedny, za to pełnosprawny.

Brzmiał cholernie wiarygodnie i miał wytłumaczenie każdej kwestii, ale Joe ciągle mu nie dowierzał. Zapytał o jego pseudonim.

- Ach, „Diabeł” - zaśmiał się Niko. - Jeśli podciągnie pan mój sweter, to zobaczy pan znamię powyżej pośladka. Nawet zamierzałem je usunąć, ale lekarz odradził. Przypomina cyfrę sześć. W dawnych czasach uważano taki znak za diabelski i stąd moja ksywka...

- Pański przyjaciel Drago utrzymuje coś innego - skontrował Carpenter. - Opowiedział mi o waszych doświadczeniach satanistycznych.

- Kochany Drago - westchnął Atkinson. - Biedaczyna, od lat rzeczywistość miesza mu się z iluzją. Niestety, trzeba się pogodzić z tym, że już nigdy z tego nie wyjdzie. Pomagam mu, jak mogę. Co miesiąc wysyłam paczki do Zagrzebia.

- Anonimowo?

Wzruszył ramionami.

- Nie należę do osób popularnych *na* Bałkanach. W Serbii jestem poszukiwany za zdradę, Chorwaci też uważają, że ich wykiwałem, więc wolę nie wkopywać starego druha... A wracając do Drago: bardzo go lubiłem. Był taki pomysłowy *w* swych konfabulacjach... Powinien chyba książki pisać. Jeśli wpadnie pan do niego następnym razem, to opowie o tym, jak został uprowadzony przez kosmitów... Ja i satanizm? Zabawne. Co niedzielę razem z żoną jeździmy do cerkwi. Nomen omen, mieści się w Sankt Petersburgu, po drugiej stronie zatoki...

Badanie wykrywaczem kłamstw, któremu w dniu następnym Atkinson chętnie się poddał, nie pozostawiło wątpliwości: inwalida mówił prawdę. Również testy lekarskie potwierdziły pełną utratę wzroku. Co do nóg, były jeszcze sprawne, ale biorąc pod uwagę liczne kontuzje, pozwalały na poruszanie się jedynie w ograniczonym stopniu. Jego kartoteka, tak w FBI, jak w lokalnej policji, była czysta; jako niewidomy nie mógł mieć nawet mandatów za złe parkowanie.

Ken Miles, który po pierwszym sygnale Joego osobiście

przybył do Sarasoty, nie krył wściekłości. Być może sam dostał jakąś burę od przełożonych. W każdym razie wydawał się jeszcze chudszy niż zazwyczaj.

- Tyle zachodu, kosztów i ślepy trop, stary. Szukałeś superagenta, a znalazłeś inwalidę. A jego żona! - Miles zdążył uczestniczyć w przesłuchaniu Vesny Petkovic. - Pomysł, że ta spokojna pani Summer gotowa byłaby otruć własnego brata to naprawdę odważna hipoteza.

Faktycznie, przesłuchania Summer (Vesny) nie posunęły sprawy. W odróżnieniu od skłonnego do współpracy Nika spokojna, lecz małomówna odpowiadała Joemu monosylabami. Mimo podchwytliwych pytań nie powiedziała niczego, co mogłoby różnić się od zeznań męża. Którego, i to się czuło, uwielbiała bezgranicznie.

- Sądzisz, że tak wyglądają dzisiaj Bonnie i Clyde? - ironizował Miles.

- Niczego nie można wykluczać - bronił się Carpenter.

Ale argumentów nie miał. Bo niby skąd miał mieć? Petkovic i jego żona od co najmniej dziesięciu lat, czyli od uszczelnienia granic po tragedii WTC, z całą pewnością nie opuszczali Stanów Zjednoczonych. Prowadzili spokojny tryb życia, nigdy nie wchodzili w konflikt z prawem. W wyborach głosowali na demokratów.

- Starzejesz się, Joe - skomentował Ken. - Masz jakąś nową koncepcję kontynuowania sprawy? Innych podejrzanych?

Nie miał. Niemniej jednak nie chciał się poddać. Wierzył w intuicję. W małżonkach Atkinson, w ich sterylnym domu, w ich „przezroczyście” życiu było coś, co go niepokoiło, choć pozostawało trudne do zdefiniowania. Brak jakichkolwiek obrazów na ścianach, zdjęć, pamiątek...

Chciał wrócić do Zagrzebia i jeszcze raz spróbować rozmowy z Drago. Nie zdążył. Wiadomość od Cavalieriego zmroziła go do reszty. Jakies trzy dni po ich pierwszym, a zarazem ostatnim spotkaniu szaleńcowi polepszyło się na tyle, że zdołał we własnym pokoju powiesić się na prześcieradle. Kamery monitorujące korytarz przed jego pokojem akurat się zepsuły.

W Tampie po raz kolejny poczuł się emerytem. Przeczuwał,

że Miles ostatecznie go skreślił, a niedawna wiara, że pomoże w odnalezieniu sprawców rzymskiego zamachu, spadła do zera. Nie powiedzieli mu wprost, że rezygnują z jego usług, ale nie musieli mówić. Ledwie udało mu się przekonać Kena, żeby pozwolił mu zostać jeszcze trochę na Florydzie.

- I będziesz podglądał tego inwalidę?

- Również. Co prawda nie jest naszym głównym podejrzanym, ale pozostaje w kręgu podejrzeń...

- Przeszedł test wykrywaczem kłamstw!

- Wykrywacz można oszukać. A on był szkolony. Poza tym innego śladu nie mamy. Nie zaprzeczył, że był związany z bombami, co prawda nie mógł wydobyć ich osobiście, ale może podzielił się z kimś informacją... Pozwól, że jeszcze trochę poweszę.

Pozwolili. W swojej łaskawości pozostawili mu służbowy wóz, który nie był wprawdzie autem Jamesa Bonda, ale posiadał pewne dodatkowe udogodnienia. Płacili za hotel i pokrywali inne koszty. I dali mu wolną rękę.

Zaprzyjaźnił się ze strażnikiem osiedla, któremu skłamał, że poluje na handlarzy narkotyków mających gdzieś w pobliżu punkt przerzutowy, dostał więc przywilej szwendania się po alejkach wśród kanałów, a także na zalewanych przez morze kamienistych wysepkach od strony zatoki, porosłych tu i ówdzie namorzynami. Inwigilacja niewidomego (kryć musiał się jedynie wtedy, gdy wracała żona) to dość prosta fucha. Można spokojnie stać na wprost okien obserwowanego obiektu.

Na krótko poprawił mu się też humor, kiedy okreśną drogą przez jego skrzynkę pocztową w Waszyngtonie (którą raz w tygodniu opróżniał zaufany współpracownik) przyszedł do niego wreszcie list od Salam.

*Przepraszam, że dopiero teraz się odzywam, i w ogóle jest mi głupio z powodu mego zachowania. Wtedy po prostu straciłam głowę, tyle na mnie spadło... Musiałam się jakoś uporać psychicznie, choć pewnie najtrudniejsze przede mną. Cudownie wspominam naszą podróż i współpracę. Chciałabym Cię kiedyś zobaczyć. Nie wiem, czy miałyby to większy sens. Ale pewnie*

*powinnam. Nie my piszemy scenariusz tego spektaklu. Jeśli będziesz chciał się ze mną skontaktować, pisz na instytut. Mnie chwilowo nie będzie w Addis, ale za jakiś czas postaram się znów odezwać. Modłę się za Ciebie, za nas, za świat. Bądź zdrowy.*

Twoja S.

Trudno o dziwniejszą korespondencję. Carpenter przeczytał list ze sto razy, ale nie potrafił wyczytać nic więcej ponad to, co rzucano się w oczy. Salam chciała dać mu coś do zrozumienia. Tylko co? List wrzucono do skrzynki na poczcie głównej w Addis Abebie. Nie było śladu, by po drodze ktoś go otwierał. Mimo tysięcy kilometrów przebytych przez list Joe mógł przysiąc, że czuje zapach Salam, zapach fiołków.

Siedzenie rodziny Atkinsonów, prowadzących niezwykle regularny tryb życia, wydawało się najnudniejszym zajęciem na świecie. Rano Summer jechała do apteki, a jej mąż spacerował z laską po ogrodzie i nasłuchiwał głosów ptaków, które wabiły specjalne karmniki. Jeśli tylko usłyszał coś interesującego, zaraz wyciągał magnetofon i nagrywał. W porze lunchu przyjeżdżała do niego Summer, przeważnie z gotowym obiadem. Po południu Niko zasiadał przy fortepianie, a jego żona wracała do pracy. Grał poprawnie, chociaż Rubinsteinem nie był. Wieczorem małżonkowie szli przeważnie na spacer nad brzegiem morza lub wybierali się na jakiś koncert muzyki poważnej. W niedzielę wyruszali łódką łowić ryby w zatoce. Ich kontakty z sąsiadami ograniczały się do zdawkowych uprzejmości. Wyglądało na to, że z nikim nie utrzymują bliższych związków.

Owszem, Niko miał komputer z klawiaturą dla niewidomych i prowadził sporadyczną korespondencję, ale dotyczyła ona wyłącznie muzyki i łowienia ryb. Osobną grupę jego kontaktów stanowili miłośnicy ptaków. Atkinson potrafił na słuch rozpoznać ponad dwieście gatunków „skrzydlatych przyjaciół”. Razem z takimi jak on maniakami odwiedzał strony ornitologiczne, zamieszczał swoje nagrania w formie plików mpg, ściągał inne... Carpentera zdumiała mnogość miłośników ptaków, którzy wchodzili na te strony. Sprawdził kilkuset z nich

i zauważył, że co najmniej pięciu to niewidomi (klawiatura brajlowska pozostawia pewne informacje w sieci, zauważalne przez fachowców). Zapewne brak wzroku powodował większą wrażliwość na dźwięki... W każdym razie udział w ornitologicznej wspólnoty był jedyną zauważalną ekstrawagancją, na jaką były atomista sobie pozwalał. Na prośbę Joego w Firmie prześwietlono wszystkie odbierane i wysyłane przez niego pliki. Od czasu walki z Al-Kaidą wiadano, że w jpg-ach czy mpg-ach mogą być ukrywane zaszyfrowane wiadomości, jednak w nagraniach ornitologów jedyne dodatkowe dźwięki można było zidentyfikować jako wycie wicheru czy szelest gałązek.

- Nic tu nie ma ponad to, co jest! - stwierdzili fachowcy.

Joe postanowił dociągnąć obserwację do następnej niedzieli, a gdy wybiorą się na zwyczajowy połów, przeszukać dom pod nieobecność gospodarzy. Podśluch założono Atkinsonom jeszcze na początku śledztwa, ale na razie nie uzyskano z niego żadnych wskazówek poza tym, że temperamentni ludzie z Bałkanów stosunkowo często uprawiali seks. Gdyby także nielegalny kipsisz nie przyniósł żadnych efektów, Carpenter gotów był zrezygnować.

Tymczasem kiedy w piątkowy rano jak zwykle zaparkował w miejscu, z którego miał najlepszy widok na dom i ogród Atkinsonów, jego uwagę przykuł nie purpurowy kardynał, który przycupnął przy ogromnym karmniku, ale tytuł w „International New ^brk Times”, który wysunął się spod pliku innych gazet ciśniętych na przednie siedzenie.

Tajemnicze porwanie w Izraelu

*Terrorysty wdzierają się do klasztoru karmelitanek. Siostra Miriam z pistoletem w ręku walczy i rani napastników.*

*Dlaczego porwano dziedziczkę fortuny Samuela Levicky'ego? Czy jest to prawda, że dwudziestodwuletnia Miriam, która wbrew woli rodziców przeszła na katolicyzm, była w czwartym miesiącu ciąży? Śledztwo trwa.*

Obok zamieszczono zdjęcie młodej zakonnicy z czasów, kiedy jeszcze nie była zakonnicą. Joe poczuł, jakby go przeszedł

prąd. Te jasne, złociste włosy, karminowe usta i jasnobłękitne oczy, jakby z lekka zażawione. Gdzież on to widział? Oczywiście, w *Zwiastowaniu* Rafaela. Rozchylone usta Miriam Levicky zdawały się mówić: „Otom ja, służebnica Pańska, niech mi się stanie wedle Twego słowa”.

Carpenter nigdy nie wyciągał pochopnych wniosków. Kiedy czytał notatkę prasową, przelatywało mu w głowie wiele myśli i nieprzyjemnych podejrzeń, wołał jednak się upewnić. Dlatego rezygnując z obserwacji domu Atkinsonów, bez chwili zwłoki zawrócił do miasta i tam zajechał do kawiarenki internetowej, gdzie zaczął ściągać z sieci wszystko, co tylko mógł znaleźć na temat porwania panny Levicky. Własnego laptopa wołał nie wykorzystywać. Jeśli jego najgorsze podejrzania miały się potwierdzić, bardzo nie chciał, aby ktokolwiek zauważył, że interesuje się tym incydentem. Wprawdzie ostatnio nie czuł się szczególnie inwigilowany, ale wołał się nie podkładać. W kawiarence mimo wczesnej pory panował spory ruch, wszystkie stanowiska były zajęte. Jednak po krótkiej dyskusji udało się dyudziestką dolców przekonać jednego małolata, by wpuścił go na swoje miejsce, a sam poszedł grać na automacie. W sprawie tajemniczego porwania, do którego doszło 15 października, większość doniesień ograniczała się do sensacyjnych nagłówków i banalnych notatek przepisywanych z jednego źródła. Najszerzej oczywiście rozpisywała się prasa izraelska. Na szczęście hebrajski był jednym z pierwszych bliskowschodnich języków, które Joe sobie przyswoił.

Po dwóch godzinach spędzonych przed monitorem miał już w miarę kompletny obraz zdarzeń. Aram Levicky był radzieckim Żydem, któremu udało się opuścić ZSRR w połowie lat osiemdziesiątych. Niespodziewanie szybko się dorobił, podobno na handlu bronią, czemu miały sprzyjać jego dawniejsze kontakty z KGB, a następnie FSB. W ćwierć wieku po przybyciu do Ziemi Obiecanej był multimiliarderem. Złośliwi twierdzili wprawdzie, że ten postawny, jasnowłosy mężczyzna w ogóle nie jest Żydem, a jedynie ma odpowiednie papiery, jednak matka Miriam, Hannah, była stuprocentową Żydówką z dobrej aszkenazyjskiej rodziny. Chociaż oglądając



córkę, wszyscy zgadzali się, że jest to „skóra zdarta z ojca”.

Miriam była zdolna, inteligentna, ale dość dziwna. W wieku mniej więcej piętnastu lat zaczęła się fascynować chrześcijaństwem, potajemnie się ochrzciła, a w pierwszym dniu swej pełnoletności wstąpiła do klasztoru karmelitanek. U ojca wywołało to prawdziwy szok, który szybko przemienił się w rozpacz, kiedy w zamachu terrorystycznym na głównej ulicy Tel Awiwu zginęła Hannah z pięcioletnim Icchakiem, przewidywanym na dziedzica fortuny. Aram podejmował liczne zabiegi, żeby wyciągnąć córkę z klasztoru, rozmawiał z miejscowymi hierarchami katolickimi, jeździł nawet do Rzymu. Wszystko rozbijało się o niewzruszone stanowisko Miriam. Jedyne, co się udało, to namówienie córki, aby przed złożeniem ostatecznych ślubów spędziła wakacje w domu. Przekonały ją świadectwa o zaawansowanej chorobie wieńcowej ojca. Dwa miesiące przebywała w rezydencji Levicky'ego koło Nazaretu, poddawana delikatnym manipulacjom psychologicznym, które jednak nie zdały się na nic, a nawet wpędziły ją w depresję. Przeszła też ostre zapalenie opon mózgowych, w trakcie którego parę dni pozostawała nieprzytomna, ale gdy wróciła do zdrowia, podjęła nieodwracalną decyzję powrotu do klasztoru.

- Jeśli mi przeszkodzicie, zabiję się! - powiedziała do ojca w obecności służby.

Prawdopodobnie blefowała. Jako katoliczka nie mogła przecież akceptować samobójstwa, jednak Aram nie zamierzał ryzykować. Skapitulował. A może tylko udał, że kapituluje. Dwa miesiące po jej powrocie do klasztoru, na krótko przed ostatecznymi ślubami zakonnymi, doszło do niespodziewanego ataku.

Początkowo, czytając doniesienia o dramacie w klasztorze karmelitanek, Carpenter myślał, że chodzi o obiekt położony na górze Karmel opodal Hajfy. Dokładna lektura wyprowadziła go z błędu. We wspomnianym miejscu znajdowała się wspólnota męska; żeńska miała swą siedzibę w Jerozolimie, prawie u szczytu Góry Oliwnej, tej samej, na której zboczach znajduje się ogród, gdzie pojmano Jezusa, a której szczyt, jak wiadomo, jest

miejszem, skąd jakiś czas po swym Zmartwychwstaniu Jezus dokonał Wniebowstąpienia.

Napastnicy przybyli nocą i początkowo działali bezszelestnie. Czwórka mężczyzn i jedna kobieta. Teren nie był łatwy, najeżony posterunkami izraelskimi; zaraz obok znajdowało się wzgórze świątynne i Meczet Skały, pilnowany przez Arabów. W dodatku szczyt Góry Oliwnej jest prawie całkowicie pozbawiony roślinności. Drzewa, wycięte podobno przez Rzymian podczas słynnego oblężenia Jerozolimy przez Tytusa, mają wyrosnąć ponownie dopiero w dniu końca świata.

Okolo drugiej w nocy do furty zadzwoniła kobieta z ważną wiadomością do siostry przełożonej. Otwarto jej, nie przeczuwając podstęp. Natychmiast za nią wdarło się dwóch mężczyzn, w tym czasie kolejni dwaj, w maskujących *kominiarkach*, przedostali się od innej strony. Wcześniej tylko sobie znaną metodą unieruchomili system kamer i alarmów, w który wyposażony był obiekt. Paralizatory i gaz obezwładniający sprawiły, że bez większego hałasu dotarli do pomieszczeń klauzurowych.

Zaskoczeniem było zachowanie Miriam. W chwili ataku nie spała, nie dała się zaskoczyć ani przestraszyć, tylko przywitała napastników strzałami z pistoletu. Skapitulowała, dopiero kiedy dowódca komanda, chuderławy pokurcz w kominiarce, zagroził zabiciem na jej oczach matki przełożonej. Wszystkie zakonnice zostały uśpione, a napastnicy wraz z Miriam zniknęli, zabierając z sobą rannego towarzysza, krwawiącego jak zarzynany prosiak. Którędy się ewakuowali, nie wiadomo. Dokładne analizy wykazały obecność tamtej nocy w rejonie Góry Oliwnej nadliczbowego pojazdu armii izraelskiej, do którego nie przyznała się żadna jednostka. Zresztą ów podejrzany samochód również rozpląnął się jak kostka cukru we wrzącej kawie zaraz po wjeździe do dzielnicy zamieszkaanej przez ortodoksyjnych Żydów. Jeszcze bardziej tajemnicze było zniknięcie próbek krwi pobranych na miejscu incydentu. Kiedy doszło do analizy, okazało się, że jest to krew barana. Próba ponownego pobrania okazała się niemożliwa: skrzętne siostrzyczki umyły już podłogi aż do pełnego połysku.

Dla dziennikarzy śledczych stało się jasne, że sprawcy, a zwłaszcza ich mocodawcy, to ludzie potężni, zdolni zapewnić sobie nietykalność i ingerować w śledztwo. Idealnie pasował tu „wyrodny ojciec”, jak z lubością nazywały go media, z pełnym przekonaniem kreujące go na sprawcę.

Wprawdzie w zakonie karmelitanek obowiązują śluby milczenia, a policja zobligowana jest do zachowywania tajemnicy śledztwa, jednak reporterzy bez trudu docierali do różnych interesujących szczegółów.

Na przykład wśród zamówień z internetowej apteki na potrzeby zakonu znalazły się testy ciążowe. Później puścił farbę miejscowy lekarz. Na koniec publiczną tajemnicą stała się informacja, że młoda kandydatka na zakonnicę w momencie porwania była w czwartym miesiącu ciąży. Z prostych wyliczeń wynikało, że do zapłodnienia musiało dojść w trakcie pobytu w willi ojca. Czy Miriam została tam zgwałcona? Jeśli tak, to przez kogo? A może ojciec w trosce o przedłużenie rodu zmusił ją do zawarcia małżeństwa? Jednak jeśli tak było, dlaczego wróciła do zakonu i, jak się okazało z niedyskrecji kolejnego lekarza, była szczerze zdumiona swoją ciążą? Czyżby nie wiedziała, skąd się biorą dzieci? Najnowsza informacja głosiła, że Aram Levicky został tymczasowo aresztowany...

Joe najchętniej wsiadłby w najbliższy samolot i udał się do Tel Awiwu, bo to, co działo się w Izraelu, aż za bardzo pasowało do treści proroctwa, jednak również w Sarasocie rozwój wypadków zaczął przyspieszać i bardzo się komplikować.

## ROZDZIAŁVIII

### ŚLEPY TRAF?

Jeszcze nie dokończył przeglądać informacji na komputerowym monitorze, kiedy zawibrowała jego wielofunkcyjna komórka. Rzucił okiem na wyświetlacz i uruchomił program monitorujący. Czujniki rzadko kłamią. Ktoś manipulował przy jego samochodzie zaparkowanym w ustronnym, ślepych zaułku na zapleczu kawiarenki. Chyba jednak nie zamierzał go ukraść, ponieważ otworzył maskę i po dłuższej chwili ją zamknął... Czyżby interesowały go rozwiązania techniczne?!

Joe szybko, ale bez paniki poszedł do łazienki, przez której okienka można było wyrzeć na tył lokalu. Oczywiście przy samochodzie nikogo już nie było.

Błyskawicznie ocenił sytuację: kłopotliwa, ale nie beznadziejna! W dodatku nieprofesjonalne działanie dowodziło, że „miniarsz” nie jest pracownikiem obecnych służb, a najwyżej przyuczonym amatorem.

Prędko połączył się z komputerem swojego samochodu; ten nie tylko zlokalizował „ciało obce”, ale także określił jego potencjalną moc destrukcyjną i zasugerował miejsce podłączenia - zapłon. Włączenie stacyjki spowodowałoby natychmiastową detonację.

Zdobyta wiedza stwarzała wiele ciekawych możliwości. Idąc korytarzykiem na zapleczu, błyskawicznie skręcił na schody. Kawiarenka należała do nielicznych piętrowych budynków w okolicy. Szybko odnalazł drabinkę prowadzącą na dach. Ostrożnie wyczołgał się tam i kryjąc się za wielkim billboardem reklamującym coca-colę, odszukał przeciwników. Wiedział, że muszą być w pobliżu, czekając na efekt swoich działań, gotowi, na wypadek gdyby konieczna była „poprawka”. Nie musiał długo się rozglądać: na dachu pizzerii dostrzegł rozciągniętą postać mężczyzny z długą bronią, obserwującego pozostawiony

samochód, a po chwili w samym zaułku zobaczył kobietę spacerującą tam i z powrotem bez widocznego celu. Jeśli czekała na autobus, to wybrała zdecydowanie niewłaściwe miejsce. Czyżby to ona podłożyła ładunek? A może „miniarnik” zrobił swoje i się oddalił? Przez moment zastanawiał się nad zdetonowaniem wozu, w końcu był to majątek Firmy, nie jego... Ściągnęłoby to prześladowców na miejsce, a jego pistolet mógłby zakończyć sprawę.

Wybrał jednak inną opcję. Wyciągnął komórkę i uruchomił odpowiedni program. Na wyświetlaczu ukazał się obraz widziany przez przednią szybę samochodu. Włączył alternatywny napęd elektryczny, unikając w ten sposób zaminowanego zapłonu. Zwolnił hamulce. Wóz ruszył. Przybliżył obraz z kamery. Widział dokładnie twarz kobiety. Piegowata, tleniona blondynka, w najmniejszym stopniu niepodobna do Vesny Petkovic ani do tajemniczej partnerki szefa terrorystów. Przez moment widział pojawiające się na jej twarzy zdumienie, potem przestraszenie na widok pustego samochodu, który wyjechał z miejsca postoju tyłem, skręcił i potoczył się w jej kierunku. Rzuciła się do ucieczki.

Joe na moment oderwał wzrok od wyświetlacza i popatrzył na dach. Strzelec wyborowy poderwał się i biegł równolegle do uliczki, przeskakując wąskie przerwy między ciasno ustawionymi zabudowaniami. Zbliżał się do punktu, w którym od następnego dachu dzieliły go ponad trzy metry. Niby nic, ale jednak sporo. Carpenter założył, że zawaha się przed skokiem, a przynajmniej zawaha na chwilę. Spokojnie oparł broń o podstawę billboardu i czekał. Stało się tak, jak przewidywał. Moment, w którym mężczyzna znieruchomiał na krawędzi, wystarczył na spokojne pociągnięcie za spust. Snajper puścił broń, chwiał się przez moment i runął w dół.

Teraz już całą swą uwagę Joe mógł poświęcić „piegowatej”. Chciał ją ująć żywcem, zapędzić do końca zaułka, zablokować samochodem, może leciutko uszkodzić. W każdym razie pozostawić w stanie umożliwiającym przesłuchanie. Opuścił dach i zbiegł na dół. Dotarł już do tylnego wyjścia, kiedy rozległ się grzmot detonacji. Podmuch wepchnął wątle drzwi i

rozkwaślił mu nos. Klnąc, na czym świat stoi, przecisnął się na podwórko. Po wozie i kobiecie nie pozostało wiele.

Cholera, a więc był jeszcze ktoś trzeci, kto ubezpieczał operację. Ktoś, kto dysponował detonatorem radiowym. Popatrzył uważnie na tłumek gapiów grupujący się u wylotu zaułka. Był tam? A może śledzi! wszystko z dalszej odległości? Ale z innego miejsca nie sposób było obserwować zaułka. Może był w którymś z pomieszczeń? Dookoła przeważały warsztaty i magazyny w większości pozbawione okien. Te, które je miały, teraz straciły wszystkie szyby. A jeśli „kontroler” cały czas siedział obok niego w kawiarence?... Nie przypominał sobie tam kogokolwiek po dwudziestce.

Wsunął broń do kieszeni i przyciskając chustkę do krwawiącego nosa, pobiegł w stronę gapiów. Nie zauważył niczego, choć gdzieś z sąsiedniej ulicy dobiegł go pisk opon szybko ruszającego samochodu. Po chwili od gapiów dowiedział się, że kiedy jego samochód sam ruszył, do dzieciaków i pracowników okolicznych warsztatów, którzy wybiegli obserwować to dziwne zjawisko, bardzo szybko dołączył korpulentny mężczyzna, który nadszedł z lokalu *vis-a-vis*.

- Grubszy niż wyższy - opisał go spostrzegawczy małałat, który wcześniej ustąpił mu swego miejsca przy komputerze - Ale zaraz odszedł.

- Zapamiętałeś coś jeszcze? - zapytał Joe.

- Tak - odparł rezolutnie. -I nawet bardzo się dziwiłem: dlaczego wpatrywał się w ten samochód poruszający się bez kierowcy, skoro był niewidomy?

Ken Miles nie ucieszył się ze straty cennego samochodu. Był również znacznie mniej przekonany do wniosków Carpentera.

- Nie ma żadnych dowodów - powiedział - że zamach został spowodowany twoją inwigilacją Atkinsonów. W ciągu swej działalności naraziłeś się całej masie niegrzecznych facetów. Poza tym po tylu dniach obserwacji nic na tego Nika nie mamy.

- Mogą nie wiedzieć, że nie mamy - sparował stwierdzenie szefa. - A może uznali, że dopiero mogą być niebezpieczny, i postanowili wyeliminować mnie zawczasu.

- Gratuluję ci dobrego samopoczucia. Możesz zostać na Florydzie jeszcze tydzień, ale następny samochód musisz wynajmując sobie sam.

Snajper, Tonio Moretti - Joe wprowadził tylko go zranił, ale upadek z dachu i stalowy słupek, na który natrafił, dokończyły dzieła - był znanym opryskiem wynajmowanym przez narkotykowe gangi do egzekwowania wyroków, ale bez jakichś zdecydowanych konotacji. Pracował dla Kolumbijczyków i Kubańców, nie gardząc Portorykańczykami; słowem, służył każdemu, kto mu płacił. Sue Parker, której szczątki ekipa zbierała przez następną dobę, była jego kochanką i partnerką w akcjach. Nie zostawili żadnych informacji o zleceniodawcy. Nie znaleziono też najmniejszych choćby związków z Atkinsonami. Niko całe przedpołudnie pozostawał w domu, a jego żona w aptece. Z telefonów nie korzystali. Trzy tysiące dolarów, które znaleziono w kieszeni snajpera, stanowiło zapewne zaliczkę za robotę, ale nie udało się ustalić, kto mu je wypłacił.

Nie znaleziono żadnych informacji na temat korpulentnego niewidomego.

- Na wszelki wypadek poszukałbym grubasów wśród miłośników ptaków odwiedzających strony ornitologiczne - powiedział Joe agentowi Markowi Cooperowi, który był jego kontaktem na Florydzie.

- Jak pan sobie życzy - odparł agent, najwyraźniej absolutnie nie- przekonany.

Jednak kiedy dowiedział się, że Carpenter potrzebuje pełnej listy słuchaczy tych wszystkich tryłów, kwileń, ćwierkań, klekotów, krakań i klangorów wraz z datami i godzinami wprowadzenia do systemu, po prostu za głowę się złapał.

- Tego nie da się zrobić z dnia na dzień.

- Więc proszę przygotować na pojutrze - to powiedziawszy, powrócił na Longboat Key, by nadal obserwować Atkinsona.

Jeśli Niko był zleceniodawcą tego ataku, musiał zapewne wiedzieć o jego niepowodzeniu, o którym bębniły lokalne media, i powinien jakoś na ten fakt zareagować. Tymczasem zapisy podsłuchów z jego domu wskazywały, że wprowadził ktoś (on albo żona) skakał w porze lunchu po kanałach

informacyjnych, słuchając o wybuchu w pobliżu salonu gier, jednak z jego ust nie wyrwał się żaden komentarz. Nie padły nawet słowa, jakie zwykli ludzie wymieniają w podobnych okolicznościach.

„Nie są głupcami, wiedzą, że zainstalowaliśmy im podsłuch”.

Joe liczył, że obserwowani być może połączą się z Internetem. Podejrzał, że pod ową wymianą nagrań ornitologicznych może kryć się jakiś system komunikacji, ale żadne z Atkinsonów nie odpaliło tego popołudnia komputera. Nigdzie też nie dzwoniли ani nie wysyłali SMS-ów. Przez chwilę ogarnęło go zniechęcenie. Czyżby aż tak się pomylił i zgodnie z kpinami Milesa zajmował się nękaniami porządnymi obywateli?

Tylko dlaczego, skoro obywatele byli aż tak porządni, ktoś wydał rozkaz, aby go sprzątnąć?

Po obiedzie Vesna, czy raczej Summer, wróciła do apteki, a jej małżonek pół godziny grał na pianinie (Joe nie znał akurat tych kawałków, ale wyglądało to na utwory Chopina), potem trochę się zdrzemnął, wreszcie kiedy na zewnątrz znacznie się ochłodziło, a słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, ruszył na spacer. Wschodnia część Longboat Key, naprzeciwko której położona była Sarasota, była pełna palm i dość gęsto pokryta bungalowami należącymi do całkiem pokaźnej warstwy niezłe sytuowanych Amerykanów, których po latach pracy stać na parterowy domek w jednej z ciasno zabudowanych uliczek. Po drugiej stronie Gulf of Mexico Drive wznosiły się przeważnie hotele, pensjonaty i kluby z basenami, kortami i wszelkimi innymi miejscami do uprawiania aktywnego wypoczynku.

Byli mieszkańcy byłej Jugosławii zamieszkiwali w najwęższym miejscu wyspy, w pobliżu Zatoczki Wielorybów; jeden z wychodzących z niej kanałów, w którym trzymali swoją łódkę, dochodził aż do ich domu. Jednopiętrowy budynek, zdecydowanie wyższej klasy niż szeregowy bungalowy innych osiedli, sprawiał solidne wrażenie, choć pozbawiony był jakiegś szczególnej ekstrawagancji. Na wysokości bramy prowadzącej do osiedla po zachodniej stronie drogi nie było już hoteli, a jedynie pas porośniętych rachityczną trawą wydm i dość szeroka piaszczysta plaża.



Osiedlowy strażnik, zgodnie z rytuałem, przeprowadził niewidomego przez drogę. Dalej energicznie wywijający laseczką Niko poszedł już sam. Musiał wielokrotnie przemierzać tę trasę, ponieważ, podążając ścieżką wśród kęp trawy, doskonale radził sobie na piaszczystym gruncie. Joe trzymał się około stu metrów z tyłu. Mógł sobie na to pozwolić. Dyndający na jego piersi aparat fotograficzny, z wyglądu archaiczna lustrzanka, dysponował rewelacyjnym obiektywem i przekazywał obraz bezpośrednio na wewnętrzną stronę lewego szkła w ciemnych okularach Carpentera. Stukrotny zoom pozwalał nawet na obserwowanie grymasu twarzy maszerującego Serba. Ta jednak pozostawała nieprzenikniona. Po dojściu do morza, nad którym słońce właśnie odgrywało swoje codzienne misterium zachodu, Niko skręcił i powędrował około dwustu metrów w prawo, potem tyleż w lewo. Musiał liczyć kroki, bo nieomylnie odnalazł ścieżkę powrotną, dotarł nią do drogi i wyciągnąwszy gwizdek, ponownie przywołał strażnika.

Joe nadal zachowywał dystans, nie chcąc, żeby inwalida go usłyszał, choć na samym brzegu szum fal zagłuszał zapewne wszystkie dźwięki. Wyglądało na to, że stracił tylko czas. W trakcie całego spaceru Niko z nikim nie rozmawiał, a kiedy dwa czy trzy razy mijali go miłośnicy joggingu, schodził z drogi i nie wypowiadał ani słowa.

„Co za niebywały cwaniak!” - przemknęło Carpenterowi przez myśl.

Nie bardzo wiedząc, co ma robić dalej, ruszył na przełaj przez wydmy w stronę drogi. Wtem jego uwagę przykuła postać, która wkroczyła na wydmy. Był to młody żebrak o odpychającym wyglądzie: podarty T-shirt, kilkudniowy zarost i zapewne nigdy niemyte dredy. Widywał go już parokrotnie, jak wybierał z koszy butelki lub zbierał niedopałki. Tego wieczora najwyraźniej drzemał pod ławką w cieniu drewnianej wiaty znajdującej się zaraz za żywopłotem oddzielającym drogę od wydmy. Co go skłoniło do poszukiwań przy zapadającym zmierzchu? Joe przystanął i udawał, że wytrzępuje z butów piasek. Żebrak tymczasem poszedł w stronę plaży. W jego

leniwych dotąd ruchach było coś zastanawiającego. Zachowywał się, jakby szukał czegoś konkretnego, równocześnie rozglądając się czujnie. Jednak za każdym razem Joe zawczasu przysiadł do trawiastego pagórka i obserwował, pozostając niewidoczny. Włączył maksymalne przybliżenie w swoim aparacie.

Tymczasem żebrak dotarł do kamienia przypominającego wielką żabę, przy którym Niko zawrócił. Opadł na kolana i zaczął rozgarniać piach. Potem schował coś do kieszeni.

To widząc, Carpenter zerwał się i pobiegł w jego kierunku.

Żebrak zobaczył go, kiedy znajdował się około pięćdziesięciu metrów od niego, i rzucił się do ucieczki. Biedny, powiewający dreadami ćpun nie miał szans z dwa razy starszym agentem. Mimo niedawnej kontuzji i płuc palacza Joe we właściwym momencie przypomniał sobie czasy, kiedy trenował biegi na długie dystanse. Odległość między nim a uciekającym zmniejszała się coraz bardziej.

Naraz żebrak przewrócił się. Nie wyglądało to na potknięcie, raczej był to celowy fikołek. Zresztą prawie natychmiast łapserdak poderwał się z ziemi i pobiegł dalej.

Mijając miejsce jego upadku, Joe rzucił na plażę półdolarówkę, aby oznaczyć punkt owego koziołka. Po dalszych dwudziestu metrach gonitwy żebrak skapitulował.

- Ja niczego nie ukradłem, ja tylko sobie zbieram to, co ludzie gubią! - zaskomlił, wyciągając z kieszeni garść monet, jakiś srebrny wisiołek. ..

- Nie interesuje mnie to, co znalazłeś, tylko to, co zgubiłeś - powiedział Carpenter.

Nieoczekiwanie w rękę brudnego chłopaka o pięciodniowym zaroście pojawił się nóż. Jednak ćpun był za wolny, zbyt przewidywalny, aby odniosło to jakiś skutek. Joe poprzestał na zwichnięciu mu nadgarstka. Potem zaprowadził skowyczącego chłopaka do miejsca, w którym się przewrócił.

- Co tu wyrzuciłeś?

-Ja!?! Niczego nie wyrzucałem. - Mimo bólu wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Zresztą niech pan szuka.

Wyglądało na to, że wygrał: fala przyboju starła ślady

gonitwy skrajem morza. Nie mógł przewidzieć, że ścigający go dziarski emeryt nadal nosił swoje „archeologiczne buty”. Wystarczyło pokręcić się chwilę w miejscu oznakowanym półdolarówką, aby w jego ręce trafiła niewielka metalowa tulejka. Jej przekrój i kształt wskazywały, że trzeba będzie baczniej przyjrzeć się lasce Atkinsona, która służyła nie tylko podpieraniu się, ale również niepostrzeżonemu pozostawianiu wiadomości.

Uśmiech na twarzy menela zgasł równie szybko, jak się pokazał.

- Moja ręka, moja ręka! - zaczął jęczeć, zapewne aby wzbudzić litość w Carpenterze.

Joe mocnym szarpnięciem przywrócił staw do pierwotnego stanu, a chłopak na chwilę zemdłał. Jednak siarczysty policzek przywołał go do przytomności.

- Gadaj wszystko, a nic ci się nie stanie - warknął Carpenter.

- Jakie dostałeś zadanie i od kogo?

Młody żebrak (który, jak się okazało, nosił imię Bobby) stracił jakąkolwiek ochotę na sprzeciwianie się nieznanemu szybkobiegaczowi.

- Kazali mi obserwować niewidomego i zbierać to, co zostawi przy kamieniu - odparł potulnie. - Miałem nigdy nie zbliżać się do niego za bardzo i uważać, żeby nikt mnie nie wyczył... Nie udało się...

- Często to robiłeś?

- Codziennie. Chociaż czasami, kiedy padało, to ślepy nie przychodził... Dawali mi za fatygę dwudziestkę dziennie.

- Kto dawał?

- Nie wiem, zostawiali forszę w koszu na śmieci na skwerze pośrodku Saint Armands Key, a ja punktualnie o dziesiętnastej wrzucałem tam kapsułkę.

-Jednak ktoś kiedyś musiał cię zaangażować?

- Faktycznie, szefie. To było tak. Jakiś czas temu na City Island - tam pośrodku, niedaleko przystani, jest spory parking bez monitoringu - przyuważyłem samotną brykę z uchylonym oknem, ^pasiona toyota z przyciemnionymi szybami. Sama się prosiła, żeby do niej zajrzeć. Ludzie bywają takie nieostrożne,

no to pomyślałem, że może zostawili coś w środku, jakiś aparat albo kamerę. Podszedłem, zapukałem. Gdyby się okazało, że ktoś tam jest, tobym normalnie poprosił o wsparcie. Ale nikt się nie odezwał. Wsadziłem więc rękę i macam, żeby otworzyć drzwi od środka, aż tu, cholera, szyba sama ruszyła do góry, łapę mi przytrzasnęła na amen, ani wte, ani wewte... I głos niski się odzywa, jak ze studni: „Czy wiesz, że kradzież jest grzechem ciężkim, pętaku?!”. Pętaku, tak do mnie powiedział, mimo że mam już dwadzieścia trzy lata! Ale ja się nie obrażam o byle co, więc mówię, że chciałem zobaczyć, jak takie cudo wygląda w środku. Na to on, że gdybym chciał, to mógłbym, zamiast kraść, zarobić uczciwie parę dolców. Bo on właśnie potrzebuje takich cwanych chłopaków jak ja. Powiedział mi o tym koszu i że następnego dnia o dziewiętnastej będzie tam czekała na mnie paczka dun- hilli, a w niej wszystko, co trzeba. Potem mnie puścił. I odjechał. Paczka faktycznie była, ale w środku tylko jedna złamana fajka, za to obok zwinięty banknot i kartka z instrukcją, którą miałem spalić po przeczytaniu.

- Co było w tej instrukcji?

- No, żeby chodzić za niewidomym, zbierać, co upuści, i dostarczać tę kapsułkę od niego na siódmą wieczór. Ale nie zaglądać do środka, jeśli chcę zarabiać. To wszystko.

- Nie byłeś ciekaw, czemu to służy, nie podglądałeś, kto odbiera przesyłki?

- A po co? Ciekawi żyją krócej. Chociaż... Jakiś czas później przypadkiem widziałem tego gościa, jak prowadzony przez szofera wchodził do tej bryki.

- Prowadzony?

- Tak. To niewidomy tak samo jak ten gość, którego kazał mi śledzić. Tyle że zupełnie niepodobny. Grubszy niż wyższy.

Carpenterowi natychmiast przypomniał się zamach z tego ranka, zapytał jednak tylko:

- Jak długo trwa ta zabawa?

- Parę tygodni. Mogę nawet dokładnie powiedzieć, kiedy się to zaczęło. Nie pamiętam daty, ale to był ten sam dzień, w którym zabito papieża i tych wszystkich ludzi w Rzymie.

„Logiczne!” - pomyślał Joe. A zbieżność zdarzeń na pewno

nieprzypadkowa. Przewidując, że z pewnością nastąpi ogólnoswiatowe śledztwo, postanowiono przenieść kontakty na bardziej zakonspirowany poziom. Choć nadal nie sposób było domyślić się roli Atkinsona w spisku.

Za pomocą scyzoryka otworzył kapsułkę. Na skrawku papieru wewnątrz widniało tylko jedno słowo: „Ewakuacja” (całkiem zrozumiałe wobec niepowodzenia zamachu). Spojrzał na zegarek: dochodziło wpół do siódmej. Pół godziny, do Saint Armands Key był ładny kawałek...

- Jak miałeś zamiar dostarczyć to na czas? - zapytał, wyjmując z kieszeni opatrunek i unieruchamiając zwichnięty przegub młodego zebra.

- Na rowerze - odparł, wyciągając z krzaków odrapany bocykl.

Joe zauważył, że jednośladowi brak nawet światełek odblaskowych,

ale Bobby najwyraźniej nie obawiał się jazdy po ciemku.

- Okay. Zrobisz tak jak zawsze. Tylko bez żadnych sztuczek. Dasz radę prowadzić jedną ręką?

- Bez problemów. Byłem kiedyś mistrzem w jeździe bez trzymanki.

- I nie próbuj mnie zgubić - przestrzegł. - Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dostaniesz ode mnie stówkę.

Szybko wyprowadził samochód z parkingu. Odjeżdżając, nie mógł się pohamować, aby nie spojrzeć w okno domu Petkoviciów. Zauważył swoje odbicie w szybie, potem dojrzał ciemne okulary. Niko tam był i zapewne słuchał zapuszczanego motoru.

Na miejsce przybyli przed czasem. Zaraz za kształtnym mostem Johna Ringlinga Joe wyprzedził rowerzystę, a po wjechaniu do miasteczka *zatrzymał się w bocznej uliczce*. Poduszka wypychająca brzuch, siwa peruka i wąsy znacznie go zmieniły, zatem jeśli nawet mocodawcy dredowca znali rysopis Carpentera, nie powinni go poznać.

Utykając, z laską w jednej ręce, a gazetą w drugiej, wyszedł na cienisty skwerek pośrodku ronda i przysiadł na kamiennej ławeczce pod platanem. Do kosza miał nie więcej niż

pięćdziesiąt metrów. Zmrok już zapadł, jednak staroświeckie latarnie dawały dość światła, aby kontrolować sytuację i móc udawać lekturę dziennika. Obraz przekazywany na jego okular pokazywał, że nikogo poza nim na skwerku nie ma. Przeszła jakaś całująca się parka, ale obecność starszego mężczyzny zniechęciła ich, aby zagrażać miejsce na dłużej.

Bobby ukazał się dokładnie za minutę siódma; na ramieniu miał worek, do którego wsunął jakieś najwyraźniej cenne znaleziska z kosza. Pewnie równocześnie zostawił też kapsułkę. Potem zgodnie z poleceniem odjechał. Może uciekł? Carpenter miał nadzieję, że jakiś funkcjonariusz, o którego telefonicznie prosił Coopera, zajmie się chłopakiem. Sam czekał dalej, zastanawiając się, kto się pojawi - kolejna limuzyna z przyciemnianymi szybami, czy może jeszcze jeden menel?

Nie zgadł. O dziewiętnastej zero pięć na rondo wtoczyła się śmieciarka, a dwóch facetów w kombinezonach zabrało się do opróżnienia koszy. A to niespodzianka! Oczywiście zauważył, że w odróżnieniu od innych ten konkretny potraktowali szczególnie: zamiast zebrać odpadki luzem, wrzucili je do jednego plastikowego worka. Cóż za daleko posunięta dbałość!

Kiedy udało mu się dobiec do samochodu i uruchomić go, śmieciarzy już nie było. Kątem oka widział, jak objechali rondo i ruszyli w drogę powrotną. Omal ich nie zgubił: dotąd pełznący jak żółwie, dodali gazu, przelecieli przez Ringelking Parkway i znikli na zakręcie w kolejnym miasteczku. Nie zdołał ich dopędzić. Gorzej: kiedy dotarł do wjazdu na most, nie mógł wypatrzeć ich ani ponad cieśniną, ani po drugiej stronie. Gdzie się podziali?

Wahał się tylko chwilę; intuicja podsuwała mu skręt w stronę miasteczka, gdzie wśród girland lśnił napis: „City Island”. Czy to aby nie tam Bobby zawarł znajomość z niewidomym kurduplem? Dojechał do parkingu opodal przystani. Natychmiast dostrzegł śmieciarkę. Obaj pracownicy niespiesznie zajmowali się opróżnianiem pojemników. Ich spokój w porównaniu z gwałtownością ucieczki ze skweru zaniepokoił Carpentera. Wyglądało na to, że już pozbyli się kompromitującego worka. Wyrzucili go lub przekazali... Tylko

komu?

Od strony morza dobiegł go ryk silnika: jakaś nieduża motorówka ostro ruszyła w noc. Ciekawe, że zrobiła to bez zapalania świateł...

Zawracając w kierunku rezydencji Atkinsonów, zadzwonił do agenta Coopera, sugerując szybki kontakt z policją wodną.

- Nie przesadzajmy z podnoszeniem alarmu na całej zatoce, zwłaszcza że z pewnością to nic nie da. Mam większy kłopot. Po pierwsze, pani Atkinson zniknęła!

- Jak to?

- Weszła z apteki, ale nie wsiadła do swego samochodu, tylko skręciła jeszcze do jakiegoś sklepiku, więc nasz człowiek myślał, że zaraz wróci, i pilnował wozu. Nie wróciła.

- Kiedy to było?

- Jakaś godzinę temu. Ktoś do niej dzwonił.

- Została ostrzeżona?

- Nie. Wszystkie połączenia były przez nas kontrolowane. Wiemy jednak, że przeszukiwała Internet. Jej mąż powiesił tam kwadrans wcześniej nagranie nazywane przez fachowców „klangor żurawi”.

Joe zaklął. Ze też wcześniej na to nie wpadł!

- Miejmy nadzieję, że przynajmniej on jest w domu. Masz tam kogoś?

- Strażnik z nami współpracuje. Rozmawiałem z nim przed paru minutami.

- To wiem. Ważne, żeby miał oko na Atkinsona.

- Nie bardzo może. Twierdzi, że Atkinson wyjechał.

- Jak to wyjechał?

- Strażnik nie jest pewien, ale kwadrans temu jego terenowy wóz wystartował spod domu.

- Niemożliwe. Musiałbym się z nim minąć.

- Niekoniecznie, jeśli pojechał na północ w stronę Bradenton Beach. Miejscowa policja spróbuje ich zatrzymać.

- Wiadomo chociaż, ile osób pojechało tym samochodem?

- Strażnik, z którym rozmawiałem przez telefon, utrzymuje, że pan Niko był sam i siedział za kierownicą.

- Jak to za kierownicą?! Przecież jest niewidomy!

Bezdiskusyjnie stwierdzili to nasi lekarze!

- Nie potrafił tego wyjaśnić. W każdym razie powiedziałem, żeby sprawdził, czy ktoś pozostał w domu. Telefonów nikt nie odbiera. Na szczęście strażnik ma zapasowe klucze.

- Na miłość boską, zatrzymaj go. *Zatrzymaj go natychmiast.*

- Ale dlaczego, czyżbyś... - Cooper urwał.

Pewnie nawet w Sarasocie widoczny był błysk nad Longboat Key. Za to grzmot detonacji dotarł do nich ze znacznym opóźnieniem.

Kiedy w trzy minuty potem Joe wjechał na alejkę prowadzącą do rezydencji, mógł osobiście się przekonać, że z domu Atkinsonów nie zostało praktycznie nic poza kupą gruzu.



## ROZDZIAŁ IX

### NA URLOPIE

Joe Carpenter doskonale wiedział, jak to się powinno potoczyć dalej. I jak potoczyłoby się w nawet drugorzędnym filmie akcji. Szeroko zakrojona obława na zbiegów, objęcie bacznią obserwacją wszystkich klientów ornitologicznego portalu... Jednak poza ogłoszonym pościgiem za Atkinsonami nie udało się zorganizować jakiegś większej aktywizacji organów ścigania. Wyraźnie zabrakło im woli, nie mówiąc już o determinacji.

Poza tym musieliby być przekonani o daleko sięgającym spisku. A tymczasem pewny był jedynie Carpenter. Elementy zaczynały do siebie pasować. W ptasich nagraniach nie było szyfru, to one same były szyfrem oznaczającym określone działania czcicieli Antychrysta. Raz zapewne mógł być to alarm, a raz zbiórka.

Do rana stało się jasne, że Niko przygotował się na wiele wariantów ucieczki. Nawet dom, który został tak skutecznie zamieniony w surowce wtórne, już do niego nie należał. Sprzedał go dwa miesiące temu, a nowy nabywca wspaniałomyślnie pozwolił mu mieszkać aż do Dnia Dziękczynienia. Dopiero wówczas miał się tu wprowadzić z rodziną. Teraz została mu tylko zagruzowana działka z paroma połamanymi drzewami.

Również ucieczka Vesny została dobrze przygotowana. Zaraz po opuszczeniu apteki udała się do banku, skąd podjęła całą gotówkę, w sumie około miliona dolarów. Był tam też zawczasu podstawiony samochód. Mieli więc za co żyć i jak uciekać. Ich terenowy wóz znaleziono dopiero następnego dnia w południe w Bradenton Beach. Co do tego, jakim środkiem lokomocji uciekali dalej małżonkowie Atkinson, nie pojawiły się nawet najmniejsze wskazówki.

Niewiele również dała identyfikacja niskiego niewidomego. Ron Sharky, rodem z Kanady, kiedyś officer marines, od dwóch miesięcy wynajmował pokój w pensjonacie na City Island, niedaleko miejsca postojowego, na którym pierwszy raz zauważył go Bobby. Obok przy nadbrzeżu parkował motorówkę, na której uciekł. Samochodem zazwyczaj kierował szofer Tom, ale na razie nic więcej nie było wiadomo poza tym, że ten młody chłopak o cukierkowej urodzie uchodził za „dziewczynkę” swego chlebobawcy. Ponadto udało się ustalić, że sześćdziesięcioletni Ron Sharky, inwalida wojny wietnamskiej, podzielał zainteresowania Atkinsona, jeśli idzie o ryby i ptaki. Nie znaleziono jednak żadnych świadectw dotyczących ich bezpośredniego kontaktu ani powodu, dla którego po trzydziestu latach pobytu zdecydował się porzucić Toronto.

- Teoretycznie mogli spotykać się na wodzie - powiedział jeden z informatorów Coopera. - Nikt przecież nie śledzi wędkarzy, zwłaszcza wewnątrz zatoki.

Carpenterowi udało się ustalić, że bezpośrednio przed wyruszeniem na niedzielny połów Niko umieszczał na stronie nagranie ze śpiewem godowym dzioborożców. Za każdym razem innej długości. Czyżby zakodowana była w ten sposób godzina? Oprócz dzioborożców było tam zawsze nagranie jeszcze jednego ptaka: mewy, kruka, sokoła. Czyżby w ten sposób oznaczano miejsce spotkania?

Świadkowie zamieszkujący w sąsiednich domach twierdzili, że Atkinsonowie wyruszali na ryby albo bardzo wcześnie rano, albo już po zmierzchu... To utrudniało ustalenie, z kim mogli się spotykać. W każdym razie udało się ściągnąć zdjęcie satelitarne z ostatniego sierpniowego spotkania miłośników wędkowania. Znamienne, że od 10 września nie było żadnych sygnałów aktywności Nika i Vesny. Przesłuchany powtórnie ćpun Bobby przypomniał sobie, że angażujący go ślepiec zlecił mu zbieranie przesyłek od Atkinsona dopiero od trzeciego dnia po tragedii w Watykanie.

- Zdziwiłem się, bo dwie dyszki piechotą nie chodzą, więc po prostu rwałem się do roboty, ale ten niewidomy kurdupeł

wytłumaczył, że faceta, o którego mu chodzi, nie będzie jeszcze w domu. Na spacerze pojawił się dopiero trzeciego dnia.

Puls żywiej zaczął bić Carpenterowi. Jeśli Niko mimo wszystko był „Szefem”, to właśnie tyle czasu musiał mu zabrać powrót z Włoch. Jeszcze bardziej podnieciły go zdjęcia satelitarne pochodzące z ostatniej niedzieli sierpnia. Wśród mroków zalegających nad Tampa Bay, na południowy wschód od bazy lotniczej, dało się zauważyć kilkanaście światełek na wodzie, ani chybi łódek zdążających w jednym kierunku. Koło północy zebrały się one w pobliżu odludnej Pine Key, ustawiając się w dziwnym szyku. Niestety, światła były zbyt słabe, aby przy najlepszej nawet rozdzielczości można było zobaczyć nazwy łodzi lub zidentyfikować obecne na nich postacie, jednak ich układ był co najmniej zastanawiający.

- To jest chyba jakaś figura geometryczna - powiedział Mark Cooper. - Coś jak pięcioramienna gwiazda, z tym że tworzy ją dziesięć łódek.

- Tak, ustawili się na wierzchołkach i punktach przecięcia, tworząc pentagram.

- A co to takiego?

Joe uśmiechnął się do agenta FBI, a potem rzekł bardzo poważnie:

- Znak diabła!

Wiele wskazywało na to, że mimo pasywności władz jego śledztwo zaczynało dawać owoce. W ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin Carpenterowi udało się ustalić kilka istotnych szczegółów. Znalazł przelewy dowodzące kontaktów Atkinsona z kliniką okulistyczną doktora Steve'a Morrisona w Aspen. Lekarz wprawdzie odmówił jakichkolwiek rozmów na temat swoich pacjentów, zasłaniając się tajemnicą lekarską, ale z kilku ogólnodostępnych artykułów dotyczących jego działalności wynikało, że doktorowi i jego zespołowi udało się przed paru laty skonstruować sztuczne oczy, które przekazywały do mózgu sygnały prawie identyczne z tymi, które pochodzą z normalnej gałki ocznej. Niekiedy mogły być nawet lepsze. Posiadacz sztucznego oka nie tylko znakomicie widział w ciemności; dodatkowe opcje umożliwiały mu

widzenie w podczerwieni, poza tym dostępna też była opcja termiczna pozwalająca wykryć żywą istotę nawet przez ścianę.

- Czy jest możliwe, żeby ktoś taki wyglądał jak ślepiec? - zapytał eksperta Carpenter.

- Oczywiście, ewentualna sztuczna gałka oczna może służyć wyłącznie estetyce. Przetworniki i połączenia nerwowe znajdują się głębiej, a sam czynniki informacji można umieścić na przykład w okularach.

To tłumaczyło, dlaczego „inwalida” mógł doskonale poruszać się w każdej sytuacji, a także prowadzić samochód. Nie mówiąc o tym, że widział każdy ruch śledzących go funkcjonariuszy. Nic nie stało więc na przeszkodzie, aby znaleźć się w Czarnogórze czy we Włoszech i osobiście przygotować atak. Jedyne w roli instruktora divingu musiała zastąpić go Vesna. Aparatura zawodziła w słonej wodzie.

A zatem małżonkowie Petkovic mogli być zarówno w Kotorze i dokonać zabójstwa rodziny Woodsów, jak i przygotować zamach w Rzymie. Jedyne poważniejszy problem wiązał się z przekraczaniem granicy amerykańskiej. Po 11 września fałszywy paszport niczego nie rozwiązuje. Kontroluje się odciski palców i robi skany siatkówki. Wprawdzie w wypadku Nika można było mówić jedynie o tym pierwszym, ale według posiadanych informacji jego żona również granicy nie przekraczała.

W grę wchodziły dwie możliwości: przejście bądź... - Joe aż zawahał się przed taką myślą - przeloty służbowe. Agenci NSA, DEA czy CIA nie podlegali ograniczeniom jak inni obywatele lub cudzoziemcy.

Problem mógł wyjaśnić jedynie Ken Miles. Joe dzwonił do wicedyrektora wielokrotnie. W biurze twierdzono, iż jest nieobecny, a komórki nie odbierał.

Joe pocieszał się, że lepiej będzie pogadać twarzą w twarz, toteż był zadowolony, gdy go wezwano do Firmy, do znanego wszystkim czytelnikom powieści sensacyjnych obiektu w Langley w stanie Wirginia, mieszczącego Centralną Agencję Wywiadowczą. Z Tampy poleciał wprost na lotnisko Ronalda Reagana w Waszyngtonie. Miał szczerzy zamiar zdrzemnąć się

podczas lotu, ale stewardesa Bess była tak urocza i tak chętnie z nim konwersowała, że nawet przez chwilę oka nie zmrużył. Obecność tej smukłej blondynki w dopasowanym garniturku uświadomiła mu, jak dawno nie miał kobiety, i ani wspomnienie Maud, ani niezapomniany obraz Salam nie były w stanie opanować drzemącej w nim bestii, która zbudziła się do działania po informacji, że Bess zostaje na noc w Waszyngtonie.

- Nie wiem, ile czasu zajmą mi spotkania - powiedział - ale jeśli wszystko dobrze pójdzie, zapraszam cię na kolację.

- Zgoda - powiedziała stewardesa. - Nie miałam żadnych planów na dzisiejszy wieczór.

Udając się do centrali, spodziewał się pochwał - i je otrzymał. Liczył też, że znajdzie się w jakimś nadzwyczajnym zespole powołanym celem zwinięcia satanistycznej śiatki. Ale tu spotkał go dotkliwy zawód.

Największe zaskoczenie wywołała osoba, która go wezwała. Nie był to Ken Miles ani sam dyrektor Agencji. Kiedy czekając, aż go wezwą - od momentu przekazania raportu minęły trzy długie godziny - musiał siedzieć przed drzwiami innego gabinetu niż zazwyczaj, zapytał jednego ze znajomych oficerów, gdzie znajdzie Kena, ten odparł krótko: „Pojechał na urlop!”. Ale wzrok mu jakoś tak dziwnie uciekł i Joe zrozumiał: jego szef znalazł się w stanie, który Rosjanie określają terminem „odstawka”. Miles niby jeszcze był na stanowisku, ale już go nie było. To tłumaczyło trudność w nawiązaniu kontaktu.

Szkoda. Carpenter miał mu bardzo dużo do powiedzenia. Udało mu się stworzyć podwaliny pod książkę kodów, czyli sygnałów przypuszczalnie przesyłanych za pomocą ptasich nagrań. Zgromadził też sporo informacji na temat prawdopodobnej organizacji satanistycznej zrzeszającej ludzi poturbowanych przez los, weteranów wojennych, ambicjonerów wypłutych przez politykę, przegranych kaznodziejów... Udało mu się ustalić co najmniej sześciu pewniaków, ale lista potencjalnych czcicieli szatana liczyła dziesiątki kandydatów, a pod warunkiem dobrej współpracy z FBI mogła wydłużyć się jeszcze bardziej.

Czy sataniści byli zdolni technicznie przeprowadzić zamach na Rzym (Niko i Vesna nie mogli dokonać wszystkiego sami)? Niewątpliwie tak. Czy byli gotowi psychicznie? Jeszcze bardziej. Jeśli naprawdę wierzyli, że prowadzi ich szatan, a termin ostatecznej rozgrywki się zbliża, decyzja o uderzeniu uprzedzającym stawała się bardzo logiczna.

Co prawda do tej pory Joe uważał satanistów za maniaków o niewielkim stopniu szkodliwości, rekrutujących się spośród małałów ubierających się na czarno, jeżdżących harleyami lub biegających po lasach, odprawiających czarne msze, jak młody Niko, i uczestniczących w tajemniczych rytuałach inicjacyjnych, w trakcie których mogło dochodzić nawet do zbrodni, ale raczej na niewielką skalę.

To, z czym się zetknął, przekraczało po wielokroć dotychczasowe wyobrażenia. Przeciwnikiem nie były małały w czarnych skórach, ale ludzie dojrzały, a nawet przejrzały, bogaci, *wpływowi i zdeterminowani*.

Tymczasem zamiast Kena Milesa przyjęła Carpentera druga zastępczyni dyrektora Agencji Florence Alvarado. Joe podzielał obiegowe opinie, że „latiny” należą do najpiękniejszych kobiet świata, ale jeśli zdarzy się wśród nich jedna brzydka, to wówczas może spokojnie wygrywać wszystkie wybory antymiss.

Pani Alvarado należała do tej drugiej kategorii. Nieforemna, pozbawiona biustu i charakterystycznego kuperka, o szarej twarzy indiańskiej szamanki przypominała dość topornie zbudowanego androida. Choć z pewnością owa protegowana Białego Domu głupia nie była.

Na wstępie obsypała Carpentera garścią komplementów, choć wyraźnie nie przychodziło jej to łatwo, bo jej oczy cały czas mówiły zgoła coś innego niż usta. Podziękowała w imieniu prezydenta za cenny wkład w identyfikację sprawców rzymskiego zamachu, zapewniając, że prędzej czy później szatańska parka zostanie złapana i osądzona. Ku zaskoczeniu Joego ani słowem nie odniosła się do wręzonego jej raportu dotyczącego siatki satanistów. Kiedy próbował jej o tym przypomnieć, rzuciła sucho, że ten aspekt sprawy znajduje się poza

jej kompetencjami.

- Operację przejęła Agencja Bezpieczeństwa Narodowego i w pewnej części FBI. My jedynie przekazemy im dotychczasowe ustalenia. I oczywiście twoje cenne wnioski.

Tego mu było za wiele.

- Przecież sprawa jest od początku nasza! - zawołał.

Obróciła ku niemu swoje brzydkie oczy gada.

- Chyba znasz konstytucję, Joe. Zajmujemy się zewnętrznymi wrogami Ameryki, a nie porządkiem spraw wewnętrznych. W dodatku twoje wnioski, moim zdaniem, idą zbyt daleko.

- Jak *to*?

- Nie przekazałeś żadnych dowodów na związki zamachu z rzekomą organizacją satanistyczną. Poza tym twoje postulaty w sprawie zakresu śledztwa dowodzą niezrozumienia reguł rządzących naszym krajem. Naszą naczelną zasadą jest wolność słowa, zrzeszania się i wyznania. Sataniści mają takie same prawa do swych wierzeń jak każde inne wyznanie: baptyści, katolicy czy buddyści. Represjonowanie ludzi tylko dlatego, że rysują pentagramy i spotykają się po nocy, byłoby złamaniem konstytucji.

- Ale istnieje mocno uzasadnione podejrzenie, że ich cele są zbrodnicze.

- Dlatego NSA dostała ode mnie całość materiałów.

- Proszę w takim razie dorzucić jeszcze moją osobę! Pomogę im. A stąd do Fort Meade nie jest daleko!

Zrobiła pauzę, po czym dobiła go zdaniem jak sztychem:

- Proponowałam im, ale nie są zainteresowani tego rodzaju współpracą.

Był to faktyczny koniec rozmowy. Carpenter zrozumiał, że jego upór nie miał większego sensu. Pani Alvarado była jedynie przekąźnikiem decyzji, które zapadły gdzieś wyżej. Za swój wysiłek otrzymywał ładną nagrodę: jego uposażenie emerytalne miało się sporo zwiększyć, i to wszystko.

Na odchodnym Florence Alvarado zapytała go, czy wracając na emeryturę, nadal będzie poświęcał się swoim antycznym pasjom.

- Raczej tak - mruknął.

- Znowu Sahara?

- Nie, tym razem wybiorę się chyba do Ameryki Środkowej.

Wyszedł ogłuszony tym mocniej, że polecono mu oddać broń, satelitarny telefon, wszystkie materiały związane ze sprawą, przejrano też i wykasowano jego laptop.

To, że przewidział taką ewentualność, i wszystkie ważne informacje znajdowały się już na pendrivie przekazanym sympatycznej stewardesie, nie należało do faktów, które zamierzał rozgłaszać. Inna sprawa, że na razie nie wiedział, jak i po co miałby te dane wykorzystywać.

Kolacja z Bess nie była szczególnie długa, oboje wiedzieli, dokąd podążają - a miejsce zmaterializowało się w postaci małego hoteliku tuż za rogiem, który zapewne wynajmował pokoje na godziny, choć Joemu wrodzona galanteria kazała wynająć apartament na całą dobę.

Było miło. Szampan dobrze schłodzony, a łóżko skrzypiące umiarkowanie. Carpenter ulotnił się nad ranem (nie zapominając, rzecz jasna, o pendrivie). Z doświadczenia wiedział, że poranek we dwoje mógłby postawić go w kłopotliwej sytuacji. Tak było lepiej dla nich obojga. Przecież prawdopodobnie nigdy już się nie spotkają. Na ulicy złapał taksówkę i przez moment zastanawiał się nad adresem swego mieszkania, w którym nie był już dwa miesiące.

Zresztą „mieszkanie” było określeniem absolutnie na wyrost dla jednopokojowego lokum w Georgetown. Od śmierci Maud praktycznie nie miał mieszkania. Apartament w Nowym Jorku sprzedał, dom w Maine wynajął, zapakowawszy wszystkie bibeloty, książki i pamiątki ze wspólnych podróży do kilkudziesięciu kartonów wypełniających praktycznie całe poddasze. Łudził się, że kiedyś się tym wszystkim zajmie, wszystko uporządkuje, ale bardziej racjonalna część jego świadomości wiedziała, że kartony w stanie nienaruszonym pozostaną do dnia Sądu Ostatecznego. Czyli w końcu już nie tak długo.

Wchodząc do budynku, od razu zauważył, że portier jest nowy, że zmieniono wykładzinę w windzie, a sam apartament



(oprócz pokoju była w nim obszerna kuchnia i wygodna łazienka) też wygląda jak świeżo po remoncie. Fachowcy z Firmy musieli przetrząsnąć wszystko, przy okazji usuwając pokłady kurzu i instalując wszędzie rozmaite pluskwy.

Nie przejmował się tym. Nauczył się żyć na widoku lub podsłuchu i nawet spowszedniała mu taka rola w nieustannym Big Brotherze. Zresztą nie zamierzał przebywać długo w tym wnętrzu, gdzie pamiątkami z dawnych czasów były jedynie stary wiedeński zegar po dziadku i zdjęcie Maud wśród pachnących hibiskusów na Karaibach.

Od chwili wyjścia z okrągłego holu Firmy z charakterystycznym orłem na posadzce nie przestawał gubić się w domysłach, co się właściwie działo. Nie przestał o tym myśleć nawet w trakcie erotycznej akrobatyki. Ktoś wyciszał sprawę. Czyżby sataniści byli aż tak potężni, że ujawnienie spisku groziło kilku wpływowym osobom?

Nie miał wątpliwości: Niko i Vesna nie byli parką szaleńców, a zbrodniczy atak na Rzym stanowił część jakiegoś planu. Jakiego? Niemożliwe było, aby zamach mógł mieć związek z ujawnionym proroctwem abisyńskiego mnicha, choć współgrał z nim znakomicie. Organizatorzy ataku nie mogli go znać, zanim zostało odkryte i odszyfrowane. Chyba że były jeszcze inne proroctwa.

Niepokoilo go więcej spraw. Nie miał pojęcia, jakie wnioski wyciągnięto z proroctwa z Debre Damo. Ewidentnie je utajniono, spisku starano się nie dostrzegać, a potencjalna matka Zbawiciela została porwana... Czy te wszystkie sprawy mogły mieć wspólny mianownik? Mogły, a dreszcz, który wzbierał w nim od trzewi aż po koniuszki palców dowodził, że dla rozwikłania tej kwestii gotów jest poświęcić wiele. Może wszystko.

Wiedziony nagłym impulsem zadzwonił do biura podróży i wykupił siedmiodniową wycieczkę do Gwatemali; pakiet obejmował rezerwację miejsc w czterech hotelach (w Antiqua Guatemala, w Panajachel koło jeziora Atitlan, w Guatemala City i w Tikal), wynajem samochodu, a także lotniczy transfer do wielkiego kompleksu Majów w Tikal i z powrotem. Zamiast

biletu powrotnego do Stanów zamówił wersję open, mówiąc, że być może jego pobyt w Ameryce Środkowej się przedłuży. W ramach oferty biuro zapewniało także miejscowego przewodnika i kierowcę, ale Joe stwierdził, że poradzi sobie sam.

Cywilizacje Ameryki Środkowej interesowały go od dawna, jednak tym razem chodziło o odwrócenie uwagi Firmy od jego rzeczywistych planów, nadal związanych z Europą i Bliskim Wschodem. Warunkiem ich realizacji było uwolnienie się spod czulej kurateli CIA.

Dospał do jedenastej i odsłuchał automatyczną sekretarkę. Niemile zaskoczyły go trzy telefony od doktora Lewisa. Oddzwonił bezzwłocznie. Lekarz powitał go wymówkami.

- Powinien pan zgłosić się do mnie dwa miesiące temu.
- Miałem ważniejsze sprawy na głowie.
- Wielka szkoda, bo powtórnie przejrzałem wyniki badań i zdjęcia: nie wygląda to dobrze.

- Wiem. Miałem przestać palić. Zrobiłem to.
- Obawiam się, że konieczna będzie szybka operacja. Nie mogę gwarantować, że nie pojawią się przerzuty.

- Obiecuję zgłosić się do pana, kiedy tylko załatwię bieżące sprawy.

- Uważam, że powinien pan zgłosić się do szpitala natychmiast.

- Czuję się świetnie, doktorze!

- I chciałbym, żeby tak było nadal.

- Proszę, niech mi pan da jeszcze dwa tygodnie, doktorze.

Potem z pełną ufnością oddam się w pańskie ręce.

W trakcie rozmowy uczuł suchość w ustach i natychmiast po odłożeniu słuchawki zapalił papierosa znalezionego w szufladzie. Zdusił go po dwóch sztachach. Oczywiście nie chciał umierać.

Nie teraz!

Gdyby udało mu się rozwikłać podwójną zagadkę, wiedziałby przynajmniej, że nie żył na marne. Mimo że nie posadził drzewa, nie zbudował domu ani nie spłodził syna. Znaczy spłodził. Kiedy spotkali się na lotnisku w Tbilisi, Maud

zwierzyła mu się z wyników testu ciążowego...

Dwa tygodnie - cholernie mało czasu! Ale lubił działać pod presją.

Wyszedł z domu. „Ogon” w postaci starego Murzyna, cały czas markującego rozmowę przez komórkę, przykleił się do niego natychmiast. Udał, że go nie widzi. W najbliższym sklepie nabył komplet garderoby łącznie z butami: starej musiał się pozbyć, kto wie, czy nie zainstalowano jakiegoś świństwa w szwach, guzikach czy obcasach... Komórkę chwilowo zostawił w domu. Pozbędzie się jej, dopiero gdy przystąpi do działania. Wtedy też się przebierze. Spacerując po mieście i robiąc różne inne bezsensowne zakupy, zauważył, że Murzyna wspierała jeszcze dwójka innych agentów, kobieta bez wieku i młody elegancik, ale nie próbował ich gubić, bo mogłoby to skutkować jedynie wzmożeniem czujności. Niech myślą, że niczego nie knuje. Odwiedził też swój bank, gdzie ze skrytki wydobyl dokumenty załatwione mu kiedyś przez Haralda, przyjaciela z MI-6.

-Na wszelki wypadek, gdybyś podpadł Firmie i próbował naprawdę zmienić tożsamość.

- Nie sądzę, żeby było mi to kiedykolwiek *potrzebne*.

- Nie sądzmy, abyśmy nie byli sądzeni - odparł pół *żartem*, pół serio Brytyjczyk.

Wedle tego paszportu nazywał się Ivan Sorokin i był Rosjaninem z obywatelstwem brytyjskim. Do paszportu dołączone były prawo jazdy i karta kredytowa. W osobnej torebce znajdowały się nakładki na palce z liniami papilarnymi należącymi do jakiegoś Bogu ducha winnego umrzyka, wreszcie maska z uszlachetnionego lateksu, która pozwalała całkowicie zmienić wygląd. Sorokin był rudy, szerokonosy, miał zielone oczy i charakterystyczną brodawkę na policzku. Maska posiadała naturalnie wyglądające pory i aby odróżnić ją od prawdziwej skóry, trzeba byłoby przypalić ją papierosem, na co Joe nie zamierzał nikomu pozwolić. Odrobina maści umożliwiała w sposób prawie doskonały zamaskować granicę między tworzywem a ciałem, zresztą z przodu uwagę odciągała stara blizna na szyi po operacji tarczycy. Carpenter dostał ten

komplet ładnych pięć lat temu i dotąd nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie musiał z niego skorzystać. Ale, jak wiadomo, nigdy nie należy mówić „nigdy”. Będąc w banku, podjął trochę gotówki i przetransferował swoje pieniądze pomiędzy funduszami inwestycyjnymi. Ot, zwykła wizyta majątnego człowieka.

Ponieważ zaczęło padać, poszedł do kina na jakiś durny film, potem wpadł do księgarni, kupił mapy i przewodnik po Gwatemali, na trzy godziny zajrzał do biblioteki przy Smithsonian Museum, gdzie skopiował kilkanaście relacji hiszpańskich okresu konkwisty, wskazujących na istnienie w interiorze Jukatanu ciągle nieodnalezionych miast, po czym zjadł samotnie kolację (stewardesa Bess przebywała już od dawna w San Francisco). Po drodze strzelił w pubie jeszcze jedno piwo i wrócił do domu, aby tracić czas na oglądanie starych komedii w telewizji. Jego inwigilatorzy zapewne sporządzili notatkę na temat jego poczynań, ale musiał to być wyjątkowo nudny raport.

\*

W Gwatemali padał deszcz. Kiepski czas na zwiedzanie! Ale co miał lepszego do roboty? Wypożyczony samochód czekał na parkingu pod lotniskiem, wypadało jedynie zgłosić się po dokumenty i kluczyki.

W hotelu Joe zjadł wczesną kolację, skrzywił się, słuchając prognozy pogody miejscowej stacji, potem przełączył na CNN, zapadając w drzemkę.

Zbudziła go elektryzująca wiadomość. Na terenie Autonomii Palestyńskiej znaleziono Miriam Levicky. Martwą. Ktoś w sposób niefachowy dokonał aborcji, po czym pozostawił ją, pozwalając, by umarła z upływu krwi. Zdziwiające, że kimkolwiek byli sprawcy porwania, zupełnie nie skusiła ich milionowa oferta starego Arama, który za powrót córki całej i zdrowej ofiarował wręcz bajeczną fortunę.

Na moment poczuł kłujący ból w trzewiach. Czyżby ostrzeżenia doktora Lewisa „jest źle, a może być tylko gorzej”

zaczynały się materializować? W tym momencie jednak zupełnie się tym nie przejmował. Wszystko, co trzeba było przygotować, zostało już przygotowane, należało jedynie cokolwiek działania przyspieszyć.

Zadzwoił do swego lokalnego turystycznego operatora.

- Ze względu na pogodę chciałbym zmienić plany.

- To znaczy?

- Zacząć zwiedzanie od Tikal. Z prognoz pogody wynika, że na północy Jukatana panuje znakomita pogoda.

- To prawda. Chwileczkę. Musimy tylko sprawdzić, jak z miejscami w samolocie. Oddzwonimy do pana.

Odezwali się już po kwadransie. Było jedno miejsce w locie o ósmej dwadzieścia. Carpenter skwapliwie polecił je zarezerwować. Joe nie do końca dowierzał opowieściom o ostatnim wolnym miejscu. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Służby, jeśli były zdecydowane go kontrolować, musiały wysłać za nim swojego człowieka.

Rozpoznał go bez trudu: facet pojawił się jako ostatni na odprawie i zajął miejsce w klasie biznes. Dla przeciętnego pasażera antyteza agenta: ot, łysiejący blondyn o wymoczkowatym wyglądzie osobnika, którego nagłe wezwanie do odprawy wyrwało z kabiny toaletowej. Joe, zauważył go jeszcze podczas lotu z Waszyngtonu. Ale wówczas łysinę przykrywał tupecik, a facetowi towarzyszyła apetyczna Latynoska. Teraz agentka najwyraźniej nie zmieściła się do małego, wypełnionego turystami embraera.

Prognozy meteorologiczne nie kłamały: po opuszczeniu wyżyn za- ! słońce chmur rozsunała się niczym teatralna kurtyna i wlecieli w pełne ; słońce ponad zielonym dywanem tropikalnej dżungli. Z lotniska Mundo Maya w miejscowości Flores trzeba było jeszcze przejechać ładny i kawał drogi do hotelu „Jaguar” ulokowanego opodal bram parku archeologicznego. Carpenter prawie natychmiast po przyjeździe ruszył: pomiędzy ruiny, które niczym skały pośród kipieli wyrastały z morza tropikalnej dżungli. Kątem oka obserwował łysiego wymoczk podąża-<sup>1</sup> jącego jego śladem. Agent był kompletnie nieprzygotowany do eskapady w tropiki. Nie miał

kapelusza, który mógł go chronić przed słońcem, więc stworzył sobie groteskowe nakrycie głowy z zawiązanej na rogach chusteczki do nosa. Okropnie się pocił w plastikowej koszuli, również jego eleganckie buty w najmniejszym stopniu nie nadawały się do wspinania po schodkowych krzywiznach piramid. W dodatku Joe narzucił mordercze tempo zwiedzania. Pokonał kilkanaście kilometrów ścieżkami w dżungli, wspiął się na wszystkie możliwe piramidy i z satysfakcją patrzył, jak facet z każdą godziną coraz bardziej puchnie. Po powrocie do hotelu Joe zasiadł przy basenie ze szklaneczką whisky, a jego obserwator, łypnąwszy tylko ponuro okiem, poszedł spać przekonany, że już nic interesującego nie może się wydarzyć. Jego wsparcie mogło przybyć najwcześniej następnego dnia. Na to właśnie liczył Carpenter. Szybko zawarł umowę z jednym z taksówkarzy, który przywiózł właśnie trójkę turystów z miasta Flores i za dość wygórowaną kwotę podjął się dostarczenia Amerykanina do granicy z dawnym Flondurasem Brytyjskim, obecnie noszącym miano Republiki Belize, a nawet dalej, aż do samego Belize City.

Wyruszyli zaraz po zmierzchu; wymęczony agent spał jak zabity. Joe, który pozbył się wszystkich dotychczasowych bagaży łącznie z komórką, przespał całą noc na tylnym fotelu taksówki i rano zbudził się już nad Morzem Karaibskim, dziwnie świeży i wypoczęty.

W toalecie restauracji ostatecznie pozbył się tożsamości jankesa Carpentera, a wcielił się w Ivana Sorokina, Angoła rosyjskiego pochodzenia. Naciągany na twarz lateks śmierdział londyńskim smogiem, angielską flegmą i starymi skarpetkami, ale czego się nie robi dla dobrego kamuflażu? Z myślą o towarzyszach podróży skropił się obficie wodą po goleniu. Potem bez większych trudności (łapówki to bardzo użyteczna metoda) przedostał się na pokład meksykańskiego wycieczkowca poruszającego się po tej części akwenu na trasie Cancun-Hawa- na-Montego Bay na Jamajce-Kajmany-Belize-Cancun. Jakimś cudem (koszt cudu wyniósł trzy tysiące dolarów) znalazła się wolna kabina z widokiem na morze. Na jedną noc! Już następnego dnia zszedł na ląd w meksykańskim

Cancún, gdzie bez chwili zwłoki nabył bilet do Madrytu, tam zaś, po zaledwie dwóch godzinach oczekiwania, znalazł się na pokładzie boeinga Air Izrael, kierującego się na położone pomiędzy Teł Awiwem a Jerozolimą lotnisko Lod.

Po drodze zastanawiał się, kiedy jego przełożeni zorientują się, że ich wykiwał. I jakie gromy spadną na śledzącego go niedojdę. Znając stosunki panujące w Langley, mógł wyobrazić sobie piekło po otrzymaniu wiadomości, że łysek zgubił inwigilowanego agenta. I spekulacje, po co Joe to zrobił. Czy mieli szanse go namierzyć? Zapewne po jakimś czasie odnajdą taksówkarza, który wiozł go do Belize. Ale potem? Ci, którzy umieścili go w kabinie wycieczkowca, nie znali żadnego z jego nazwisk, a zanim ktoś wpadnie na to, że niejaki Ivan Sorokin, który 18 października opuścił Cancún, nigdy do niego nie przyleciał, może minąć mnóstwo czasu. I o to chodziło. Reszta to nie był już ani jego kłopot, ani jego Firma. Od tej pory działał na własną rękę. Prywatnego poszukiwacza tajemnic.

Większość lotu nad Adantykiem, a następnie nad Morzem Śródziemnym przespał. Liczył nawet, że w tym śnie nawiedzi go Maud, specjalistka od dawania dobrych rad, ale widocznie nie było nic do radzenia.

- Pan na długo, panie Sorokin? - zapytał izraelski urzędnik kontrolujący *jego* paszport.

- Myślę, że na dwa tygodnie, choć obawiam się, że to zdecydowanie za mało czasu, aby zwiedzić wasz piękny kraj.

## ROZDZIAŁ X

### TAJEMNICA LEKARSKA

Niebo było szarawe i wiał porywisty, północny wiatr. Izrael pod koniec października nie jest szczególnie przyjazny dla turystów.

Joe rozważył kilka możliwości wyjaśnienia sprawy Miriam Levicky i wybrał w końcu wariant jego zdaniem optymalny: postanowił odwiedzić starego przyjaciela i poprosić go o pomoc.

David Rosenstein - przynajmniej pod tym nazwiskiem poznał go przed laty i jakoś ciągle nie mógł zapamiętać nowego, brzmiącego zdecydowanie lepiej po hebrajsku - był emerytowanym agentem Mosa- du, a przy okazji człowiekiem niesłychanie towarzyskim i dowcipnym. „Gdyby nie wojna, pewnie zarabiałbym na chleb, opowiadając w Polsce jakieś szmoncesy na scenie kabaretu” - mawiał. David miał u Joego podwójny dług wdzięczności. Raz w Libanie Joe wspólnie z Butlerem uratował mu życie, a raz dupę, kiedy nieumyślny błąd Izraelczyka omal nie położył wspólnej operacji w północnym Iraku.

Wprawdzie dobre wychowanie nakazywało najpierw zadzwonić, ale Joe postanowił wziąć go z zaskoczenia, jako że od pewnego czasu nie darzył telefonów wielkim zaufaniem.

David, który na emeryturze poświęcił się hodowli winorośli, miał ładną winnicę na terenie Starego Izraela, choć o kilka kroków za wzgórzem zaczynał się mur oddzielający niespokojny teren Autonomii Palestyńskiej. Carpenter, tym razem już bez charakteryzacji, zamierzał podkraść się do jego domu, ale wcześniej wypatrzyły go niewidoczne kamery i Rosenstein po prostu wybiegł na jego spotkanie.

- Było uprzedzić! - wołał. - Jakoś bym się przygotował, Sara przygotowałyby obiad...

- Jestem po obiedzie.



- Ale napijesz się?
- Każdy by się napił. Zwłaszcza twojego wina.
- No to zapraszam.

Weszli do domu, po krótkiej prezentacji małżonki, malutkiej i okrągłutkiej jak tykwa, David poprowadził swego gościa do niewielkiego pomieszczenia na tyłach budynku.

- Rozumiem, że chcesz pogadać. Tu można mówić o wszystkim - zapewnił.

- A jeśli wpadłem tylko po to, żeby zobaczyć, jak żyjesz?

- W takim wypadku nie miałbyś charakterystyki i lipnego paszportu.

- Skąd wiesz?

- Wszystko wiem. Możesz zmylić swoich Amerykanów, ale nie nas. Piętnaście minut po twoim wejściu do terminalu miałem telefon od dawnych kumpli, czy wiem coś o przyjeździe „emerytowanej gwiazdy CIA”.

- Cholera - zmartwił się Carpenter. - A tak byłem pewny swego incognito. To już chyba starość!

- Daj spokój, nie ma się czym łamać. Współpracujemy z Ameryką, to prawda, ale tylko w jedną stronę. Przyjmujemy od was dane, ale swoje karty trzymamy zawsze przy orderach. Firma nie wie, że tu jesteś, i od nas się nie dowie. Ale mów lepiej, co cię sprowadza.

Carpenter wspomniał o tragedii Miriam Levicky. Wyraz zdziwienia przebiegł przez lisie oblicze Rosensteina.

- Zaskoczyłeś mnie. Nie pytam o powody tego zainteresowania, ale to śmierdząca sprawa i na twoim miejscu ja bym w niej nie grzebał.

- Sądzisz, że zlecił to jej ojciec?

- Taki trop podrzucono pismakom - parsknął David. - Łyknęli go z zachwytem. Rozkosznie jest kąsać bogatych, do niedawna wszechmocnych. Ja jednak myślę, że sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana.

- To znaczy?

Rosenstein poskrobał się po brodzie.

- Zacznijmy od faktów. Tę aborcję przeprowadzono bardzo fachowo. I wszystko wskazuje, że dołożono starań, aby się

udała. Niestety, nie wzięto pod uwagę drobiazgu, rzadkiej grupy krwi dziewczyny. Kiedy nastąpił krwotok, nic nie mogło jej uratować.

- I to eliminuje z grona podejrzanych jej ojca.

- Oczywiście. Oddałby połowę majątku, aby mieć dziedzica fortuny. A tu za jednym zamachem utracił córkę i wnuka.

- To był chłopczyk?

- Tak! Dlaczego tak cię to interesuje? Miałeś jakiś udział w tej sprawie?

Carpenter omal nie zachłysnął się winem...

- Dobra, dobra, nie pytam - zmytygował się David. - Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

- Jakie są okoliczności poczęcia i kto był prawdopodobnym ojcem?

- Tego nie wiem, ale się dowiem. - Przymrużył szelmowsko oko, dając do zrozumienia, że nie będzie to szczególnie trudne. Joe wiedział dlaczego. Ktoś taki jak Aram Levicky z pewnością znajdował się pod stałą obserwacją służb. - Mam nadzieję, że zostaniesz u mnie na noc, a ja sprawdzę, czego zdołam się dowiedzieć.

- Będzie to dla mnie prawdziwą przyjemnością.

Reszta dnia, a zwłaszcza wieczór upłynęły im na wspominkach. Podczas akcji w Iraku David stał się praktycznie jednym z członków oddziału pułkownika (wówczas majora) Butlera, toteż mogli bez końca powtarzać ówczesne anegdoty i odświeżać wspólne przeżycia. Niekiedy postronnemu obserwatorowi mogło się wydawać, że „kumple z woja” służyli w jakimś oddziale typu MASH albo studiowali na Akademii Policijnej nr 10. Jednak od śmiechu do łez niedaleko. Sara Rosenstein, która przed laty poznała żonę Carpentera, a nie miała pojęcia o jej śmierci, spytała, co porabia...

- Umarła - odparł krótko Joe.

Na szczęście David błyskawicznie zmienił temat, wiedząc, że wspomnianie Maud było dla Carpentera jak rozdrapywanie starych ran i posypywanie ich solą. Ciekaw był opinii Joego na temat zamachu w Rzymie.

Carpenter, nie zdradzając, jak wiele wie, wygłosił jedynie

swoją prywatną opinię, że sprawcami niekoniecznie musieli być Arabowie. Ku jego zaskoczeniu gospodarz zgadzał się z tą hipotezą.

- To z całą pewnością nie byli Arabowie - powiedział. - Prawdziwymi wrogami islamu nie są dziś wierzący chrześcijanie czy praktykujący Żydzi. Tych można zawsze nawrócić. Ja sam, na wypadek gdybym wpadł w ich ręce, znam formułę: „Nie ma Boga oprócz Allacha, a Mahomet jest Jego prorokiem”. Właściwym przeciwnikiem dla zagorzałych islamistów jest ateizm, bezbożna cywilizacja Zachodu. W swoich diagnozach zgadzają się z radykalnymi katolikami, że zwycięża „cywilizacja śmierci”. Rozpada się rodzina, szerzy się pedałstwo, demokrację zastąpiła mediokracja, a ludzie nie potrafią zauważyć innego celu życia poza rozszalałą konsumpcją...

- Wdżę, że na emeryturze stałeś się moralistą.

- Może cię rozśmieszę, ale z upływem czasu coraz bardziej wierzę w Boga. Może niezgodnie z jakąkolwiek oficjalną doktryną, ale jestem przekonany o sile, która trzyma ten świat w kupie i nadaje mu sens. Tylko że obserwując to wszystko, co się dzieje, obawiam się, że ta siła coraz bardziej traci cierpliwość. - Tu z nagłą popatrzył na Amerykanina. - Co myślisz o tych wszystkich gadkach na temat końca świata? Także u nas mnóstwo nawiedzenców twierdzi, że pojawiły się znaki o rychłym nadejściu Mesjasza. Z drugiej strony, po co miałby przychodzić? Żeby Go ponownie ukrzyżowali?

- Mówi się o jakichś konkretnych terminach? - zapytał pozornie obojętnie Joe.

- Słyszałem, że zdarzy się to przed upływem roku... Ale równie dobrze może nic się nie zdarzyć.

Joe pomyślał o dziecku wydartym z łona Miriam i tylko westchnął. Istniała możliwość, że Paruzja została już udaremniiona... A może powinien opowiedzieć Davidowi o abisyńskim prorocctwie?

Operacja Glenna Butlera rozwijała się planowo. Na szczęście na świecie jest zdecydowanie mniej naturalnych blondynek niż brunetek. Imię Maria też nie było już tak popularne jak przed laty. Baza danych rosła, ale nie osiągnęła jakichś gigantycznych rozmiarów. Po wyeliminowaniu wieloródek, mężatek, kobiet, co do których złego prowadzenia nie było żadnych wątpliwości, spis ograniczył się do kilkunastu tysięcy kobiet. Przy czym i ta liczba szybko została ograniczona do kilkuset. W większości wypadków aborcja nie nastęczała najmniejszych problemów.

Na Miriam Levicky trafili bardzo szybko, dzięki paparazzim, dla których losy córki multimiliardera były cennym kąskiem. Nos Butlera podpowiadał mu, że to może być najwłaściwszy z tropów. Żydówka, blondynka, zamieszkała w Izraelu (jej matka pochodziła z Nazaretu), kandydatka na zakonnicę, która ukryła się w klasztorze. W dodatku dziewica, która nie wiadomo w jaki sposób zaszła w ciążę. Brakowało tylko opowieści o aniele i zwiastowaniu.

Może tylko niepotrzebnie wysłał grupkę Andy'ego Wolffa. Chłopak ostatnio nie miał szczęścia: na Sycylii omal nie zatłukli go kuzyni Sofii Lupini, uznając, że to on był sprawcą nieoczekiwanej ciąży i jeszcze zamiast żenić się, proponował pieniądze na aborcję, a w Izraelu...

Kto mógł przewidzieć, że Miriam okaże się tak krnąbrna i nie będzie chciała poddać się zabiegowi po dobroci. Wprawdzie udało się i uprowadzenie, i zabieg, bo jeden z ludzi Butlera był z wykształcenia weterynarzem i nie takie porody przyjmował, jednak efekt okazał się fatalny. Śmierć dziewczyny!

Butler skłął Wolffa na czym świat stoi i choć osobiście uważał to za koszt dopuszczalny, wrzawa, jaka się podniosła w związku ze sprawą, na pewno nie podobała się w Waszyngtonie. W dodatku płód, jak się okazało po zbadaniu, nie wykazywał żadnych wyjątkowych cech (był to normalnie rozwijający się chłopczyk).

„A może jednak się pomyliliśmy?” - zastanawiał się pułkownik. Jego podwładni zauważyli, że zrobił się nerwowy. Humoru nie poprawiło mu wykrycie i wyskrobanie pięciu Marii albinosek spośród Aborygenów, Murzynów i drawidyjskich

plemion południowych Indii.

Szósty, a może siódmy zmysł podpowiadał mu, że coś jest nie tak. Mimo całej staranności mogli pominąć jakąś kobietę. Był przemęczony, w ciągu ostatnich tygodni kilka razy okrążył kulę ziemską, a jeszcze centrala CIA nękała go pytaniami na temat aktualnego możliwego pobytu Carpentera. Nie miał pojęcia, gdzie podziewał się jego były podwładny, a nawet śmiał się, słuchając, w jaki pomysłowy sposób urwał się służbom. Inna sprawa, że nawet gdyby wiedział, toby raczej nie powiedział. Nawet taki amoralny typ jak on wśród nielicznych zasad, których przestrzegał, miał jedną: „Nie kablujemy na starych kumpli. No chyba że wejdą nam w drogę”.

\*

Pobyt Joego w winnicy Davida przedłużył się do trzech dni. Tyle czasu zajęło staremu agentowi Mosadu wyciągnięcie z archiwów telefonicznych billingów starego Levicky'ego.

Nie wiadomo, dlaczego policja nie poszła pewnym tropem, który dla starych kumpli wydał się bardzo prawdopodobny. Może dlatego, że Aram był znanym filantropem sponsorującym od dawna muzea, szkoły i szpitale, w związku z czym jego hojność dla kliniki w Nazarecie, gdzie przed trzema miesiącami otwarto nowy oddział położniczy, nie wzbudziła niczyjej ciekawości, podobnie jak częste telefony do profesora Klausa Altenbacha, przewidywanego na ordynatora. Pięćdziesięcioletni doktor Altenbach, dotąd praktykujący głównie w Szwajcarii, cieszył się w Europie renomą jednego z najlepszych specjalistów w zakresie zapłodnień *in vitro*. Kontakty te wzmogły się pół roku temu i ich efektem było przybycie Altenbacha do Izraela. Było to o tyle ciekawe, że oddział, którego miał zostać szefem, nie był jeszcze gotowy i trwały w nim drobne prace wykończeniowe.

Carpenter dokonał synchronizacji zdarzeń: Altenbach przybył do Jaffy 14 kwietnia i zamieszkał w rezydencji Levicky'ego. Trzy dni później przybyła tam na zaproszenie ojca nowicjuszka Miriam. Przypadek czy element planu?

Półtora miesiąca później Miriam zapadła na zapalenie opon mózgowych i została przewieziona do szpitala w Nazarecie. Celem zapewnienia jej jak najtroskliwszej opieki umieszczono ją w gotowym, ale jeszcze nieotwartym pawilonie, gdzie po tygodniu leżenia bez zmysłów doszła do zdrowia. Gdyby chodziło o pobranie, a następnie wszczepienie zapłodnionego jajeczka, trudno wyobrazić sobie lepsze i bardziej dyskretne warunki. Zwłaszcza gdyby ten proces miał być przeprowadzony w tajemnicy przed nią samą.

- Tatuś postanowił zapewnić sobie spadkobiercę bez zgody córki - to całkiem prawdopodobna hipoteza - skomentował David. - W dodatku z niewielkim ryzykiem. Wiedział, że neofityzm córki uniemożliwi usunięcie ciąży. Myślę, że Miriam łatwiej byłoby uwierzyć, że „poczęła z Ducha Świętego”.

„Czyta w moich myślach” - przemknęło Carpenterowi.

- Pozostaje tylko ustalić, kto był dawcą plemników - kontynuował wywód Rosenstein - ale tutaj moje możliwości się kończą...

- Być może to pozwoliłoby ustalić, kto porwał dziewczynę, a następnie umyślnie bądź nie doprowadził do jej śmierci - dokończył Joe.

Rosenstein skrzywił się ledwie dostrzegalnie i stwierdził, że w tej sprawie też nie ma żadnej wiedzy. Jedyne, o czym jest przekonany, to że nie jest to sprawka Palestyńczyków.

- Tych mamy rozpracowanych - zakończył.

- W takim razie kto mógł tego dokonać?

- Jakież wynajęte zbiry, krajowe bądź przybyłe z zewnątrz, dość perfekcyjne w działaniu i zacieraniu śladów.

- Nie uwierzę, że nie ma na ten temat żadnych poszlak. Moje przybycie nie uszło waszej uwagi, a przylot kilku niebezpiecznych zakapiorów miałby nie wzbudzić zainteresowania waszych służb?

- Powtarzam, nie dostałem na ten temat żadnej informacji! - W głosie gospodarza pojawił się ton lekkiej irytacji.

Brak odpowiedzi też bywa odpowiedzią. Niewiedza Davida wskazywała, że ktoś zadbał, aby niebezpiecznym typom nikt nie wchodził w paradę ani przed akcją, ani po niej. Stąd łatwo

wyciągnąć wniosek, że stała za nimi jedna z wielkich potęg, z którymi nawet ambitny rząd państwa Izrael wołał nie zadzierać.

- Jeszcze jedno, może cię to zainteresuje: miesiąc temu Altenbach zrezygnował z prowadzenia kliniki. Podobno otrzymał jakąś lepszą propozycję ze Stanów albo z Kanady... Gdzieś zapisałem. - Zajrzał do notesu. - Jest! Dostał roczny kontrakt na Uniwersytecie Kalifornijskim.

- Kto w takim razie obecnie zarządza oddziałem?

- Jego dużo młodszy następca, doktor Leo Szafir.

- Rozumiem. A nie wiesz przypadkiem, czy w interesującym nas okresie pracowali razem?

David uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że zadasz mi to pytanie. Posprawdzałem. W okresie poprzedzającym otwarcie kliniki i przez pierwszy miesiąc jej działania byli po prostu nierozłączni. W dodatku żona Szafira, Edna, pracowała na oddziale zakaźnym i tam bezpośrednio opiekowała się Miriam.

- No to nie pozostaje nic innego, jak porozmawiać z panem doktorem. Może opowie, co zdarzyło się w nieoddanym jeszcze do użytku pawilonie na przełomie maja i czerwca?

- Wątpię, czy zechce zaspokoić naszą ciekawość. Zasłoni się tajemnicą lekarską.

- Davidzie, doskonale zdajesz sobie sprawę, że obaj znamy metody, które potrafią skłonić go do odstąpienia od swych niezłomnych zasad.

1 listopada doktor Leo Szafir miał wykład na uniwersytecie w Hajfie. I jak zwykle zrobił spore wrażenie na zgromadzonych w auli studentach, a szczególnie na pewnej studentce, czarnobrewej piękności z gigantyczną grzywą lśniących włosów. W trakcie wykładu doktor zdążył nawiązać z nią wielce obiecujący kontakt wzrokowy, toteż prawie wybiegł z sali, domyślając się, gdzie zastanie dziewczynę; niestety, na przeszkodzie jego planom stanęli dwaj faceci, którzy zagroźili mu drogę na korytarzu.

- Przepraszam, bardzo się śpieszę - rzucił, usiłując ich wyminąć.

Nie udało się. Starszy machnął mu przed nosem jakąś legitymacją.

- David Natanson, policja kryminalna.

- Joseph Harding, Interpol - rzucił drugi o wyglądzie komandosa. — Musimy porozmawiać.

Spotkanie funkcjonariuszy zawsze wywołuje w ludziach nieprzyjemne emocje, jednak Szafir nie miał sobie nic do zarzucenia.

- Nie teraz, panowie, jestem zajęty. Proszę zadzwonić do mojej sekretarki. ..

Znów usiłował ich wyminąć, ale dłoń wyższego zatrzasnęła się na jego ramieniu na podobieństwo stalowych obcęarów.

- Chcieliśmy uniknąć nieprzyjemnego rozgłosu, jakim byłoby oficjalne wezwanie na posterunek — syknął mu do ucha.

- Nakaz aresztowania też nie będzie trudny do uzyskania - wsparł go niższy.

Szafir zbladł. Kudłata piękność błyskawicznie wyparowała mu z głowy, a on gorączkowo zastanawiał się, czym mógł podpaść.

- To nie potrwa długo. Jeśli udzieli nam pan zadowolających wyjaśnień, za godzinę powróci pan do swych zajęć.

Sam nawet nie zauważył, jak znalazł się w aucie.

- Naprawdę nie wiem, w czym mógłbym pomóc - wybełkotał, kiedy wóz ruszył z piskiem opon.

- Miriam Levicky! - wycedził rzekomy Harding, który usiadł obok niego.

„Natanson” zajął się prowadzeniem.

- Levicky... Niech sobie przypomnę. Miriam? Tak, pamiętam. Przez pewien czas leżała na oddziale mojej żony. - Usiłował rozsiać się wygodnie, jak ktoś z absolutnie czystym sumieniem. - Naturalnie słyszałem o tym nieszczęściu, ale nie mam nic wspólnego z jej śmiercią.

- A z ciążą? - rzucił prowadzący, odwracając głowę.

Rozbiegane oczy dowodziły, że strzał był celny. Jednak doktor

usiłował nie tracić rezonu.

- Nie wiem, o czym panowie mówią - bełkotał.



Funkcjonariusze pozostali nieubłagani.

- O nielegalnym zapłodnieniu *in vitro* dokonany, kiedy panna Levicky leżała nieprzytomna na skutek rzekomego zapalenia opon mózgowych, czym już zajęła się pańska żona.

- Ale pan Levicky mówił... - W tym momencie Szafir wyglądał na człowieka, któremu grunt usuwa się spod nóg.

- Wiemy, co mówił i jak dobrze za to zapłacił. Nas interesuje, jak to się odbyło.

Zacisnął zęby.

- Nie powiem niczego, dopóki nie skontaktuję się z moim adwokatem!

- Synku, naoglądałeś się kiepskich filmów. - Siedzący obok niego „komandos” podsunął mu pod nos okazałą spluwę. - Naprawdę, nie zmuszaj mnie, abym musiał ścierać twój mózg z tapicerki...

Poniewczasie zaczęło mu świtać, że niekoniecznie wieziony jest na przesłuchanie. Co gorsza, zupełnie nie potrafił zapanować nad swym pęcherzem.

- Wy wcale nie jesteście policją! - jęknął, czując na nodze wąską stróżkę moczu.

- Zgadza się. Ale podobnie jak funkcjonariuszy prawa interesuje nas prawda i tylko prawda.

- Kto was wynajął?... Ja mogę zapłacić lepiej... Puśćcie mnie.

- Wystarczy, że będziesz mówić, a nic ci się nie stanie!

- A nie zabijecie mnie? - W głosie medyka pobrzmiwała autentyczna trwoga.

- Po co? Nie zajmujemy się takimi gnojkami jak ty. Potrzebujemy konkretów. Wiemy, że jeszcze w willi do zabiegu przygotowywał Miriam sam Altenbach.

- Tak, pod pozorem zwalczania nieżyty górnych dróg oddechowych podawał jej hormony. Ja... ja nawet o tym nie wiedziałem!

- Uczestniczyłeś jednak w pobraniu jajeczek. Ilu?

- Dwóch. - Wpatrując się w wylot lufy, nerwowo przełknął ślinę. - Musieliśmy! Altenbach był moim przełożonym. Zmusił mnie i Ednę... Zwłaszcza mojej żonie bardzo zależało na pracy...

- Motywy waszego postępowania zupełnie nas nie interesują, tylko fakty - przerwał „Harding”. - Czyjej spermy użyto do zapłodnienia?

- Nie wiem.

Szczeknął bezpiecznik pistoletu, a lufa zbliżyła się do skroni lekarza.

- Wiesz!

- Jej ojca - wyrzucił desperacko.

„Komandos” zmarszczył brwi. Wyglądało na to, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

- Jesteś pewien?

- Niczego bardziej nie jestem pewien. Uczestniczyłem w pobraniu nasienia. Kupiłem nawet pornole dla starego Arama. Obrzydliwość.

Pistolet zniknął. Przesłuchujący nie wyglądał na zadowolonego, ale Szafir wyczuł, że najgorsze minęło.

- Rozumiem, że drugi zarodek został zamrożony... A może zniszczony? - do przesłuchania wtrącił się kierowca.

Szafir stracił naraz chęć do rozmowy.

- Czy to takie trudne pytanie? - naciskał „Natanson”.

- I tak mi nie uwierzycie - powiedział z ociąganiem lekarz.

- Mimo to mów!

- Wkrótce po zapłodnieniu pierwszego jajeczka szef, znaczy Al- tenbach, zrobił mi awanturę. „Dlaczego samowolnie zapłodniłeś drugie?!” - wołał. „Niczego takiego nie zrobiłem - tłumaczyłem. - Na jakiej podstawie pan tak uważa?” „Bo widzę, że jest zapłodnione. I jeśli nie przez ciebie, to nie wiadomo przez kogo. Kto jeszcze miał dostęp do tej chłodziarki?” „Tylko pan. Nawet ja nie mam przecież klucza”. To go chyba przekonało. Poburczał jeszcze chwilę, ale dał mi spokój.

- I co stało się z tym zarodkiem? - dopytywał „Harding” dziwnie poruszony, jak się wydawało, marginalną kwestią.

- Wiem, że pozostawał zamrożony, ale co stało się z nim później, nie mam pojęcia. Musiałem wyjechać na kilka dni do Jerozolimy. Kiedy wróciłem, zamrażarka była pusta. Nabrałem podejrzeń, że może Klaus wszczepił zarodek komuś innemu.

- Na przykład?

- Choćby własnej żonie; z tego, co wiem, od lat cierpiała na bezpłodność.

- Możesz opisać, jak wygląda pani Altenbach? - W głosie cudzoziemca zabrzmiało autentyczne podekscytowanie.

- Pani Maria?... Nigdy się jej specjalnie nie przyglądałem. Bardzo zwyczajna. Blondynka, przy kości, niebieskie oczy, lat pewnie trzydzieści pięć, trzydzieści siedem...

- No, to raczej nie dziewica - mruknął na wpół do siebie rozmówca doktora.

- A kto ją tam wie - powiedział Szafir. - Profesor Altenbach wygląda tak, jakby w życiu nie używał kobiety.

- Pederasta?

- Raczej bezpłciowiec.

- Rozumiem.

Ku zaskoczeniu doktora więcej pytań nie było. „Komandos” poprosił swego kolegę, by zatrzymał wóz, a następnie zwrócił się do Szafira.

- Bardzo nam pan pomógł. Dziękujemy za poświęcony nam czas. Miłego dnia.

- I proszę zbadać pęcherz, razem z prostatą - poradził kierowca.

\*

- Telefon do ciebie! - powiedziała swym zmysłowym głosem Vivian, zbudzona wczesnym rankiem.

Butler lekko zaklął i przewrócił się na drugi bok. Wetknęła mu słuchawkę w rękę.

- Tak? Tak, rozumiem. Nie, nie muszę zapisywać. Serdeczne dzięki za informacje. *Wiedziałem, że zawsze mogę na ciebie liczyć.*

- Coś się stało? - zapytała Vivian, drapiąc się między kształtnymi piersiami lufą lugera.

- Nie cierpię poprawek! Będziemy musieli zająć się jeszcze jedną osobą spoza listy. I to będzie twoje zadanie, moja mała. Trzeba będzie polecieć do Berkeley i przyjrzeć się niejkiej Marii Altenbach.

- Mam zająć się tym sama czy wziąć kogoś z miejscowych? -  
W półmroku błysnęły jej drobne drapieżne ząbki.

- Ależ nie! Na wszelki wypadek dostaniesz do pomocy  
Andy'ego Wolffa. Mówił, że ze wszystkich miast w Stanach  
najbardziej lubi San Francisco.

\*

Mimo ponownego zaproszenia Rosensteina, Joe nie  
zdecydował się przedłużyć pobytu w jego winnicy. I tak czuł się  
głupio, wykorzystując przyjaciela, a nie udzielając mu wielu  
istotnych informacji. Był pełen podziwu dla powściągliwości  
Davida, który o nic nie pytał.

Po opuszczeniu samochodu w śródmieściu Hajfy udał się do  
hotelu, cały czas zastanawiając się, co zrobić. Musiał koniecznie  
pogadać z Altenbachem, ale nie uśmiechał mu się powrót do  
Stanów, gdzie czekała na niego paskudna dyrektor Alvarado z  
*mnóstwem* nieprzyjemnych pytań. Jednak skoro góra nie  
mogła przybyć do Mahometa... Z Internetu dowiedział się, że 5  
listopada profesor Altenbach ma wygłosić odczyt w  
szwajcarskiej Bazylei.

- Tam z nim porozmawiam - postanowił.

Jako Ivan Sorokin bez żadnych trudności doleciał do  
Florencji, skąd zatelefonował do Rinalda Cavalieriego.  
Nadkomisarz zgodził się na spotkanie. Umówili się w połowie  
drogi, w Orvieto. Szef włoskiej policji nie tał zniechęcenia.

- Po twoim odejściu Amerykanie stracili cały zapal do  
śledztwa. Wprawdzie za małżeństwem Atkinsonów rozesłano  
listy gończe, ale ci przepadli jak kamień w wodę. W dodatku w  
przeciekach do mediów zasugerowano, że atak na Rzym był  
indywidualnym dziełem pary bałkańskich szaleńców, która  
przed laty ukryła dwie bomby atomowe, a następnie  
wykorzystała je przeciwko Watykanowi...

- A co z wątkiem satanistycznym?

- Satanistycznym? - zdziwił się Rinaldo. - Ten temat nie  
pojawił się w żadnej wypowiedzi na temat śledztwa. Ale czekaj,  
mam coś jeszcze, co może cię zainteresować... - Wyciągnął

wydruk z Internetu.

Chłód przeszył serce Carpentera. Informacja o śmierci Marka Coopera była krótka: „Dzielny agent FBI zginął, próbując aresztować handlarzy narkotyków na przedmieściu Baltimore”.

-Jedno zdanie i trzy kłamstwa - skomentował. - Mark nie był funkcjonariuszem FBI, nie zajmował się tropieniem handlarzy narkotyków, a przedmieścia Baltimore, o ile wiem, nie stanowiły nigdy terenu jego działania. Podczas naszej rozmowy obiecywał mi, że nie odpuści wątku satanistycznego.

Tu przedstawił nadkomisarzowi własne hipotezy na ten temat. Ten zamyślił się głęboko.

- Podejrzewasz, że został zlikwidowany, ponieważ nadal tropił satanistów?

- Gdybym miał pewność, byłbym przerażony. Oznaczałoby to ni mniej, ni więcej, że władze mego kraju wzięły pod ochronę tę zbrodniczą organizację... Mam nadzieję, że kiedy Ken Miles wróci z urlopu...

- Nie wróci. Był komunikat, że z dniem 1 listopada przeszedł na zasłużoną emeryturę, a Biały Dom wyraził mu podziękowanie za wierną służbę.

- Cholera. Miał zaledwie pięćdziesiąt osiem lat i ogromne doświadczenie!

- Niewykluczone zresztą, że i ja będę musiał odejść - powiedział Cavalieri z westchnieniem.

- Jak to!?! - Carpenter aż podskoczył. - Dlaczego?!

- Zaproponowano mi typowego „kopniaka w górę”. Stanowisko komisarza Unii do spraw przestępczości kryminalnej. Premier Cartolini broni mnie, ale podobno Mac Brandon okropnie naciska, sugerując, że jest to propozycja nie do odrzucenia. W dodatku lewicowa prasa obciąża mnie odpowiedzialnością za brak postępów w śledztwie. Rozumiesz coś z tego?

Joe pokręcił przecząco głową. Owszem, miał pewne podejrzenia, ale uznał, że przedwcześnie byłoby wtajemniczać w nie nadkomisarza.

- Być może będę wiedział coś więcej po powrocie ze

Szwajcarii - rzekł.

Następnego dnia transeuropejskim ekspresem dotarł do Bazylei, jednego z tych europejskich miast, które znał dobrze i lubił. Wynajął pokój w położonym nad Renem hotelu „Les Trois Rois”, uroczo staroświeckim, ale w pełni zasługującym na swoje pięć gwiazdek - boye w czerwonych liberiach, wielki, ciągnący się wzwyż przez wszystkie piętra hol z wewnętrznymi galeriami, znakomita kuchnia, a jednocześnie lokalizacja w ścisłym centrum, opodal płataniny małych uliczek, na których, w razie potrzeby, można się zgubić i odnaleźć. Wyboru zresztą dokonał z jeszcze jednego powodu: udało mu się dowiedzieć, że w tym hotelu znakomity lekarz zabukował sobie pokój.

Wedle programu kongresu Altenbach miał przylecieć w przeddzień spotkania, jednak Joe daremnie oczekiwał go tego dnia na lotnisku w Miluzie. Od organizatorów dowiedział się, że profesor spóźnił się na bezpośredni samolot w San Francisco, ale dzwonił, że przyleci *via* Nowy York, za kilka godzin.

Ta zwłoka zaniepokoiła Carpentera.

\*

Altenbachowie na czas pobytu w Berkeley wynajęli obszerny, parterowy dom na wzgórzu niedaleko University Avenue. W pogodne dni z okien pracowni Klausa rozpościerał się zapierający dech widok na zatokę San Francisco, wysepkę Alcatraz, a nawet na majestatyczny most Golden Gate na horyzoncie.

Jednak Andy i Vivian nie przybyli tu delektować się widokami. Do domu weszli łatwo, okolica była spokojna, często patrolowana przez policję i straż uniwersytecką, toteż profesorostwo nie zadali sobie nawet trudu włączenia aparatury alarmowej.

Sytuacja im sprzyjała. Po wyjeździe Klausa jego małżonka miała pozostać sama. O poranku odnotowali wyjazd dwóch samochodów, z podsłuchu telefonicznego jednak wiedzieli, że choć Altenbach wybiera się na tydzień do Europy, jego żona

poprzestanie na niewielkich sprawunkach i po wizycie u fryzjera wróci do domu. Jakoż zjawiała się po dwóch godzinach. Od razu zobaczyła kobietę czekającą na nią obok furtki. Elegancką, zadbaną, z małą teeską pod pachą...

- Przepraszam, że zabieram czas, pańi Altenbach - powiedziała - ale przybyłam na polecenie rektoratu Uniwersytetu Kalifornijskiego... Czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać?

-Jakieś kłopoty z naszym kontraktem? - zapytała Maria Altenbach, manipulując przy zamku.

- Ależ nie, powiedziałabym, że wręcz przeciwnie.

Weszły do salonu. Nic nie zdradzało rewizji, którą tu przeprowadzono, a „Szwab” krył się zapewne w jednym z sąsiednich pomieszczeń.

- Zatem o co chodzi?

Altenbachowa była krągła, uśmiechnięta, rumiana, tak jak powinna wyglądać niewiasta w piątym miesiącu ciąży.

- Nasza uczelnia stosuje dopłaty dla pracowników, których małżonki są w ciąży.

- W ciąży? Ale co to ma wspólnego ze mną? Nie mamy dzieci i, niestety, nie będziemy mieć, ponieważ mój małżonek jest bezpłodny.

- Ale od czego jest zapłodnienie *in vitro*? - uśmiechnęła się porozumiewawczo Vivian. - Wszystko wiemy.

Do tego momentu możliwe było wszystko, łącznie z wyjaśnieniem zaistniałej pomyłki. Na swoje nieszczęście Maria Altenbach była inteligentna i spostrzegawcza. Zorientowała się, że kobieta kłamie, a w dodatku dostrzegła nosek męskiego buta należącego do kogoś kryjącego się za kotarą garderoby. Starła się jednak zachować spokój.

- Musiała zająć pomyłka, ale jeśli pani chce, mogę pokazać wynik ostatnich badań lekarskich.

Pochyliła się nad biureczkiem i dotknęła przycisku od spodu. Zawył alarm.

- Suka - warknął Wolff, wypadając zza kotary. - Wiejemy.

- Widziała nasze twarze! - zauważyła Vivian.

Uruchomienie alarmu zbiegło się z powrotem Altenbacha.

Spóźniwszy się na samolot, postanowił jeszcze kilka godzin pobyć z żoną, a przy okazji zabrać zapomniane publikacje.

Skreślając w osiedlową uliczkę, natychmiast zauważył nieznajomą półfurgonetkę zaparkowaną kilkadziesiąt metrów od ich domu, a alarm nie pozostawiał wątpliwości. To był napad!

Jako rodowity Szwajcar przeszedł gruntowne przeszkolenie bojowe i nie miał zamiaru czekać na przybycie pomocy. Ze schowka obok kierownicy wydobyl pistolet, wyskoczył z wozu i kryjąc się w cieniu żywopłotu, pobiegł w stronę domu... Nie miał pojęcia, kto jest jego przeciwnikiem.

\*

Wiadomość o napadzie na profesorską rezydencję w spokojnej dzielnicy uniwersyteckiej, który pociągnął za sobą dwie ofiary śmiertelne, przebiła się również do europejskich mediów. Carpenter zauważył ją na ekranie jednego z lotniskowych monitorów, kiedy wrócił na lotnisko w Miluzie, aby znaleźć się wśród osób witających profesora Altenbacha.

Jakaś stojąca obok niego rudawa, najwyżej trzydziestoletnia dziewczyna wybuchła płaczem. Szybko zorientował się, że była to doktorantka profesora przybyła na wykład z Izraela. Doktorantka, a może ktoś więcej... „Eva Stein”- odczytał z przypiętego identyfikatora. Zamierzał podejść do niej, porozmawiać, niestety, towarzyszyło jej kilku szwajcarskich kolegów. Zdołał jedynie zorientować się, że mimo tragedii pozostanie w Bazylei do jutra.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał pocieszający ją Szwajcar.

- W hotelu „Les Trois Rois” - odparła, nadal szlochając.

„Mam szczęście w nieszczęściu” - pomyślał Joe.

Wracając do hotelu, Carpenter nabył telefon na kartę i zadzwonił do „Przyjaciela”. Myśląc o nim, nigdy nie używał nazwiska, przychodziły mu za to na myśl różne pseudonimy: „Głębokie Gardło”, „Nieuchwytny Smith”, „Niewidzialny Człowiek”. Ten król hakerów pracował oficjalnie dla Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, będąc najbardziej wysuniętym



przyczółkiem wirtualnych wojen, ale w sytuacjach wyjątkowych świadczył usługi przyjaciom. Los zetknął ich w przypadkowych okolicznościach, kiedy jeden telefon Carpentera mógł posłać „Przyjaciela” na samo dno piekieł. Nie uczynił tego. I nigdy nie żałował. Od paru lat „Przyjaciel” był prawdziwą kopalnią danych, do których niewielu mogłoby mieć dostęp.

- Interesuje mnie jedno - rzucił bez wstępów Joe. - Czy zdmuchnięta przy uniwersytecie żona doktora, była w ciąży? - Celowo nie użył nazwiska „Altenbach”, nazwy „Berkeley” czy słowa „zabita”. Wiedział, że uszy Wielkiego Brata słuchają wszystkiego, co przepływa przez eter, ale koncentrują się jedynie na informacjach zawierających słowa klucze.

- W porządku, dowiem się.

Po przybyciu do hotelu rozciągnął się na łóżku. Ból powrócił i od paru dni nawet przeganiany pastylkami nie dawał o sobie zapomnieć. Jedyny sposób: myśleć o śledztwie. Eskalacja zbrodni wydała mu się zaskakująca. Miriam Levicky zginęła, można rzec, przypadkiem, natomiast tu doszło do prawdziwego morderstwa. Domyślał się istnienia projektu likwidacji potencjalnych Zbawicieli, choć nie znał rozmiarów „rzezi niewiniątek” i nawet nie domyślał się jej zakresu. Wiele faktów układało się w niepokojącą całość. A to, że prześladowcy działają coraz brutalniej... Czy mogło to wynikać z presji ich mocodawców? I kim oni byli?

Męczyła go jeszcze inna kwestia. Dlaczego atak na Altenbachów nastąpił właśnie teraz i czy miało to jakiś związek z informacjami wyciągniętymi od Lea Szafira? Może lekarz powiedział komuś o przesłuchaniu, skontaktował się z byłym szefem, a ktoś podsłuchał rozmowę...

No bo jeśli nie Szafir był źródłem przecieku... Carpentera przeszedł dreszcz. David? Do tej pory nie przychodziło mu do głowy powątpiewać w lojalność izraelskiego kumpla, teraz jednak nabrał podejrzeń... Czy jego chęć do współpracy w połączeniu z daleko posuniętą obojętnością wobec motywów, którymi kierował się Joe, nie była zadziwiająca? Rosenstein zachowywał się jak ktoś superdyskretny albo... ktoś doskonale

zorientowany, o co idzie ta gra.

„Jeśli tak, to po mnie!” - pomyślał Carpenter. David znał jego nową tożsamość, rysopis Ivana Sorokina, a także mógł domyślać się kolejnych kroków. A on nie miał pojęcia, kim jest przeciwnik. Pocieszające, że do tej pory nie próbowano go załatwić. Może uznano, że będzie w czymś przydatny?

Komórka zaświergotała o siódmej nad ranem. SMS od „Przyjaciela” był lakoniczny: „Nie była w ciąży. Po ciężkiej operacji sprzed kilku lat nie miała nawet macicy”.

Cholera jasna! Zatem zginęła niepotrzebnie. Próbował wczytać się w myśli tych, którzy zlecili morderstwo. Z pewnością nie byli zadowoleni. A co gorsza, podobnie jak on wiedzieli, czego szukają. Kobiety w ciąży, zapłodnionej *in vitro* jajeczkiem, które przekształciło się w zygotę bez udziału męczyzny...

Podszedł do okna i przez chwilę patrzył na wezbrany po jesiennych deszczach Ren. Naraz Bazylea przestała być miastem przyjaznym. Powinien uciekać. Jednak wcześniej musiał porozmawiać. Nawet za cenę ryzyka. Jeśli rudowłosa Eva Stein była bliską przyjaciółką i współpracownicą Altenbacha, rozmowa z nią stanowiła jedyną szansę, by się dowiedzieć, co naprawdę zdarzyło się w szpitalu w Nazarecie.

O ósmej rano zszedł na dół. Miał nadzieję spotkać młodą Żydówkę na śniadaniu. Mijając recepcję, zauważył brak klucza do apartamentu wynajętego przez profesora. Czyżby zajął go już ktoś inny? A może... Może zamieszkała tam osoba droga sercu Altenbacha, z którą miał zamiar spędzić kilka dni, pozostawiając żonę za oceanem?...

Szybko wjechał na pierwsze piętro i zapukał do drzwi apartamentu.

- Kto tam?

Nawet przez drzwi słychać było, że słowa wypowiedziała osoba, która przeplakała całą noc.

- Obsługa. Pilna wiadomość.

Rudowłosa, mimo wczesnej pory kompletnie ubrana, otworzyła drzwi. Spodziewała się zapewne zobaczyć kogoś w liberii, ale mimo zaskoczenia zrobiła krok do tyłu.

- Charles Warner, Interpol. - Machnął jej przed oczami legitymacją, która równie dobrze mogła być kartą wędkarską. - Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa profesora Altenbacha.

Uniosła na niego wielkie, opuchnięte oczy.

- Ja nie wiem - powiedziała. - Nie znam jego amerykańskich kontaktów...

- Toteż nie zamierzamy pani o to pytać. Jedna z hipotez zakłada, że śmierć profesora mogła mieć związek z jego wcześniejszym pobytem w Izraelu.

- Więc to nie byli włamywacze?

- Raczej nie. Sądząc po zastosowanej technice, zawodowi mordercy. - Joe improwizował, wiedząc, że dziewczyna i tak nie może sprawdzić. - Wiemy, że pani pracowała z nim w szpitalu w Nazarecie. Chodzi nam zwłaszcza o przeprowadzone tam zapłodnienia *in vitro*.

- Wszyscy wiedzą, że była to specjalność Klausa... - Tu pociągnęła nosem i szybko poprawiła: - .. profesora Altenbacha.

- Oczywiście. Ale interesują nas praktycznie jedynie dwa zabiegi. Ten, któremu poddano Miriam Levicky...

- Więc wiecie...

Bladość twarzy rudowłosej stała się tak znaczna, że piegi, których nie brakowało, upodobniły się do cętek ocelota.

- Wiemy i żeby było jasne: nie zamierzamy wyciągać w tej sprawie konsekwencji wobec kogokolwiek. Interesuje nas przede wszystkim ten drugi przypadek.

- Ale ja zostałam zobowiązana...

- Proszę posłuchać uważnie. Panu profesorowi to nie zaszkodzi, natomiast informacja może odegrać decydującą rolę w pociągnięciu do odpowiedzialności jego morderców. Chyba zgodzi się pani ze mną: nie mogą ujść bezkarnie!

Eva ukryła twarz w dłoniach, ale tylko na chwilę. Kiedy ją uniosła, zorientował się, że jest gotowa mówić.

- Nie brałam w tym udziału - powiedziała zdecydowanie. - Mogę jedynie domyślać się, że musieli zrobić to wyłącznie we dwójkę z żoną.

- Nie ufał pani?

- Sądzę, że po prostu nie chciał mnie narażać. Zaczęło się dziać z nim coś dziwnego.

- To znaczy?

- Zabieg dokonany na panie Miriam był elementem kontraktu. Wysoką ceną, jaką gotów był zapłacić za królewskie honorarium i stanowisko ordynatora. Jednak wkrótce potem naszły go skrupuły. „Nie powinniśmy bawić się w gorszym stanie. Zrobił awanturę doktorowi Szafirovi o zapłodnienie zapasowego jajeczka, chociaż ten nie miał żadnych możliwości, żeby to zrobić. Potem zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Agnostyk od trzech pokoleń, zaczął chodzić do kościoła. Parę razy widziałam w pracy, jak się modlił.

- I przestaliście się spotykać?

- Skąd pan wie?!... - zapytała impulsywnie, a potem cała spłonęła rumieńcem.

- Skoro postanowił przestać być grzesznikiem, to przerwanie poza- małżeńskiego romansu wydaje się oczywiste.

- Nic pan nie rozumie! Rozpatrywanie naszych relacji w kategoriach flirtu czy romansu to absurd, nasz związek opierał się wyłącznie na powinowactwie dusz... Ale po tamtym zabiegu nawet to się skończyło. Unikał mego towarzystwa. *Tété a tete* spotkaliśmy się tylko raz. Przyszedł do mego mieszkania kompletnie pijany, aby oświadczyć, że podjął decyzję o zerwaniu kontraktu i wyjeździe z Izraela. „Musiałem to zrobić - powiedział i zrozumiałam, że chodzi o ten drugi zabieg. - Taka była wola”. Spytałam, kto mu kazał. Odpowiedział: „I tak byś nie uwierzyła”, a potem to już był kompletny bełkot. Zaczął zadawać mi pytania, czy wierzę w Boga, w diabła, w anioły. Moje odpowiedzi oczywiście były negatywne, co zaczęło go wściekać. W pewnym momencie zorientowałam się, że jeszcze chwila, a mnie uderzy. Ale nie uderzył; zamiast tego powiedział: „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Ja widziałem!”. „Co widziałeś?” Nie odpowiedział na moje pytanie. „Musiałem to zrobić - powtórzył. - On tu przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych, a królestwu Jego nie będzie końca”.

- Doskonale pani zapamiętała te słowa - skomentował Joe.

- Takich zdań wypowiedzianych w stanie równie silnego napięcia nie sposób zapomnieć. Choć naprawdę nie wiem, co oznaczały.

- Czy wie pani coś bliższego o tym drugim zabiegu?

Energicznie pokręciła głową.

- Jeśli chodzi panu o osobę, nie mam pojęcia, kim mogła być. Nie znam nawet dnia, w którym tego dokonał. Jego żona miała dyżur co drugą noc. Jako anestezjolog przeważnie przesiadywała na chirurgii...

- Słowem, mogła uśpić dowolną pacjentkę i przewieźć ją na zabieg?

- Była jeszcze dyżurująca pielęgniarka, ale to są przeważnie biedne dziewczyny, które łatwo można przekupić.

- Jednak jest pani przekonana, że z jakiegoś powodu pani szef dokonał implantacji jajeczka pochodzącego od panny Miriam jakiejś anonimowej pacjentce, która wychodząc ze szpitala, nie miała pojęcia, że jest w ciąży?

- Tak myślę.

## ROZDZIAŁ XI

### WYŚCIG Z CZASEM

Wychodząc z pokoju Evy Stein, Carpenter nie miał żadnego konkretnego planu. Mógł co prawda powrócić do Izraela i spróbować przejrzeć listę pacjentów, którzy w interesującym go okresie przebywali w szpitalu w Nazarecie. Wymagało to jednak współdziałania z Rosenstemem, a tego wolałby uniknąć.

Zamyślenie nie osłabiło jego czujności; ledwie znalazł się na galerii, powiódł wzrokiem po wewnętrznym holu. Byli! Dwa piętra wyżej, prawie *vis-à-vis*, dwaj mężczyźni stali przy drzwiach jego pokoju. Jeden wsunął kartę magnetyczną i próbował je otworzyć.

„Już mnie dopadli?”

Jednak po chwili drugi zaśmiał się i klepnął towarzysza w ramię, wskazując trzecie drzwi na lewo. Tam karta zadziałała bez problemu. Faceci po prostu pomylili drzwi. Czy aby na pewno? Joe nie chciał tego sprawdzać. Gdy dotarł do pokoju, wyciągnął z walizki palmtop, który na szczęście mieścił się w kieszeni płaszcza, przybory do charakteryzacji i dwa komplety dokumentów ukryte w podwójnym dnie, resztę - pidżamę, zmianę bielizny, szczoteczkę do zębów i przybory do golenia - pozostawił szczęśliwemu znalazcy.

Bohaterowie kina akcji, jeśli znajdują się w podobnym jak Joe położeniu, zazwyczaj kradną samochód. Carpenter postąpił zdecydowanie mniej ambitnie: po wymknięciu się z hotelu „Les Trois Rois” tylnym wyjściem dla personelu ukradł rower. Przejechał nim niezatrzymywany przez nikogo granicę francuską, zaraz za nią złapał okazję i zabrał się z jakąś starszawą damulką do Colmaru, potem z tirowcem do Strasburga. Ktoś śledzący go mógł być przekonany, że były agent postradał zmysły, kierując się coraz bardziej na północ. Była w tym pewna koncepcja. O świcie dotarł do Kolonii, gdzie całkiem spokojnie nabył bilet do Mediolanu. Jego ostatnią deską ratunku pozostawał włoski arcygłina. Musiał się z nim

spotkać i wspólnie zastanowić nad dalszymi działaniami. Z telefonu na kartę kupionego od irańskiego przekupnia w pobliżu dworca zadzwonił do Cavalieriego.

- Gdzie się podziewasz?! - zawołał Rinaldo. - Pytali mnie o ciebie.

- Robię to, co muszę - odparł.

I nadkomisarz zrozumiał.

- Gdzie możemy się spotkać?

- Gdzie? Na przykład na ostatniej wieczerzy jutro o osiemnastej trzydzieści.

Miał nadzieję, że bystry Włoch zrozumie aluzję.

Punktualnie o szóstej piętnaście po południu Joe znalazł się w kościele Santa Maria delle Grazie, położonym przy mediolańskim Corso Magenta.

- Za kwadrans zamykamy - poinformowała go kasjerka.

- Piętnaście minut zdecydowanie mi wystarczy - odparł, rzucając banknot o nominale dziesięciu euro i nie biorąc reszty.

Ustąpił drogi dwóm wycieczkom kierującym się do wyjścia, nie zajmował się podziwianiem kopuły ani krużganków Bramantego, tylko od razu stanął przed *Ostatnią wieczerzą*. Refektarz był pusty, jeśli nie liczyć strażnika i Carpentera. Zanikające dzieło Leonarda, ostatnio odnowione, wydało mu się zbyt świeże, jednak i on porażony był jego niesamowitą wymową. W obliczu zagłady Watykanu przetrwanie namalowanego nietrwałą techniką olejną arcydzieła zakrawało na cud: oprócz naturalnego blaknięcia i wilgoci nie zaszkodził mu ani ostrzał napoleońskich żołdaków, ani alianckie bombardowania ostatniej wojny. Sklepienie refektarza runęło, ale ściana przedstawiająca posiłek w Wieczerniku pozostała nietknięta.

Jak cień wyrósł obok niego Cavalieri.

- Chodźmy do zakrystii - zaproponował.

Nadkomisarz był przygnębiony.

- Moje przeniesienie do Brukseli to kwestia paru dni - poinformował sucho. - Premier przez długi czas się opierał, ale w końcu czymś go przekonali... Jeśli mogę ci jakoś pomóc, to teraz.

Carpenter nie wahał się dłużej. Opowiedział Rinaldowi wszystko od odkrycia w Debre Damo po wizytę w Izraelu.

Cavalieri wysłuchał go w milczeniu.

- Zadarłeś z potężnymi przeciwnikami - rzekł w końcu. - Agencje federalne, tajemnicze mordercze komando, sam diabeł... A nie przyszło ci do głowy, że mogą to być trzy głowy tego samego potwora?

- W takim razie w takim starciu nie mam żadnych szans.

- Jestem człowiekiem wierzącym i wydaje mi się, że w dłuższej

perspektywie to oni są bez szans - powiedział zupełnie poważnie Rinaldo. - Może właśnie dlatego podejmują takie desperackie działania. Rzeź niewiniątek?... Cóż za szalony pomysł. Docierały do mnie głosy o wzmożeniu akcji proaborcyjnej i o paru dziwnych incydentach w różnych zakamarkach świata, ale do tej pory nie przyszło mi do głowy, aby połączyć te fakty.

- W takim razie co mam robić?

- Szukaj prawdy! Dostaniesz ode mnie lewe dokumenty. Masz jakieś zdjęcie? To będzie dobre... A potem idź za głosem swego sumienia.

- Jak mam iść za czymś, czego nie mam?

- Jesteś niewierzący?

- Byłem ochrzczony, ale wiarę straciłem w wieku czternastu lat.

- I to, co się dzieje, niczego cię nie nauczyło? Spełnione proroctwo, wizja dni ostatnich...

- Powiem ci szczerze: traktowałem to przede wszystkim jak wielką zagadkę do rozwiązania. Teraz w ogóle mam ochotę zrezygnować. Zaszyć się gdzieś, przeczekać. Niech anioły i diabły toczą ten bój beze mnie.

- Naprawdę? A nie sądzisz, że zostałeś wybrany?

- Nie sądzę! A już zupełnie nie wyobrażam sobie, abym jako skruszony grzesznik poszedł do kościoła, padł na kolana przed kleką i wyznał swoje grzechy, a na koniec posypał głowę popiołem.

- Nie wszystko naraz. Ja bym zaczął od modlitwy.



- Zapomniałem już, jak to się robi. Zrób to za mnie.

Cavalieri ukląkł przed wiszącym krucyfiksem i przeżegnał się. Carpentera koczyło, aby pójść w jego ślady, ale było mu trochę wstyd.

Rinaldo skończył i z uśmiechem rzekł do Joego:

- Do Rzymu zabiorę cię swoim samochodem. Dalej zrobisz, co uznasz za stosowne.

- W porządku.

Chciał ruszyć ku wyjściu z muzeum, ale nadkomisarz pociągnął go w głąb kościelnych zabudowań.

- Zaparkowałem w zaułku z tyłu. Jeśli ktoś cię śledził, nie powinien wiedzieć, że pojechaliliśmy razem.

Na zewnątrz było już prawie ciemno, a służbowy wóz szefa policji stanowił tylko ciemną plamę na tle muru.

- Wchodź pierwszy - powiedział Rinaldo.

Drzwi otworzyły się automatycznie i w tym momencie na przegubie Carpentera zatrzasnęły się stalowe kajdanki. Mężczyzna na przednim siedzeniu otworzył okno i rzekł do Cavalieriego:

- *Pan zostaje!*

To mówiąc, oddał dwa strzały w jego głowę i brzuch.

Joe usiłował jeszcze podbić głową rękę strzelającego, ale ktoś potężną siłą wcisnął go w siedzenie. Równą krzepą dysponował tylko jeden człowiek, znany mu osobiście Big Novak.

- Biggy!?

- Ruszaj - rzucił do kierowcy Glenn Butler, zamykając okno samochodu. - Ciało szofera wyrzucimy gdzieś po drodze.

- A więc to ty... - wykrztusił po dłuższej chwili Joe.

- Nie myślałem, że do tego dojdzie - odparł pułkownik. - Zabawne, na początku zamierzałem wciągnąć cię do akcji, ale Vivian uznała, że na to nie pójdziesz.

- Na „rzeź niewiniątek” zdecydowanie nie!

- Nie miało być żadnej rzezi. Wiesz, ile płodów co roku łąduje w kublach? W samych Chinach kilkadziesiąt milionów. Chodziło o przekonanie kilkuset kobiet...

- I musiałeś to robić.

- Zlecenie jak każde inne. Już zapomniałeś, co kiedyś robiliśmy, Joe. Chyba nie zajmowaliśmy się przeprowadzaniem staruszek przez ulicę.

- Wykonywaliśmy zadania dla dobra naszego kraju.

- Dla dobra ojczyzny, obozu demokracji, zachodniej kultury - tak rozumując, można uznać, że teraz robimy coś dla wszystkich. Jak myślisz, ilu mieszkańców Ziemi w całkowicie demokratycznym referendum wyraziłoby aprobatę końca świata? My dajemy im szansę, że to się szybko nie skończy. Oczywiście jeśli wierzyć prorocstwom, które wyszperałeś.

- A jeśli wam się nie uda?

- Dlaczego ma się nie udać? Operacja dobiega końca. Dokonujemy kosmetycznych poprawek.

- Fajna kosmetyka! Na przykład zabójstwo Altenbachów.

- Rzeczywiście, to był błąd w sztuce, ale „Szwab” nie mógł przewidzieć, że profesorka spóźni się na samolot, wróci i w dodatku postanowi odgrywać Rambo. Gorzej, że trzeba będzie jeszcze popracować.

- Nad czym?

- Rozmawialiśmy z panną Stein. Niedługo po twoim wyjeździe. Nie martw się. Nie uszkodziliśmy ani jednego jej piego. Po dobroci powiedziała wszystko, zatem wiemy już to samo co ty. A jutro nasz wspólny przyjaciel David prześle listę wszystkich pacjentek szpitala w Nazarecie. Trochę pracy intelektualnej. I koniec uwieńczy dzieło.

- Rozumiem. A mnie gdzie zakopiecie?

- Ależ Joe, nie rozśmieszaj mnie - zaśmiał się Butler. - Zabicie starego kumpla nawet dla mnie byłoby ostatecznością. Zresztą nie ma takiej potrzeby. Chcemy jedynie być pewni, że w niczym nam nie przeszkodzisz. Stąd to chwilowe zatrzymanie. Kiedy akcja dobiegnie końca, będziesz wolny! Na dzień, dwa zostawimy cię pod dobrą opieką, ale później zrobisz, co zechcesz... Możesz nawet wstąpić do klasztoru. Żeńskiego!

- Poszukuje mnie Firma.

- Wiem. Smutne pieski brzyduli Alvarado. Ale wiesz, ja już tam nie pracuję. I żeby było jasne: nie mam także nic wspólnego ze sprawcami zamachu na papieżstwo. Różne rzeczy

o mnie mówili, ale czcicielem diabła nigdy nie byłem.

- Dużo wiesz, Glenn.

- To mój zawód. Choć akurat w tej materii wiem mniej, niż myślisz. Ale nie pcham nosa w nie swoje sprawy. Tobie też to radzę.

Jechali coraz węższymi, bardziej krętymi drogami, kierując się w stronę jeziora Como.

„Ciekawe, czy skończę jak Mussolini, rozwalony tu pod jakimś mu-rem” - pomyślał Joe. Jednak za uśpionym miasteczkiem Como skręcili ostro w prawo i dalej posuwali się wschodnim brzegiem jeziora, podczas gdy egzekucja *Duce* odbyła się po stronie zachodniej, bliżej gór.

Po kilkunastu kilometrach zjechali z drogi, zatrzymując się przy tonącym w mroku budynku opodal przystani. Tylko rozbłyski, zapewne pochodzące z płonącego kominka, rozświetlały wnętrze na parterze. Przywitało ich wściekle ujadanie psów, bynajmniej nie ratlerków. Potem zapłonęły światła.

- Jest po sezonie, więc będziesz miał tu jak u Pana Boga za piecem - powiedział Butler.

. Kierowca i Big Novak konwojowali Joego. Nie próbował się opierać. Wewnątrz było rzeczywiście przyjemnie. W kominku trząsał ogień, a gospodarz, stary, pomarszczony jegomość nierozstający się z dubeltówką, *przygotował kolację. Znalazły się nawet dwie butelki wina.*

- Pamiętaj, Joe - mówił Glenn - nie przestałem być twoim przyjacielem. W życiu dzieje się różnie, poprzecznie i podłużnie, ale męska przyjaźń to najważniejsza rzecz pod słońcem. A reszta - tu powtórzył swoją kolejną ulubioną złotą myśl - to wszystko gównem oprócz moczu!

Po posiłku pozwolili mu się wysikać, po czym umieścili go w izbie na piętorku. Nogi przykuli kajdankami do słupków metalowego łóżka, to samo robiąc z rękami ponad głową.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zawołaj - rzekł Novak. - Śpię zaraz za drzwiami.

- Tylko nie próbuj żadnych numerów, Joe - powiedział na pożegnanie Glenn. - Wiesz doskonale, że byłaby to czysta

głupota. I w dodatku nie wiadomo po co.

Miał rację. Większość tajemnic została odkryta. A na resztę nie miał wpływu.

Natychmiast zapadł w sen. Krótki, ale krzepiący.

To, co mu się przyśniło, wstrząsnęło nim tak, że zbudzony zastanawiał się, czy walenie jego serca nie obudzi Novaka. Jednak miarowe pochrapywanie zza drzwi dowodziło, że olbrzym ma sen mocny i zdrowy.

Zasypiając, zamierzał usłuchać Glenna. Senny majak odmienił wszystko. Jak mógł wcześniej tego nie skojarzyć!? Jak mógł!? Musiał się oswobodzić, przynajmniej na tyle, żeby zajrzeć do własnej kieszeni.

Kajdanki założono profesjonalnie, ale Novak zapomniał chyba o jego małej tajemnicy. Od czasów kontuzji lewej ręki w Afganistanie potrafił składać dłoń tak, jakby w ogóle nie miał kciuka. Dzięki temu już po chwili wyciągnął ją z kajdanek z zaledwie drobnymi zadrapaniami. Sięgnięcie po marynarkę wiszącą na krześle też nie wymagało specjalnego wysiłku: należało tylko uniknąć przewrócenia chybotliwego mebla. Przyciągnąwszy marynarkę do siebie, wydobyl portfel. Złożona na dwoje kartka, na której kilka tygodni temu zapisano mu parę wyrazów w dialekcie tigre, ciągle znajdowała się na swoim miejscu. Rozprostował ją i obrócił, potem oświetlił za pomocą wydobytej z kieszeni komórki. Kartkę najwyraźniej wydarto z firmowego bloczka zabranego z nocnej szafki. Zaraz zobaczył logo: hebrajskie litery i podpis poniżej, po angielsku: „Klinika Uniwersytecka Miasta Nazaret”.

Salam była tam mniej więcej w tym samym czasie co Miriam. Nieprzytomna po operacji wyrostka robaczkowego. W okamgnieniu wszystko stało się jasne: jej wymioty i skłonność do kwaśnych przypraw... Nie mówiąc o zmiennych nastrojach. I te aluzje zawarte w listach...

Na koniec samo imię: Salam - „pokój czyniąca”.

„A ja na to nie wpadłem. Głupiec! Głupiec! Głupiec!”

Całkowite wyswobodzenie się nie zajęło mu nawet dwóch minut. Zębami rozerwał szew marynarki i wydobyl stamtąd drucik, który po zagięciu stał się poręcznym wytrychem.

Najpierw uwolnił drugą rękę, a następnie nogi. Teraz pozostawało jeszcze poradzić sobie z dwoma uzbrojonymi mężczyznami.

Big Novak spał na krześle opartym o drzwi otwierające się na zewnątrz i nawet gdyby spał jak zabity, sforsowanie ich było niepodobieństwem. Carpenter miał nadzieję, że olbrzymi Słowianin nie poniechał dawnych obyczajów i nadal sypiał przy otwartym oknie. Na szczęście przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka. Noc była smolista, więc bardziej polegając na wyczuciu niż wzroku, przedostał się z parapetu na parapet. Ryzykował nie tylko upadek z pierwszego pietra, ale i spotkanie z zębami brytanów, które czały się gdzieś w mroku.

Wślizgnął się do pokoju. Słowianin nadal spał. Chrapanie ułatwiało jego lokalizację, gorzej było z umiejscowieniem stołu... Nadzieja, że oczy w końcu przyzwyczajają się do ciemności, była płonna, pozostawał więc znowu wyświetlacz komórki.

Włączył... Błyskawicznie zlokalizował stół, a zarazem dostrzegł, że powieki śpiącego drgają. Na szczęście równocześnie zauważył spluwę leżącą na stole. Porwał ją, zanim Biggy obudził się na dobre. Nie chciał go zabijać, choć w ostateczności by się nie zawahał. Dlatego bez namysłu rąbnął komandosa w skroń. Poprawił raz jeszcze, bo łeb miał Novak twardszy niż dzwon.

Łomot padającego ciała obudził gospodarza śpiącego na parterze.

- Co tam się dzieje?

- Wszystko w porządku - odkrzyknął, starając się naśladować gruby głos Stana, ale chyba nie uspokoił właściciela domu. W holu rozbłysło światło. Z dubeltówką w ręku Włoch ruszył po schodach. Joe strzelił mu w nogi. Italianiec zaklął i stoczył się na dół. Na szczęście, koziołkując, wypuścił dubeltówkę, więc Joe nie musiał go dobijać. Zaalarmowane brytany szalały, atakując z zewnątrz drzwi; te na szczęście zostały dobrze zamknięte.

Carpenter zatrzasnęła kajdanki swym niedawnym strażnikiem, założył też opaski uciskowe Włochowi, nie chcąc,

aby ten wykrwawił się na śmierć, zanim ktokolwiek ich odnajdzie. Nie utrudniali mu tych działań. Byli nieprzytomni.

Przerzucając bagaż Novaka, znalazł jeszcze trochę broni, dokumentów, a przede wszystkim „niezbędnik szpiega” z różnymi chemicznymi miksturami, które mogły okazać się bardziej użyteczne niż broń, bo z nią nie sposób było dostać się na pokład samolotu. Czas : naglił. Wiedział, że kiedy Butler dostanie listę pacjentek, prędzej czy później nakaze zająć się Salam. Jedyna nadzieja w tym, że może zrobić to trochę później.

Problem psów rozwiązały kawałki kiełbasy, które po wstrzyknięciu ; ciu silnego środka usypiającego wyrzucił przez okno. Bestie musiały być nielicho głodne. Zjadły błyskawicznie i po paru minutach hałas za drzwiami ucichł.

Joe sam siebie nie poznawał.

„Skąd we mnie tyle miłosierdzia? Dawniej posiekałbym te kundle na gulasz!”

Na tablicy z różnymi kluczami pod napisem: „Łódź” znalazł kluczyk do silnika motorówki, którą przez okno zauważył przy małym molo. Mocujący ją łańcuch odciął paroma uderzeniami topora. Miał nadzieję, że odgłosy niosące się po wodzie nie zaalarmowały jeszcze nikogo. Ponad jeziorem wstawała mgła. Dzięki Bogu, posiadał kompas. Wpłynął w gęste mleko, kierując się na południe. Przybił do brzegu w centrum Como i szybkim krokiem ruszył w stronę dworca. Omal nie oberwał jedną z paczek porannych gazet, które dostawcy wyrzucali przed kioskami. Jedna pękła. Podniósł lokalny dziennik.

Jaki ja jestem fotogeniczny!”

Na pierwszej stronie widniała jego twarz ze zdjęcia, które wręczył Cavalieriemu.

„Amerykański oficer podejrzewany o zamordowanie komendanta włoskiej policji” - głosiły wielkie czarne litery biegnące przez całą szerokość pierwszej strony.

„No to pięknie” - pomyślał, naciągając w toalecie na dworcu maskę Ivana Sorokina. Do trójki prześladowców - FBI, satanistów i komanda Butlera - dołączyła jeszcze cała policja włoska, nie licząc Interpolu.

Do Mediolanu dotarł bez przeszkód. Sorokina nie było na liście poszukiwanych przez Interpol, ponieważ bez przeszkód dotarł do hali odlotów. Miał już pomysł, jak najłatwiej dostać się do Addis Abeby.

Od poprzedniej drogi przez Sztambuł lepsze wydało mu się połączenie przez Kair. Tylko jak miał z niego skorzystać? Dokumenty i aparycja Sorokina mogły oszukać Włochów, ale nie CIA, a tym bardziej Butlera. Jeśli nadal pracował dla niego haker Diego de Molina, próba zabukowania się pod jakimkolwiek nazwiskiem znanym przeciwnikowi zostałaaby bardzo szybko odkryta.

Szwendając się po lotnisku, wypatrzył wśród ludzi studiujących tablicę odlotów osobnika odrobinę do Sorokina podobnego; różniły go jedynie krzaczaste brwi i mały wąsik *à la* Hitler, ale to można było uzupełnić w trakcie bardzo prostej charakteryzacji. Joe wpadł na niego niby przypadkiem, wytrącając walizkę. W ramach przeprosin zaprosił na kawę. Los mu sprzyjał: Aldo Razzoni z Modeny udawał się służbowo do Kairu, a poza tym był ufnym, gadatliwym inżynierem budowlańcem. W dodatku roztargnionym tak, że Joe nie musiał specjalnie odwracać jego uwagi, by wrzucić mu do kawy silny środek przeczyszczający. Potem musiał trochę poczekać. Czas do odlotu kurczył się w szybkim tempie, ale był przekonany, że środek zadziała. Zawczasu zaopatrzył się w napis: „Toaleta nieczynna” i powiesił go na drzwiach do męskiego WC, uniemożliwiając skorzystanie zeń komukolwiek. Kiedy dostrzegł nadbiegającego Włocha, szybko usunął napis i odwrócił się tyłem. Alć Razzoniemu nie w głowie było jakiegokolwiek rozglądanie się i nie zwrócił uwagi, kto wślizgnął się za nim do środka. Zapomniał nawet zamknąć drzwi. Joe zaskoczył go, gdy siedział na sedesie. Ogłuszył, zanim pan Aldo zdołał się zdziwić. Pozbawił dokumentów, komórki i portfela, a następnie wstrzyknął silny specyfik usypiający, sprawdzony na psach. Miał nadzieję, że zanim nieboraka znajdą, ocucą i ustalą jego tożsamość, on sam będzie w drodze z Kairu do stolicy Abisynii. Pozostało jeszcze oprzeć nieprzytomnego w miarę wygodnie, zamknąć kabinę od środka, a następnie wyjść górą,

no i nie zapomnieć o usunięciu tabliczki: „Gabinetto chiuso”.

Ostatnim problemem był język włoski. Władał nim niezłe, ale każdy autochton na lotnisku lub w samolocie rozpoznałby w nim cudzoziemca. Sprawę rozwiązał szalik na gardle. Na jakiegokolwiek pytanie miał przygotowaną odpowiedź człowieka zmagającego się z potworną chrypą: „Difficile dire!” (Ledwie mówię!). Czy to mogło wystarczyć? Zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili może zostać zdemaskowany. Czuł na lotnisku obecność poszukujących go ludzi Butlera, po cichu jednak liczył na wsparcie sił nadprzyrodzonych. Grał przecież w ich drużynie.

No i szczęście mu sprzyjało. Nieindagowany wysiadł w Kairze. Odebranie bagażu Aida Razzoniego było prawdziwą drobnostką. Walizki świadczą o człowieku, a spośród kilku waliz, które kręciły się na baggage claimie, do budowlanca najbardziej pasowała sztywna niebieska z imponującymi zamkami. Porównał numer przyklejony do biletu - pasował.

Był jeszcze pewien kłopot: na Italiańca miał czekać ktoś z biura. Jeśli Aldo nie pojawi się w terminalu, podniesie rejwach. Ale i to załatwił. W pamięci telefonu Włocha (nie wyłączył go, bo nie znał PIN-u, a jedynie przestawił na profil „milczący”) zachowały się trzy rozmowy z kimś o imieniu Ricardo; wszystkie poprzedzał kierunkowy numer Kairu. Jeśli ktoś miał wyjść na lotnisko, to tylko on. „Kłopot z bagażem - wystukał SMS-a. - To może potrwać i dwie godziny. Telefon mi pada”... Wysłał go do Ricarda i wyrzucił aparat.

Lot tradycyjnie wykorzystał na regeneracyjną drzemkę. Nie był to dobry pomysł. Pojawiła się Maud w tej samej letniej sukience; dostrzegł za nią zakurzoną gruzińską drogę. Miała wyraz twarzy, którego nie lubił, który starczał za najgorszą wymówkę. „Dlaczego wszyscy, których kochasz, giną?” - zapytała.

Z wrażenia obudził się i zobaczył pochylającą się nad nim Vivian, Vivian - bezlitosną socjopatkę z ich komanda. Zaatakował i dopiero kiedy, wytrąciwszy jej broń, zamierzał skrócić jej kark, krzyki przywróciły go do rzeczywistości. Zobaczył spopielałą ze strachu twarz stewardesy, której



wytrącił z ręki drinka...

- Najmocniej przepraszam, śniły mi się koszmary! - powiedział i puścił jej szyję.

Był przystojny, a przepraszając, zrobił taką uroczą minę w stylu George'a Clooneya, że trudno byłoby znaleźć kobietę, która by mu nie wybaczyła.

Pół godziny potem wylądował w Addis Abebie. Nie chcąc prowokować losu, dochodząc do stanowiska imigracyjnego, wyciągnął stary paszport Josepha Carpentera z ciągle ważną półroczną wizą abisyńską i prawem wielokrotnego wjazdu. Tu go chyba jeszcze nie poszukiwali.

- Witamy ponownie w Etiopii, mister Carpenter - powiedziała gruba funkcjonariuszka barwy mokrego hebanu.

Chwilę później z głośnika usłyszał nazwisko: „Aldo Razzoni”. Najwidoczniej ktoś koniecznie chciał skontaktować się z Włochem, który tak zadziwiająco zmienił cel swej podróży.

\*

- To jest po prostu niemożliwe! - Wściekły Glenn Butler krążył po pokoju swej mediolańskiej kwatery niczym lew po klatce. - Daliście się podejść jak dzieciaki.

- Sam go wyszkoliłeś, szefie! - powiedziała Vivian, która razem ze „Szwabem” Wolffem właśnie przyleciała ze Stanów.

Novak, którego wielką głowę bandaże jeszcze powiększały, milczał głęboko zawstydzony.

- Najgorsze, że nie pojmuję motywów jego postępowania. On, niewierzący cynik, naraz wykrzesał w sobie pasję godną misjonarza jezuitę. W imię czego chce z nami walczyć? Zamierza ochronić nienarodzonego Zbawiciela?

- Może ma jakiś prywatny powód - odezwał się milczący dotąd haker Molina.

- Jaki?

- Na przykład jest emocjonalnie związany z potencjalną matką...

- On?... - Butler przebiegł wzrokiem listę pacjentek ze szpitala w Nazarecie, którą właśnie przesłał mu Rosenstein. -

Jest tu czterdzieści kobiet, głównie Żydówek. Przypuszczasz, że... - Urwał. - Cholera! Przeoczyłem to. Pozycja dwudziesta pierwsza: pacjentka Salam Abbadi z Abisynii. Rozpoznanie: ekstrakcja wyrostka robaczkowego. Opiekujący się nią lekarz: anestezjolog Maria Altenbach! Niech cię szlag, Joe! Przecież wspominałeś mi o jakiejś abisyńskiej piękności, która ci wpadła w oko. A teraz pewnie dolatujesz do Addis Abeby. *Oh, fuck! Fuck!*

Potoczył okiem po współpracownikach. Wszyscy powstali z miejsc, czekając na decyzję. Pułkownik już ją podjął.

- Potrzebuję samolotu - rzucił do Vivian. - Połącz się bezpośrednio z Waszyngtonem.

- Mieliśmy dzwonić tam tylko w ostateczności.

- To jest właśnie ostateczność!! - ryknął. - A ty - obrócił się do hakera - zdobędziesz wszelkie informacje o tej Salam: od szczegółowego życiorysu, przez miejsca prawdopodobnego pobytu, po imię jej ulubionego psa i przebyte choroby. Jasne?

Wszyscy rzucili się do zadań, tylko „Szwab” z krzywym uśmiechem podszedł do „Szefa”.

- A nie uważasz, Glenn, że to jest zbyt nieprawdopodobne? Facet, odkrywając prorocstwo, uruchamia całą tę lawinę i teraz okazuje się, że jego dziewczyna...

- W tej historii im bardziej coś jest nieprawdopodobne, tym bardziej jest prawdopodobne. Poczytaj Biblię, a może skapujesz.

\*

Dwie godziny zabrało Carpenterowi odszukanie Desa. Abisyńczyk bardzo się ucieszył na jego widok, toteż Joe nie bawił się w przydługie wstępy.

- Jestem oficerem amerykańskich sił specjalnych - rzekł, pokazując swoją starą legitymację. - Salam grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Wiesz, gdzie ją znaleźć?

- Nie widziałem jej od paru miesięcy... - zaczął kierowca.

Widoczne było, że poruszyła go wzmianka o zagrożeniu.

- Nie pytam, czy ją widziałeś, tylko gdzie może przebywać -

uściślił Joe. - Wem, że od ponad miesiąca nie ma jej na uczelni ani w ogóle w Addis.

- Podejrzewam, że pojechała do dziadków, w góry - mruknął Des.

- Muszę tam zatelefonować.

- Zatelefonować? - zdziwił się Etiopczyk. - Tam nie ma nawet elektryczności.

- Ale przynajmniej wiesz, gdzie to jest?

- Nie wiem. Ale jej cioteczny brat handluje na bazarze koło Wodospadów Nilu Błękitnego. I kilka razy zamieniłem z nim parę słów.

- Możesz mnie tam zawieźć? Przynajmniej w pobliże... Wiem, że tam nie ma dróg... Cena nie gra roli!

- Bardzo chętnie, tylko że to zabierze ze dwa dni. Chyba żeby poleciał pan samolotem do Dahir Bar i tam wynajął wóz.

- Polecisz ze mną?

Tubylec zaczął drapać się po wełnistych włosach.

- Skoro trzeba... Bardzo lubię Salam. Tylko...

- Tylko co?

- Tak sobie myślę, że jeśli panu zależy na czasie i ma pan pieniądze, można dolecieć jeszcze bliżej. W miasteczku Mota poniżej wodospadów jest małe lotnisko, z którego korzystają wycieczkowe awio- netki. Pamiętam, jak kiedyś Salam mówiła, że spędzając ferie u babci, chodziła tam na targ i zabierało jej to trzy godziny szybkiego marszu...

- Możesz się zorientować, jakie są szanse na wynajęcie takiej awionetki?

Pojechali na lotnisko i Des wyruszył pertraktować. Początkowo wyglądało na to, że żadnych szans nie ma. Nieliczne samoloty wynajmowano z dużym wyprzedzeniem. Pierwsze wolne miejsce dla jednego pasażera było za trzy dni. Czego jednak nie są w stanie zdziałać pieniądze? A zwłaszcza znaczna ich suma?

- Polecimy jutro - zameldował po godzinie negocjacji uśmiechnięty i bardzo z siebie zadowolony Des. - Francuzom, którzy zabukowali lot, powie się, że samolot ma awarię i mogą polecieć dopiero po południu.

- Mówiłem, muszę mieć tę awionetkę dzisiaj! - upierał się Joe.

- Żadną maszyną nie polecą pan tam wieczorem. Lotnisko nie ma oświetlenia.

- Niech będzie jutro - zgodził się z łagodną rezygnacją Carpenter.

Tymczasem Des miał dla niego jeszcze jedną niespodziankę.

- Udało mi się też dowiedzieć, jak nazywa się wioska, w której prawdopodobnie przebywa Salam. Wystarczyło tylko sprawdzić, gdzie urodziła się jej matka. To Beelim.

- Beelim?

- Bardzo stara wieś. I jeszcze starsza nazwa. Po waszemu brzmi to: Betlejem.

## ROZDZIAŁ XII

### „CZARNA MATKA”

Człowiek z Waszyngtonu nie zawiódł pułkownika Butlera. Pozwolił sobie jedynie na drobną uwagę: „Żeby mi to było ostatni raz!”.

W odpowiedzi usłyszał, że operacja, i to w skali całego świata, pomyślnie zbliża się do końca. Po paru godzinach wojskowy gulfstream zabrał cały zespół z wojskowego lotniska pod Mediolanem i skierował się na południowy wschód. Początkowo Glenn miał zamiar lecieć prosto do Addis Abeby, ale pod wpływem rad hakera Moliny zmienił zdanie.

- Ładując w Addis, musielibyśmy się tłuc jeszcze dwa dni samochodem po abisyńskich bezdrożach - tłumaczył Diego. - W ten sposób nie wyprzedzimy Joego, a ten zdąży ukryć dziewczynę tak, że nawet sam diabeł jej nie znajdzie.

- A nie możemy wysłać miejscowych ludzi? - zapytał „Szwab” Wolff.

- Jakich ludzi? - zachnął się Butler. - W Addis Abebie mamy tylko jednego współpracownika, dobrego może do przeglądania bazy danych, ale do niczego więcej.

- Można by polecieć na lotnisko w Bahir Dar. - Vivian wskazała na mapę...

- Nadal będziemy o godziny od celu - upierał się haker. - Poza tym musimy chyba myśleć o ewakuacji, gdyby coś poszło nie tak. Samolotowi można zabronić startu. Za to śmigłowiec robi, co chce.

- A dlaczego miałoby coś pójść nie tak? - Novak nigdy nie był szczególnie lotny, ale teraz, po odniesionej kontuzji, jego umysł jeszcze bardziej się spowolnił.

- Bo wszystko się pieprzy! - huknął Butler. - Ty wypuściłeś Joego, a Wolff zrobił niepotrzebną jatkę w Berkeley. Diego ma rację. Samolot w Abisynii to nie jest najlepsze rozwiązanie.

Potrzebujemy helikoptera. Dadzą nam, tylko musimy sami wiedzieć, skąd najwygodniej byłoby dolecieć.

- Baza Diego Garcia jest za daleko, podobnie Bahrajn - mruknął Wolff. - A koledzy w Dżibuti nie wiem, jaki latający złom mają na wyposażeniu...

- Sądzę, że startowanie z tego kraiku nie uszłoby uwagi - zauważył Molina - a nam chyba nie zależy na rozgłosie.

- Racja! - przyznał Glenn, a zachęcony pochwałą haker ciągnął dalej:

- Wiem, że przynajmniej jeden z naszych lotniskowców klasy Ni- mitz operuje w Zatoce Adeńskiej.

-I to jest jakiś pomysł. Porozum się, z kim trzeba. Znasz kody operacji specjalnych.

- Stale je uaktualniam. Powinienem znać jeszcze kryptonim przedsięwzięcia. - Palce hakera na moment zawisły nad klawiaturą.

- Nazwijmy ją, nazwijmy... - W oczach Butlera pojawił się dziwny błysk. - Nazwijmy ją „Czarna Matka”.

Dowódca lotniskowca, komandor Ron Higgins, miał wiele zastrzeżeń, kiedy Butler po wylądowaniu na jego pokładzie przedstawił swoje życzenia. Jednak autoryzacja z Waszyngtonu potwierdziła, że akcja ma najwyższy priorytet i akceptację samego przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Nie mógł więc odmówić wykonania rozkazów, chociaż nie podobało mu się wydanie jednego ze swych najlepszych helikopterów zwiadowczych gromadzie cywilów. Co gorsza, pilotem miał być kudłaty hipis o nieświeżym wyglądzie, którego ktoś kiedyś zrobił kapitanem. Najbardziej jednak nie podobało mu się malowanie na kadłubie maszyny znaku Czerwonego Krzyża.

- To kamuflaż niezbędny dla powodzenia naszej operacji - stwierdził dowódca sześciuosobowego komanda. I było to powiedziane tonem, który oznaczał: „I odpieprz się, komandorze!”.

Wylecieli przed świtem, zanim jeszcze nad Zatoką Adeńską pojawiły się pierwsze zapowiedzi brzasku. Sikorsky przeciął pustynny skrawek Somalii, uniknął gęściej zaludnionej oazy

Dire Daua, przeleciał ponad rezerwatem Danakil, a następnie nad górami dotarł do łuku Białego Nilu, który przebiegał się głębokim kanionem przez wysokie góry amharskiego płaskowyżu.

Pilotował Molina, większość ekipy drzemała. Butlerowi po raz pierwszy od wielu lat przyśniło się dzieciństwo: farma w Nebrasce i droga do wiejskiego kościoła, którą co niedziela przemierzał z matką. Szedł tą drogą, minął znajomy zakręt i stanął, jak wryty. Kościoła nie było. Owszem, była kępa drzew i droga wspinająca się na wzgórze, ale świątynia zniknęła. Tak jakby nigdy nie istniała. Zdumiony obejrzał się za siebie. Powinien zobaczyć stację benzynową Krzywego Bena, drugstore i warsztat Hookera, ale ich też nie było. A nawet sama droga, jakby asfalt był chodnikiem, który można zrolować, związała się z obu stron. Przerażony popatrzył w niebo. I wtedy zobaczył, że zniknęło również słońce.

- Są wodospady!!! - zawołała w tym momencie cierpiąca na bezsenność Vivian.

Butler otworzył oczy. Zrobiło się już jasno, a wielka tarcza słoneczna uniosła się ponad horyzontem i świeciła im w plecy.

Ludzie pobudzili się i zaczęli sprawdzać ekwipunek.

Molina, sprawny, jakby dopiero wczoraj zakończył pracę pilota w Iraku, wykonał szeroki łuk ponad kaskadami Błękitnego Nilu, a następnie zgodnie ze wskazaniem GPS-u zaczął obniżać lot, kierując się w stronę wioski Beelim, tworzonej przez kilkadziesiąt okrągłych chatek niczym grzybki, przyrosłych do górskiego zbocza.

Dzień wstał już na dobre i amharska osada rażąco budziła się do życia, czego dowodził siwy dym zwiastujący przygotowywanie porannej strawy. Wyroili się też dzieciaki. Młodsze z plastikowymi bańkami ruszały ku wodzie, stanowiącej w gospodarstwie element niezbędny, a ciągle deficytowy, starsze udawały się w poszukiwaniu chrustu; część kobiet z wielkimi tobołami na plecach zbierała się na targ, podczas gdy idący za nimi mężczyźni jako jedyne obciążenie mieli tylko kije, stanowiące insygnium męskiego prestiżu. Najstarszy, Gijorgis, zawiesił sobie na piersi wielkiego

kałasznikowa, budzącego ogromny podziw pozostałych mieszkańców wioski.

Lądowanie helikoptera ze znakami Czerwonego Krzyża na placu, na którym zazwyczaj odbywały się wioskowe uroczystości, śluby, pogrzeby i zgromadzenia przedwyborcze, wzbudziło zrozumiałe zainteresowanie, szczególnie wśród dzieciaków. Jeszcze bardziej sensacyjne było to, że cała załoga podniebnego wehikułu składała się z ubranych w medyczne kitle białasów, którzy nie mówili po amharsku. Stanowiło to poważne utrudnienie. Wśród tubylców zaledwie kilku posługiwało się słabą angielszczyzną. Maszynę szybko otoczyła przede wszystkim dzieciarnia, licząca na cukierki i długopisy; dorosłym kobietom i mężczyznom plemienna duma nie pozwalała na okazywanie zbyt wielkiego zainteresowania.

- Potrzebujemy tłumacza - powtarzał po amharsku wyuczoną frazę szef „lekarzy”. - Kto zna angielski?

Starszemu wioski natychmiast przyszła na myśl jego wnuczka Salam, stanowiąca do niedawna ich chlubę; od kiedy zjawiała się w ciąży bez męża, była powodem poważnej zgrzyoty. Jednak z drugiej strony dziewczyna bardzo nie chciała, aby ktokolwiek wiedział, że mieszka w osadzie swego dziadka. Czy jej strach mógł być uzasadniony? Przybyli „lekarze” jakoś nie bardzo przypominali lekarzy.

- O co chodzi? - zapytał handlarz Tekle, wysuwając się przed zebrany tłumek.

Tekle nie tylko stale dostarczał kramarzom z okolic wodospadów ozdoby produkowane w wiosce, ale dorabiał też jako przewodnik grup turystycznych.

- Epidemia - powiedziała kobieta w spodniach i wojskowej kurtce, na którą narzuciła medyczny kitel, wychodząc z wnętrza helikoptera. - Musimy wszystkich zbadać.

- Tu nie ma żadnej epidemii - odparł Tekle. - Wszyscy zdrowi!

- Tylko my możemy to stwierdzić - powiedział Butler. - Istnieje spore zagrożenie wirusem Ebola, którego ognisko wykryto kilkanaście kilometrów stąd.

Tekle przetłumaczył to pozostałym. I poszedł szmer.



„Kupili - pomyślała Vivian. - Dobrze idzie”.

Tymczasem dziadek Salam, który mimo starszego wieku miał znakomity wzrok i stał trochę wyżej niż inni, zajrzał do wnętrza helikoptera i wypatrzył sprzęt, który w żadnym wypadku nie mógł być częścią wyposażenia medycznego. Ciężki karabin maszynowy jest raczej mało przydatny przy szczepieniach ochronnych.

- Uciekajcie - rzucił półgłosem do stojących najbliżej dzieciaków. - Tylko powoli...

- Co mamy robić? - Tekle kontynuował rozmowę z przybyszami.

- Zebrać się w jednym miejscu i przygotować do badania. W pierwszej kolejności doktor Vivian zbada młode matki i kobiety w ciąży.

Mimo że wszystko szło według planu, Butler kątem oka zauważył ruch wśród wieśniaków.

- Co jest, kurwa?

Tubylcy, dotąd życzliwi, zaczęli się cofać. Widział wymieniane spojrzenia i słowa, których nie znał, choć ich sens był jednoznaczny. Niedawna sympatia i ufność przemieniała się w przestraszenie.

- Niech wszyscy zostaną na miejscu. Z chorobą nie ma żartów - powiedział zdecydowanie do Teklego i podkreślił ostrym: - Przetłumacz to.

- Uciekajcie! - przetłumaczył handlarz.

Tłum rzucił się do ucieczki.

- Cholera, nie tak miało być!

Z wnętrza maszyny wyskoczyli Novak i Wolff. W rękach mieli karabiny maszynowe.

- Stać, nie ruszać się! - wołali ostro, co powinno uświadomić tubylcom, że żarty się skończyły.

Być może posłuchano by ich, gdyby nie Gijorgis. Wiemy imiennik świętego Jerzego, pogromcy smoka, wyszedł spomiędzy chałup i widząc, co się dzieje, zaczął ściągać przez głowę kałasznikowa. Kałasznikow był stary, zepsuty i mógł służyć jedynie prestiżowi, jednak u „Szwaba” zadziałał instynkt wojownika. Puścił serię, ścinając starca jak trzcinę. Jako

kolejny oberwał dziadek Salam, który próbował podciąć mu nogi. Po chwili strzelali już wszyscy, łącznie z Vivian, która wyciągnęła uzi spod eleganckiego kitla.

- Wstrzymać ogień! - krzyknął Butler. - Szukajcie dziewczyny! Dostaliście jej fotografię.

Sam kopniakiem obalił tłumacza, ale oszczędził go. Tekle mógł się jeszcze przydać.

Bojowcy rozbiegli się między chałupami, strzelając do tych, którzy próbowali chwycić za motyki lub kamienie. Salam jednak nigdzie nie było. Ukryła się gdzieś? Niedobrze! Przeszukanie wszystkich zagród zabrałoby stanowczo zbyt wiele czasu. Pułkownik przeznaczył na całą operację godzinę. Ktoś przecież mógł dopaść do telefonu, zawiadomić Addis Abebę. Lotnictwo Etiopii było wprawdzie nieliczne i przestarzałe, ale nawet kilka myśliwców wystarczyłoby do unicestwienia całej eskadry takich helikopterów jak ich. Na szczęście istniało prostsze rozwiązanie.

- Podpalić chałupy - zabrzmiał kolejny rozkaz.

Zrobili to skwapliwie. Śmieli się, widząc, jak wśród kłębow dymu wybiegają ze środka ludzie, matki z dziećmi przy piersi, przerażone owce, kury, i garbate krowy, dopełniając chaosu swym rozpaczliwym rykiem. Co rusz grzechotała seria.

Buder nie poznawał swoich ludzi. Ani siebie. Owszem, od zawsze byli maszynami do zabijania, ale nigdy nie czuł w swoim komandzie takiej potrzeby okrucieństwa jak teraz. I to narastało. Może rzeczywiście coraz silniej ogarniała ich moc diabła? Jeśli tak, było za późno, żeby się wycofać.

Chwycił za włosy leżącego Teklego i potrząsnął nim.

- Gdzie jest Salam Abbaði?! - huknął.

Handlarz milczał.

O kilka kroków od nich leżał, skowycząc, jakiś ranny dzieciak. Butler wymierzył w niego spluwę.

- Gdzie jest Salam? - powtórzył, patrząc w oczy handlarzowi.

Ten nadal nie reagował.

Butler strzelił i pocisk rozwalil dzieciakowi czaszkę.

- Teraz mi odpowiesz? - Popatrzył na dygocącego handlarza i

wymierzył w niego broń. - Gdzie jest Salam?!

- Jest tam! - ryknął naraz Wolff.

Po stromym zboczku ponad wioską umykała ciemnoskóra, wysoka dziewczyna. Szczupłe nogi, zaokrąglony brzusek, miastowa sukienka.

- Wziąć ją żywcem! - zawołał pułkownik.

Ale było to równie niewykonalne jak dopędzenie antylopy w stepie. Wolff i Novak posuwali się dwa razy wolniej niż ona. Vivien skoczyła do śmigłowca i wróciła ze snajperskim karabinem.

- Mogę?

Popatrzyła na Glenna.

- Strzelaj w nogi. Potrzebujemy dziecka, nie jej.

Przybliżył do oczu lornetkę. Dziewczyna mimo widocznej już ciąży biegła jak górską kozica, nieomal nie dotykając stopami ziemi. Jeszcze chwila, a zniknie w zaroślach. Kiedy usłyszał strzał, poczuł odrobinę żalu, jak artysta, który asystuje niszczeniu dzieła sztuki.

Vivien nie chybiała. Uciekająca Ałbisjnka, trafiona w pierś, zatrzymała się, okręciła wokół własnej osi, a potem jak bezładny tłumok zaczęła spadać w dół zbocza, zatrzymując się dopiero na ścieżce. Pobiegli tam wszyscy z wyjątkiem ubezpieczającego ich Novaka. Czarnoskóra piękność leżała nieruchomo z szeroko otwartymi oczami. Nie żyła. Wolff dla pewności strzelił jej w brzuch.

- I po kłopotcie - dodał.

„Dla ciebie. Dla mnie kłopoty dopiero się zaczną” - pomyślał Butler.

Nawet jemu trudno będzie usprawiedliwić przed mocodawcami z Waszyngtonu taką masakrę cywilów. W wyobraźni już słyszał ataki opozycji, przesłuchania w Kongresie. Z drugiej strony był pewien, że ci, którzy wydali rozkaz, pójdą w zaparte. Wrogowie nie znali celu operacji, więc łatwo można będzie przedstawić incydent jako wybryk szaleńców, którzy zresztą rozpląnęli się bez śladu. Dla komanda oznaczało to jedno: trzeba będzie na dłuższy czas gdzieś przywarować i oczywiście zwinąć interes. (Zaraz po starcie

musi zadzwonić do Armanda Borela i uruchomić proces destrukcji). Szkoda! Na całym świecie przy tej operacji pracowało dla niego ponad dwa tysiące ludzi.

- Ewakuujemy się! - wydał rozkaz. - Koniec strzelaniny. Misja wykonana.

Ich wycofywaniu się towarzyszył płacz rannych dzieciaków, ryk przerażonego bydła i trzask dopalających się chałup. Zawyły zapuszczone silniki śmigłowca, a podmuch wirnika wzburzył okoliczną roślinność.

Z pokładu Butler wysłał krótki sygnał, który powinien ucieszyć człowieka w Waszyngtonie: „Problem rozwiązany”. Dopiero teraz zobaczył, jak okropnie blady jest siedzący przy sterach haker Molina.

- Nie przejmuj się, chłopie. Co to za problem: kilku zabitych czarnuchów - pocieszył go „Szwab”, klepiąc pilota w plecy.

\*

Joe Carpenter spóźnił się zaledwie pół godziny. Może kwadrans. Ale to nie zależało od niego, zrobił więcej, niż mógł. Pilot awionetki chciał lecieć prosto na lotnisko w Mota, ale Amerykanin kazał najpierw skierować się w stronę wioski, a na miejscu zniżyć lot. Od razu zobaczyli dym i płomień liżące dachy chałup.

„Spóźniłem się - pomyślał z rozpaczą Carpenter. - Jak im się udało mnie wyprzedzić? Kto im pomagał?”

- Co pan robi? - zapytał Des. - Jezus Maria! Co pan robi!?

Ale było to pytanie pozbawione sensu. Joe energicznym szarpnięciem otworzył drzwiczki awionetki. Zauważyli, że ma na sobie spadochron. Kiedy zdążył go założyć?

- Zegnaj - rzucił krótko do Desa, w pełni przekonany o stracącym charakterze swego kroku.

Potem skoczył. Spadochron otworzył się ponad nim, a następnie opadał majestatycznie, długo, strasznie długo... W każdej chwili skoczek mógł spodziewać się strzałów z dołu. Jednak nikt do niego nie strzelał. Skoncentrował się, starając się nie zawisnąć na żadnym z okolicznych eukaliptusów

*Wylądował* tuż za wioską, na opustoszałej ścieżce. Zewsząd dobiegał go płacz i lament. Pobiegł w stronę placyku, na który znoszono rannych i zabitych. Zaraz dostrzegł smukłe ciało nakryte derką...

- O Boże, nie! O Salam, dlaczego cię zawiodłem!

Padł na kolana i zaczął się modlić, bo nie wiedział, co innego mógłby jeszcze zrobić.

\*

Polecieli na zachód. Butler zamierzał dotrzeć najkrótszą drogą do granicy z Sudanem, a następnie skierować się do Ugandy, gdzie miał swoich ludzi. Powrót na lotniskowiec wiązały się z wyjaśnieniami, a kto wie, może i sądem wojennym. Mimo odniesionego sukcesu nastroje w ekipie były ponure.

- Zrobiliśmy paskudną rzecz - powiedział naraz Novak, którego trudno byłoby posądzić o jakiegokolwiek refleksje.

- To była jej wina. Po co uciekała? - powiedziała Vivian.

- Zapłacimy za to - stwierdził Molina.

- Przestań się wygłupiać! - warknął Wolff. - Jeszcze zapeszysz! Znowu znaleźli się ponad wodospadami. Silniki pracowały równo, paliwa było pod dostatkiem. Według Butlera pościg za nimi mógł ruszyć najwcześniej za dwie, trzy godziny. Kupa czasu!

Kroniki abisyńskie dostarczają licznych przykładów, jak to zwierzęta wyręczają ludzką sprawiedliwość. Na przykład podczas najazdu mahdystów u schyłku XEX stulecia dzikie pszczoły uratowały jeden z klasztorów w Gondorze przed zniszczeniem przez szalonych derwiszów; innym razem pochód armii wojowników proroka powstrzymały krokodyle. W nowszych czasach, już bez jakichś pobudek religijnych, zdarzały się też zderzenia ptaków z samolotami. Jednak orłosep uderzający na podobieństwo żywego pocisku w kabinę helikoptera jak dotąd pozostaje wypadkiem odosobnionym.

Śmigłowiec Sikorsky został tak skonstruowany, żeby przetrzymać nawet ostrzał karabinowy. Jednak uderzenie

blisko dziesięciokilowego ptaka o trzymetrowej rozpiętości skrzydeł, którego nazwa taksonomiczna brzmiała *Gypaetus barbatus aureus*, było czymś, czego nie przewidzieli konstruktorzy.

Nie ostrzegł przed nim pokładowy radar, a haker Molina zauważył go w ostatniej chwili i natychmiast próbował zejść z kursu kolizyjnego. Daremnie. Rozprysła się przednia szyba, a odłamki szkła przecięły pilotowi tętnicę szyjną. Maszyna zrobiła koziołka i nikt nie był w stanie nad nią zapanować. Na domiar złego śmigłowiec znajdował się ciągle zbyt nisko, by ktokolwiek miał szansę zapobiec upadkowi. Wyrzuconemu z kabiny Big Novakowi (zawsze siadał najbliżej wyjścia) skrzydła wirnika ucięły łeb. Wolff miał mniej szczęścia: zaklinowany we wraku helikoptera z pełną świadomością umierał długo i powoli.

Nie stracił świadomości i Butler, który w ostatnich sekundach rozpaczliwie próbował dopaść sterów. Prawie mu się to udało, ale wcześniej maszyna uderzyła w wodę. Tylko na moment poczuł zamroczenie. Zdziwiony tym, że żyje i nawet nie jest ranny, Glenn zdołał wypłynąć na powierzchnię. Ile razy można mieć szczęście? Natychmiast zorientował się, że nie ma powodu, żeby się cieszyć. Gwałtowny prąd uniósł go niczym bezwolny korek ku krawędzi wielkiego wodospadu. Zginął w kipieli, każdą komórką czując, jak jest miażdżony przez hektolitry wody, rozdzierany o skały... Jego zmasakrowane ciało woda wyrzuciła dwa kilometry dalej w dole rzeki.

Vivian udało się przeżyć. Uczepiona jakiejś wystającej ponad wodą gałęzi uniknęła mokrej śmierci i nawet wydostała się z wody, docierając na małą wysepkę pomiędzy dwiema odnogami wodospadu. Stamtąd przez dłuższy czas wzywała pomocy. Dostrzegli ją turyści i tubylcy i wkrótce za pomocą lin wyciągnięto ją na brzeg. Nie był to jednak jej szczęśliwy dzień. Sympatyczni na co dzień Amharczycy, którzy wiedzieli już o tragedii w Beelin, nie czekając na przybycie przedstawicieli władz, zatłukli agentkę na śmierć kijami.

Kłęcząc obok ciała martwej dziewczyny, Carpenter całkowicie stracił poczucie rzeczywistości. Nie zwracał uwagi, że gromadzi się wokół niego tłum, milczący, straszny, uzbrojony w laski i noże. Prawdę powiedziawszy, było mu to obojętne. Wraz ze śmiercią Abisynki i jej dziecka utracił sens życia.

Jako pierwszy miał zadać cios Tekle...

- Stójcie! - przerażającą ciszę rozciął mocny okrzyk.

Joe, kompletnie osłupiały, podniósł głowę. Musiał zwariować, bo przecież TO nie mogło być prawdą. Zgromadzony wokół niego żądny mordu tłum rozstępował się, przepuszczając Salam, splakaną, ale żywą.

„Ona przecież nie żyje, widzę ducha” - przemknęło przez myśl Amerykaninowi.

Salam klęknęła obok niego i objęła go ramieniem. Szmary, które się podniosły, zaraz ucichły. Nie była duchem: poznawał jej zapach, jej dotyk...

- To moja siostra Anna - powiedziała cicho. - Znała moją tajemnicę, poświęciła się za mnie i za nich.

- A ty jak ocalałaś?

- Kiedy nadleciał ten śmigłowiec, od razu miałam złe przeczucie. Namawiałam wszystkich, żeby uciekali, ale mi nie uwierzyli. Ukryłam się więc w ziemnej piwniczce... Czekałam, aż to się skończy...

- Bogu niech będą dzięki!

Popatrzyła na niego wielkimi, rozszerzonymi oczami. Nagle dostrzegł w niej niezwykle podobieństwo do Czarnej Madonny, której w kraju jego przodków oddawana jest tak wielka cześć.

- To ty wierzysz w Boga, Joe? - zapytała.

- Teraz już chyba tak.

Powstała i pociągnęła go za sobą. Szmary tłumy ustały.

- To będzie mój mąż - powiedzianą głośno, tak że słyhać ją było na całym majdanie. - Ojciec mojego dziecka, które urodzi się za cztery miesiące. Joe Carpenter. Po naszymu Józef.

Po chwili do Joego dotarło coś, co było tak oczywiste, że dotąd nie zwracał na to uwagi. Jego nazwisko Carpenter po

angielsku znaczyło „Cieśla”!



## ROZDZIAŁ XIII

### JASKINIA LWA

Trwała głęboka noc i w nadbrzeżnych trawach hałasowały żerujące tam hipopotamy. Wszedł księżyc, a papirusowa dwurożna łódź sunęła bezszelestnie po gładkiej powierzchni jeziora Tana, pozostawiając za sobą cienką zmarszczkę na wodzie.

- Dokąd płyniemy? - zapytał Carpenter, wiosłując delikatnie, chociaż zdecydowanie.

- Tam, gdzie nikt nas nie odnajdzie - odpowiedziała Salam. - Zresztą chyba nikt nie powinien mnie szukać. Policja i prasa są przekonane, że to ja zginęłam, a żaden z mieszkańców Beelim nie puści pary z ust.

Umilkła. A Joe szukał właściwych słów. Tyle pytań cisnęło mu się na usta. Jednak od kilku godzin ani przez chwilę nie byli sami. Najpierw w wiosce każdy ich krok śledziła co najmniej setka oczu, następnie nad wodospadem, gdzie wobec policji udawali turystów gapiów przypadkowo asystujących przy wyciąganiu zwłok, też otaczał ich tłum. Zaraz potem jakiś miejscowy dzieciak zaczepił Carpentera.

- Kupi pan to?

W rękę trzymał blaszkę na łańcuszku. Joe wziął ją do ręki. „Nieśmiertelnik” Big Novaka! Teoretycznie powinien oddać go policji, ale wiedział, że jemu może przydać się bardziej. Zapłacił malcowi dwadzieścia dolarów i rozstali się, każdy przekonany, że zrobił znakomity interes.

Wkrótce potem handlarz Tekle załatwił ciężarówkę, która dowiozła ich do brzegu jeziora, a po następnych trzech godzinach, już o zmierzchu, dotarli do faceta zajmującego się wynajmem łodzi. Nie pytał o nic, wiedząc zapewne, że niedoinformowani żyją dłużej. Odbili po następnej godzinie, mając nadzieję, że nikt ich nie widział. Nareszcie mogli poroz-

mawiać. Tyle że zadawanie pytań nie przychodziło łatwo. Wiele interesujących kwestii mogłoby zabrzmieć głupio albo nietaktownie.

- Od kiedy wiesz o swoim stanie? - spytał w końcu.

- Trudno powiedzieć. Pewności nabrałam po przeczytaniu prorocstwa, dlatego tak mnie to przeraziło, bo wcześniej... Wcześniej coś przeczuwałam, no wiesz... ciąża bez udziału mężczyzny wydawała mi się czymś nieprawdopodobnym. Dlaczego ja?... Jestem normalną, współczesną dziewczyną. Chciałam mieć interesującą pracę, wyjść dobrze za mąż, mieć dużo dzieci...

- Wiesz, jak do tego doszło?

- Nie mam pojęcia. Podejrzewam, że mogło się to zdarzyć w Izraelu, ale nie wiem jak...

Opowiedział jej o Miriam, Altenbachu, samozapłodnionym jajeczku wszczepionym *in vitro*.

- A więc jednak cud. Przeczuwałam...

- Miewałaś wizje?

- Tak, od pewnego czasu śniły mi się anioły. Jeden nawet oświadczył, że czeka mnie wielka odpowiedzialność... Nadal jednak sądziłam, że to tylko sen.

- A teraz? Nadal sądzisz, że śnisz?

- Już nie. Czuję je. Będzie, co będzie. Werzę w miłosierdzie Boże i w mego syna. I jestem pewna, że gdy przyjdzie czas, będziesz przy mnie.

- Będę. Ale na razie cię opuszczę. Muszę załatwić kilka spraw. Dla bezpieczeństwa nas trojga.

- Skoro musisz... Ale przecież ci straszni ludzie... - głos jej zadrżał - już nie żyją.

- To prawda, jednak ci straszni ludzie mieli swoich mocodawców, a ci nie zaprzestaną swej działalności.

- Przeciw niemu?

Wzięła rękę Carpentera i położyła ją na swoim brzuchu. Czuli ów buchający ze środka żar, potężną energię, która sprawiała, że kochał Salam jeszcze bardziej, a myśl o rozstaniu działała na niego przygnębiająco.

- Werzę, że dasz sobie radę.

„Dasz sobie radę”. Zabawne. Mogła być jego córką, a użyła dokładnie słów jego matki. Zawsze tak powtarzała, kiedy przychodził ze swymi dziecinnymi problemami. I to skutkowało przyływem siły! Kilka lat później umarła, a on przestał się radzić kogokolwiek. Zresztą nie potrzebował rad. W wojsku, do którego trafił, wykonywało się rozkazy.

Tymczasem horyzont, dotąd skąpany<sup>w</sup> księżycowym świetle, przysłoniła ciemna chmura.

- To ta wyspa. - Przejęła od niego wiosło i wprowadziła łódź w wąską cieśninę pomiędzy dwiema skałami. - Zapomniana pustelnia. Nikt tu nie bywa, ani turyści, ani rybacy...

- Będiesz tu całkiem sama? - zaniepokoił się.

- Ja z nią będę - od strony lądu dobiegły amharskie słowa wypowiedziane skrzekliwym głosem.

W świetle latarki ukazała się postać w białym habicie, o ciemnej, pomarszczonej skórze i kompletnie białych włosach.

- To moja ciotka Joanna. Ostatnia mniszka z tej pustelni - powiedziała Salam.

- Uważają mnie za wariatkę i trochę się mnie boją - uzupełniła prezentację sędziwa eremitka.

Chwyliła linkę łodzi i przywiązała do jakiegoś pniaka. Dopiero teraz w ścianie zieleni ujawniła się ścieżka. Wsiadł pierwszy - woda sięgnęła mu ledwie do kolan - i wziął Salam na rękę. Wydawała się lekka jak piórko. Przy wyjściu na ląd było ślisko i koścista ręka Joanny okazała się bezcennym wsparciem.

- Wiedziałałam, że przyjdzie dzień, w którym będę przydatna - powiedziała. - „Chwała na wysokości Panu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”.

- Wiedziałaś, że się tu zjawimy? - zdziwił się, stawiając Salam na ziemi. - Ktoś cię zawiadomił?

- Nikt nie musiał mnie zawiadamiać. Wiedziałałam od dawna i czekałam na ten moment, aby wypełniło się to, co ma się wypełnić. - To mówiąc, ucałowała siostrzenicę, a jego też cmoknęła w policzek. - Witaj, Józefie.

- Znasz moje imię?

- Takim wariatkom jak ja zdarza się wiedzieć to, co dla

innych pozostaje niewiadome. Czasami zastanawiam się, skąd biorą się moje wizje. Ostatnio dochodzę do wniosku, że z nudów.

i  
Zaśmieli się w trójkę, a pustelnica dokończyła całkiem poważnie:

- Wem również, że idziesz stoczyć decydującą bitwę. Idź śmiało, Salam zostanie pod moją opieką. Nie będzie jej zbywać na niczym. Mam ogródek, w którym rośnie wszystko, co jest potrzebne do życia, hoduję kurki co dzień składające jaja, są kozy dające mleko, a na moje wędki zawsze łowią się ryby... Znam się też, jak być może się domyślasz, co nieco na położnictwie. Słowem, twoja ukochana będzie całkowicie bezpieczna.

Uszli ledwie parę metrów, gdy zobaczyli sznurową drabinę spływającą po stromej ścianie.

- Po jej zwinięciu nikt nie dostanie się na górę - wyjaśniła siostra Joanna, a widząc powątpiewanie na twarzy Carpentera, dodała: -I nikt nas nie zobaczy, ani z samolotu, ani przez satelitę. W dodatku przy takiej mnogości procesów gnilnych, przy mnóstwie małp i kóz nawet wasze czujniki termiczne będą bezradne. - Zaskoczyła go swoją współczesną wiedzą. - Rybacy ze wsi wzdłuż brzegów jeziora też wolą się tu nie zapuszczać: boją się węży.

- To są tu węże? - zaniepokoił się Joe.

- Całe mnóstwo, ale wszystkie bardzo ze mną zaprzyjaźnione.

Trudno było oprzeć się logice tych wypowiedzi. Na wszelki wypadek jednak zapytał jeszcze:

- A gdzie Salam będzie mieszkać?

- W mojej grocie, pomiędzy bydłatkami - odparła pustelnica.  
- Ale to chyba też zgodne z tradycją. Możesz naturalnie z nami zostać, ale ponieważ wiem, że musisz jechać, odjedź już teraz. Przed świtem powinieneś dotrzeć do brzegu, tak żeby nikt się nie domyślił, gdzie byłeś.

- Ciocia ma rację - powiedziała Salam i dorzuciła: - Będę za tobą okropnie tęsknić.

Obróciła się i wręcz wpadła mu w objęcia. Była gorąca, a

ciepło płynące od jej łona ogarnęło go całego.

- Nie bój się - powiedziała pustelnica. - Możesz ją pocałować. A co będzie później, kiedy już zostaniecie mężem i żoną... Wśród naszych teologów nie ma zgodności.

Więc całowali się wśród gorących zapewnień o miłości. Mogliby robić to bez końca, jednak Joe sam to przerwał, czując, że jeszcze chwila, a tu zostanie. Zszedł do łodzi, odwiązał cumę, a kobiety wciągnęły za sobą drabinkę.

- Tylko jak dam ci znać, że wracam? - zawołał.

- Poczuję to! - odrzyknęła Joanna.

- A ja w odpowiednim czasie włączę^ komórkę! - dorzuciła Salam.

Odbił od brzegu i po chwili miał już za sobą tylko dziką, niedostępną wysepkę w całości zarośniętą bujną roślinnością.

Chyba jeszcze nikt nigdy nie wyruszał na wojnę, stojąc na tak przegranej pozycji. Carpenter miał przeciw sobie praktycznie cały świat, z jego ultranowoczesną techniką i z jeszcze bardziej przerażającym brakiem skrupułów. W dodatku nie był żadnym herosem w typie współczesnego Heraklesa lub choćby Rambo. Ot, starszy zmęczony mężczyzna, nękany przy byle okazji starymi kontuzjami; co gorsza, nie dawał o sobie zapomnieć wredny potwór zżerający go od środka.

- Ile mam czasu, doktorze, jeśli zastosuję się do pańskich zaleceń, a operacja się nie uda? - zapytał podczas ostatniej wizyty doktora Lewisa.

- Może rok, może trzy.

- A jeśli nie będę robił nic, tylko żył dalej, jak żyję?

- Najwyżej rok.

Niewiele. Ale powinno wystarczyć! Tym bardziej że jego słabość była poniekąd jego siłą. Dla potężnych struktur był czymś dużo mniejszym niż błąd statystyczny. A niezwykle trudno walczyć z czymś, czego nie ma. Dlatego, jak święty Jerzy w walce ze smokiem, miał jedną szansę, tylko musiał z zaskoczenia ugodzić potwora w najczulszy punkt i zabić na miejscu. Odcinanie kolejnych głów nie miałyby sensu. Na miejsce jednej, odrąbanej, wyrastałyby po trzy nowe. Warunkiem powodzenia było dotarcie do matecznika bestii.

Lokalizował go w Stanach, było nie było, centrum współczesnego świata. Wiedział, że zadanie nie będzie proste, ale wykoncypował pewien sposób. Odważny i ryzykowny. Dotknął metalowego „nieśmiertelnika” Big Novaka.

- Pomóż mi, stary, a może i tobie zostaną skrócone czyścicowe męki - mruknął, myśląc o jego właścicielu.

Na krótko przed brzaskiem papirusowa łódź dotarła do brzegu. Joe wyciągnął komórkę kupioną od handlarza Teklego, aktywował ją i połączył się z Desem, który oczekiwał go w Bahir Dar. Podał w przybliżeniu miejsce swego pobytu.

- Będę tam za jakieś dwie, trzy godziny - odparł kierowca.

Czyli zgodnie z miejscowym poczuciem czasu: za cztery, a nawet pięć godzin. Nie mając nic lepszego do roboty, Carpenter wsunął się pod drzewo parasolowe i błyskawicznie zasnął.

\*

Do ulubionych powiedzonek poległego pułkownika Butlera należało stwierdzenie: „Najciemniej jest pod latarnią, na której ktoś wisi”. Zawartą w niej ideę postanowił wykorzystać Joe, pragnąc powrócić do kraju.

Powrót incognito, niezależnie od posiadanych papierów czy charakteryzacji, był niemożliwy. Po 11 września 2001 roku wprowadzono te cholerne skany siatkówki i porównywanie linii papilarnych, co pozwalało natychmiast wykryć fałszywą tożsamość. Istniała jednak szansa na przechytrzenie systemu, i to właśnie dzięki środkom stworzonym przez sam system. 7 listopada Joe zatelefonował do rezydentury CIA w Addis Abebie - numer telefonu znalazł jeszcze ze swej poprzedniej akcji. Zameldował się jako „Mars”. Nie był całkiem pewien, jakich pseudonimów używali ostatnio podwładni Butlera, jednak w trakcie swego uwięzienia zauważył, że dawni koledzy nadal posługują się ksywkami zaczerpniętymi z mitologii (lub astronomii), których używali za jego czasów jako grupa „Olimp”. Andy Wolff był „Merkurym”, Vivian - „Wenus”. Z rozrzewnieniem pomyślał o czasach, kiedy jego samego nazywano „Saturnem”... Ponieważ rezydent wydawał się nie

rozumieć, o co chodzi, powiedział z naciskiem:

- Tajna operacja „Wodospady Nilu”.

Oficer jakby zaskoczył - o rzezi w Beelin bębniły wszystkie światowe agencje - ale stać go było jedynie na idiotyczne pytanie:

- Co pan robi!?

- Przeżyłem.

W kolejnych słowach wyjaśnił, że uszedł śmierci, skacząc do wody, zanim jeszcze helikopter znalazł się w korycie Nilu. Udało mu się nie tylko wyrwać z nurtu niosącego ku katarakcie, ale także ukryć przed żadnymi zemsty tubylcami. I obecnie korzystał z gościny pewnego misjonarza w Bahir Dar, który oczywiście nie miał pojęcia, kogo gości. Rezydentowi wystarczyło kilka stuknięć w klawiaturę komputera, aby przekonać się, że wspomnianej operacji nigdy nie było, a grupa „Olimp” nie należała do żadnych struktur służb specjalnych Stanów Zjednoczonych. Jego głos zrobił się jeszcze bardziej nieprzyjemny. To jednak nie zniechęciło „Marsa” przygotowanego na taką ewentualność.

- Proszę skontaktować się z Firmą - powiedział. - Jeśli kryptonim nie wystarcza, to moje nazwisko brzmi Stanley Novak. - Tu podał ostatni stopień, przydział i numer „nieśmiertelnika” Novaka. - Proszę to zweryfikować, a ja zadzwonię do pana za godzinę.

Rezydent sprawdził, i to wielokierunkowo.

Napad na wieś Beelim stanowił „gorący kartofel”, którym przerzucały się wszystkie służby, i oczywiście żadna się do niego nie przyznawała. Chociaż oficjalna wersja mówiła o waśniach plemiennych, nie sposób było nie pytać, od kiedy w takich waśniach jedna ze stron używa helikoptera US Navy ucharakteryzowanego w dodatku na maszynę Czerwonego Krzyża. Skąd wystartował, nie udało się stwierdzić, jako że błyskawiczna dymisja komandora Higginsa została utajniona. Co do sierżanta Stanleya Novaka, to pozostał ślad jego wyrejestrowania, a także znamienna adnotacja w sprawie akt: „Dostęp zastrzeżony”.

Po skontaktowaniu się z Waszyngtonem rezydent otrzymał

krótkie polecenie: przejąć „Marsa” możliwie najdelikatniej, przekazać do Stanów, a przede wszystkim nie zdradzić jego istnienia przed legalnymi władzami Etiopii. Zakazano mu też (i na to Carpenter liczył szczególnie, bo mógł zostać zdemaskowany w kwadrans) jakichkolwiek przesłuchań. „To nie jest sprawa dla pańskiego szczebla”.

Kiedy zadzwonił po godzinie, rozmowa miała zupełnie inny charakter. Określono punkt pod Bahir Dar, w którym „Mars” miał być przejęty w dniu następnym, po czym ewakuowany „pocztowym” samolotem US Air Force, który w drodze z Diego Garcia do bazy w Aviano ze względów „technicznych” będzie musiał wylądować w mieście nad jeziorem Tana.

- Proszę pamiętać: wykonywałem wyłącznie rozkazy! - podkreślał Joe basem imitującym głos Big Novaka.

- Nie w *mojej* gestii jest obiecywanie panu czegokolwiek, choć jestem pewien, że Ameryka nie zapomina nigdy o tych, którzy jej służą - powiedział rezydent.

Na moment przed jego oczyma stanęły straszliwe obrazy rzezi w amharskiej wiosce, fotografia martwej Anny Abbadi z rozprutym brzuchem i pełen głębokiego obrzydzenia odłożył słuchawkę.

Na ewakuację przyszło Carpenterowi czekać do wieczora dnia następnego. Zwłoka bardzo go niepokoiła, zwłaszcza że możliwość odnalezienia i identyfikacji ciała prawdziwego Novaka była naprawdę nieprzyjemna dla kogoś, kto postanowił się pod niego podszyć. Na szczęście bezgłowy korpus Novaka znaleziono wprawdzie najwcześniej, ale nie było komu go zidentyfikować. Stanley nie miał żadnych znaków szczególnych, w dodatku chirurgicznie usunięto mu linie papilarne, a pobrany materiał DNA wysyłano do Ameryki dopiero samolotem, którym leciał Carpenter. Poza tym głowa, obcięta przez łopatę wirnika, miała się odnaleźć dopiero po paru dniach w stanie niekompletnym, niezwykle precyzyjnie obrana z części miękkich przez sępy. Zanim zrobiono zdjęcia i przesłano przez Addis Abebę do Langley, upłynęły dalsze cenne godziny.

Samolot pocztowy wylądował późnym popołudniem, a o



zmierzchu Joe znalazł się przy dziurze wyciętej w ogrodzeniu lotniska niedaleko miejsca, w które podkołowała maszyna. Jej kadłub zasłaniał Amerykanina przed ewentualnymi obserwatorami z wieży. Szybko przebiegł odcinek wysuszonej murawy i po opuszczonych schodkach wbiegł do środka.

Zaraz za drzwiami czekał na niego porucznik żandarmerii wojskowej, młodzian o podejrzenie rumianej cerze i maleńkim, rzyżym wąsiku, ruchami i wymową dowodzący, że czasy, kiedy do armii nie przyjmowano homoseksualistów, bezpowrotnie minęły.

- Porucznik Raymon Ryan - przedstawił się oficer.

- Sierżant Stanley Novak - odpowiedział Joe i wyciągnął rękę.

Gest zawisł w próżni, ale nie do końca, bo inny funkcjonariusz, który

wyłonił się z boku, wprawnie zacisnął mu na przegubach kajdanki.

- Jestem aresztowany? - zapytał Carpenter.

- Jedynie zatrzymany do wyjaśnienia - padła odpowiedź.

- Pod jakim zarzutem?

Ryan wzruszył ramionami.

- Wykonuję jedynie polecenia. Reszty dowie się pan w Waszyngtonie.

Trudno było o lepszą informację. Lecieli do Stanów, czyli właśnie tam, gdzie chciał się jak najszybciej znaleźć. To, że był w kajdankach, nie odgrywało żadnej roli. W dodatku przykuli mu do fotela tylko jedną nogę, a bransoletki na rękach zacisnęły tak luźno... Patałachy! Nie wiedzieli, z kim mają do czynienia! A już zupełnie karygodne było zaniechanie pobrania odcisków palców czy sfotografowania go celem potwierdzenia identyfikacji. Zadowolili ich „nieśmiertelnik” Novaka.

Tymczasem wylot opóźniał się: miejscowe władze chciały sprawdzić samolot i dość długo trwało, zanim Ryanowi udało się je przekonać, że lot ma charakter „dyplomatyczny”. W efekcie zamiast o siódmej trzydzieści, jak było planowane, wystartowano dopiero o dziesiątej wieczorem, czyli o piętnastej czasu waszyngtońskiego. Dwie godziny zabrał im postój w

marokańskim Rabacie z powodu konieczności zatankowania paliwa. Burza nad centralnym Atlantykiem uniemożliwiła nadrobienie opóźnienia. W efekcie kiedy samolot nawiązał łączność z bazą Andrews i rozpoczął powolne zniżanie, dochodziła trzecia w nocy. Wszystko składało się lepiej, niż Joe mógł sobie zaplanować, choć z drugiej strony nie miał pojęcia, jak blisko była wpadka.

Około drugiej w nocy czasu waszyngtońskiego fotografie czaszki szóstego z uczestników ataku na wioskę Beelim dotarły do laboratorium, gdzie pracowały jeszcze jakieś nocne marki. Komputerowa rekonstrukcja, a następnie porównanie z bazą danych zajęły im blisko godzinę. Budzenie szefa i poszukiwanie pani dyrektor Alvarado kolejny kwadrans. Kiedy wiceszefowa CIA połączyła się z centralą i bazą sił powietrznych Andrews w Marylandzie, położoną zaledwie piętnaście kilometrów od Kapitolu, było sześć po szóstej.

Alert był w pełni uzasadniony: na pokładzie maszyny pocztowej znajdował się jakiś niebezpieczny osobnik, który z całą pewnością nie był tym, za kogo się podawał.

- Musicie wziąć go żywcem! - rozkazała pani dyrektor. - Zawiadomiliście załogę?

- Lepiej tego nie robić. To zawodowiec. Jeśli zorientuje się, że jest zdemaskowany, może być niebezpiecznie. Zajmiemy się nim po wylądowaniu.

- Całkiem słusznie!

Tymczasem dokładnie o trzeciej zero osiem z wieży kontroli lotów w Andrews wysłano zdumiewający komunikat: maszyna utraciła kontakt z lotniskiem i znikła z radarów.

- Jak to znikła? - zawołała Alvarado.

- Opuściła oś pasa i zeszła tak nisko, że nie można jej namierzyć.

- Rozbiła się?

- Tego jeszcze nie wiemy.

- A lokalizator?

- Główny został chyba celowo wyłączony, a awaryjny może być namierzony jedynie z powietrza. Niestety, nie mamy w pobliżu żadnego AWACS-a.

W reakcji na te słowa współpracownicy pani dyrektor usłyszeli takie soczyste meksykańskie przekleństwo, jakie zazwyczaj z trudem przechodzi przez usta najgorszych kokainowych baronów.

To, co było niespodzianką dla służb, dla Carpentera, sprawcy tego zamieszania, stanowiło realizację planu obmyślnego jeszcze w Abisynii. Nie miał najmniejszego zamiaru zaraz po wylądowaniu znaleźć się w ramionach komitetu powitalnego, dlatego parę minut przed trzecią poprosił o możliwość skorzystania z toalety.

- Poczekaj, aż znajdziesz się na ziemi - burknął porucznik Ryan.

- A mogę zasrać wam fotel?

Ryan, fanatyk czystości, kazał dwóm oficerom zaprowadzić aresz- tanta do kibla, a nawet pomóc rozpiąć mu pasek. Myśl, że bezbronny konwojowany może przedsięwziąć skuteczne działania przeciw sześciu uzbrojonym mężczyznom, jakoś nie przychodziła im do głowy.

Joe nie tracił czasu na zdejmowanie kajdanek. Puścił wodę do umywalki, a następnie wspiął się na sedes. Zgodnie z regulaminem nawet w toaletach wszystkich samolotów muszą być zainstalowane maski opadające w razie nagłego rozhermetyzowania się kabiny; Joe wydobył taką maskę ręcznie i naciągnął na usta, następnie zerwał amulet wiszący mu na szyi i wrzucił go do wody w umywalce, zapoczątkowując reakcję chemiczną. Parę sekund potem pomieszczenie wypełnił silny gaz paraliżujący, który mógł nawet spowodować ciężkie uszkodzenia mózgu. Kiedy opary były dostatecznie gęste, kopniakiem wywalił drzwi. Obaj strażnicy nie zdążyli zareagować: krztusząc się, opadli na kolana. Pozostałym, łącznie z Ryanem, udało się jedynie odwrócić głowy.

Samolot rozpoczął właśnie procedurę zniżania i zdaniam Carpentera znajdował się na wysokości najwyżej tysiąca metrów, dlatego roz- hermetyzowanie kabiny nie groziło poważniejszymi następstwami. Nie ściągając maski, wychylił się na tyle, by móc zabrać pistolet jednemu z nieprzytomnych konwojentów. Problemem pozostawała hermetyczność kabiny

pilotów. Broni nie chciał używać, no chyba że w celu szantażu. Na szczęście jeden z pilotów, słysząc podejrzane hałasy, uchylił drzwi kokpitu. Po dwóch oddechach osunął się na ziemię. Kapitan siedzący przy sterach chciał sięgnąć po maskę, ale nie zdążył. Nie zdołał nawet uruchomić alarmu. Włączony wcześniej autopilot kontynuował podchodzenie do lądowania.

Nadszedł najbardziej ryzykowny moment operacji. Joe strzelił dwukrotnie w okienka znajdujące się po przeciwnych stronach kadłuba. Pęd powietrza natychmiast wysłał cały trujący gaz z kabiny. Mimo to Carpenter nie ryzykował otwierania ust. Na bezdechu (a mógł wytrzymać bez oddychania ponad pięć minut) dobiegł do kabiny pilotów. Strącił nieprzytomnego kapitana z fotela, nałożył jego maskę, a następnie przejął stery. Łagodnym łukiem zszedł z drogi naprowadzania i obniżył lot do wysokości stu pięćdziesięciu metrów, kierując się ponad lotniskową część stanu. Znał tu każdą ścieżkę i każdy pagórek. W dawnych dobrych czasach w letnie weekendy robili razem z Maud długie rowerowe wycieczki. O tej porze wszystkie lotniska były opustoszałe, a że był środek nocy, zderzenie się na drodze z jakimś samochodem zakrawało na nieprawdopodobieństwo. Joe wybrał długi, prosty, pozbawiony drzew na poboczach odcinek West Chesapeake Beach Road i tam elegancko posadził maszynę. Potem przetrząsnął kieszenie śpiących, zabrał to, co mogłoby mu się przydać, wziął swój bagaż i opuścił samolot.

Pod jakąś uśpioną farmą zauważył półciężarówkę, włamał się do niej i po zwolnieniu hamulca pozwolił cichutko wytoczyć się z obejścia. Wewnątrz domu zaszczekał jakiś czujny kundel, ale Joe nie przejmował się tym zbyt: jeśli nawet właściciele zawiadomią policję, będzie już daleko. Odpalił, zwierając na krótko kable. Niecały kwadrans później na Southern Maryland Boulevard dostrzegł stojącego traka i faceta odlewającego się do rowu. Zatrzymał się niby w podobnym celu, zamienił parę zdań, następnie ogłuszył prostodusznego wieśniaka i zajął jego miejsce w szoferce. Korciło go pojechać najkrótszą drogą, zaraz przecież zaczynała się Pennsylvania Avenue, którą można było dojechać aż do Białego Domu, ale zrezygnował z pokusy. Nie

chciał przejeżdżać obok bazy Andrews, gdzie trwał zapewne stan najwyższego pogotowia. Jeśli udało się ocucić Ryana, wiedzieli już z pewnością, kto podszył się pod Stana Novaka, i wnet jego rysopis będą znali wszyscy w kraju. Skręcił w Crane Highway, potem w Largo Avenue i po niecałej półgodzinie minął wielką tablicę z napisem: „Witajcie w Dystrykcie Kolumbii”.

## ROZDZIAŁ XIV

### ŚCIGANY

Dziewiątego listopada o dziewiątej rano Florence Alvarado została wezwana do Białego Domu. Spodziewała się, że jej rozmówcą będzie sam gospodarz Gabinetu Owalnego, musiała jednak zadowolić się rozmową z wszechwładnym doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, profesorem Thomasem Carringhamem, ekspertem wszelkich możliwych specjalności, od prawa międzynarodowego po efekt cieplarniany. Oczywiście Alvarado wiedziała o największej tajemnicy doradcy. Wyszczekany profesorek, który uwodził kobiety łatwiej niż w swych najlepszych czasach Henry Kissinger i dawał sobie radę z dziennikarzami nie gorzej niż Oprah Winfrey, nie miał za grosz charakteru i był w rzeczywistości małym, tchórzliwym sukinsynem, marionetką w ręku rzeczywistego władcy Białego Domu, który całe rozmowie przysłuchiwał się, siedząc skromnie z boku.

Oficjalnie pastor Kościoła Wyzwolenia Lany Wilcox nie pełnił w ekipie Matakiego żadnej funkcji, choćby spowiednika, jednak w praktyce miał nieograniczony dostęp do prezydenta. Mówiono, że zdecydowanie większy niż jego piękna żona, a kiedy Fanu łowił ryby, grał w golfa lub zapraszał koronowane głowy do MacDonald'sa, de facto BYŁ prezydentem. Inni działali, gadali, uczestniczyli w teatrze polityki, on jedynie pociągał za sznurki. Potrafił też w sposób doskonały kontrolować własne emocje. Jednym to imponowało, innych przerażało.

- Znowu Carpenter! - wykrzykiwał nerwowo Carringham, krążąc po pokoju. - Czy nikt nie potrafi załatwić tego sukinkota? Jak w ogóle mogliście dopuścić do tego, żeby zaczął wsadzać nos w nie swoje sprawy?

- Ośmielam się zauważyć, panie profesorze - ripostowała

spokojnie Alvarado - że ostatnie operacje pułkownika Butlera przeprowadzano praktycznie bez kontroli CIA. Firma miała się do nich nie mieszać, jedynie w razie konieczności pomagać. Co się tyczy Josepha Carpentera, wrócił do służby na osobistą prośbę Kena Milesa. Współpracował z nami przy śledztwie w sprawie zamachu na Rzym i odnosił pewne sukcesy, o których od kiedy sprawę przejęło FBI, jakos nie słyhać. Jego zwolnienie też zostało zasugerowane przez was. Dlatego obciążanie nas całą odpowiedzialnością w sytuacji, w której moja wiedza na temat tego, co się naprawdę dzieje, jest ograniczona, to gruba przesada.

Carringham chciał coś odpowiedzieć, ale wyprzedził go głos pastora Wilcoxa, absolutnie spokojny i melodyjny, a jednak mający w sobie taką skumulowaną moc, że Florence przeszły dreszcz.

- Skoncentrujmy się zatem na panu Carpenterze - powiedział. - Co wiemy o jego zamiarach i miejscu stałego pobytu?

- Co do motywów, to wiele wskazuje, że kieruje nim zemsta. W operacji „Czarna Matka” zginęła niejaka Salam Abbadi, która najprawdopodobniej była z nim w ciąży. Może chodzi mu o ustalenie, kto wydał rozkazy Butlerowi. - W tym momencie dojrzała kropelki potu na czole Carringhama. - Nie należy też lekceważyć możliwości kontynuowania samodzielnego śledztwa w sprawie zamachu na Rzym. Carpenter, zanim go zwolniliśmy, nalegał na badanie wątku, który FBI uznało za nieprawdopodobny.

- To znaczy?

- Spisku satanistów, którego celem był atak na Watykan.

- Czy pani również uważa, że coś takiego jest możliwe? - zapytał Wilcox, wzrokiem nakazując Carringhamowi, żeby się nie odzywał. - Są dowody, że mógł zostać zawiązany taki spisek?

- Póki nie zostaną schwytani Atkinsonowie, nie możemy tej hipotezy potwierdzić ani jej zaprzeczyć. Na dziś obowiązuje założenie, że działania Nika Petkovicia *vei* Atkinsona to wynik jego antykatolickiej obsesji, której powodem była młodzieńcza

trauma w efekcie wojen bałkańskich.

- A zatem serbskie małżeństwo działało na własny rachunek - powiedział pastor Wilcox i właściwie nie wiadomo, czy było to pytanie, czy potwierdzenie.

- Na tym etapie śledztwa nie mamy nic innego.

- Co wiecie o aktualnym miejscu pobytu tego drania? - pytał dalej Carringham.

- Prawdopodobnie jest już w Waszyngtonie.

- Prawdopodobnie?

- Porzuconego traka, którym się przemieszczał, znaleziono w pobliżu końcowej stacji linii niebieskiej w Largo Town. Kamery zarejestrowały, jak wsiadał do pierwszego porannego pociągu zdążającego do śródmieścia.

- A gdzie wysiadł?

- Nie wiemy.

- Jak to!? - wykrzyknął doradca. - Myślałem, że przynajmniej w stolicy mamy najlepszy na świecie system monitorowania metra.

- Analizujemy wszystkie nagrania. Niestety, Carpenter to mistrz kamuflażu i charakteryzacji. W parę sekund może być zarówno czarnoskórą kobietą, jak na wpół sparalizowanym staruszkiem.

- Ale jak i czym może się charakteryzować, będąc ściganym zbiegiem?

- Ci dumie z żandarmerii nie skontrolowali nawet jego bagażu. Inna sprawa, że mieli zakaz jego otwierania. Mimo to złapiemy go. Jest sam. Obserwujemy jego wszystkie możliwe kontakty. Spróbuje wejść do bazy danych, użyje karty kredytowej, spróbuje wejść na lotnisko - będzie nasz.

- Kto organizuje obławę? Rozumiem, że współdziałacie w tej kwestii z FBI?

- Niedobrze by było, gdyby wpadł w ręce policji. Podjęłam decyzję o ściągnięciu z Europy człowieka, który z nim wiele razy pracował. Niejakiego Billy'ego Sloane'a. Jeśli ktoś może go namierzyć, to właśnie on - za kilka godzin Sloane wylądaje na lotnisku Reagana.

- Czy możemy być go absolutnie pewni?



- Tak. Ma autystyczną córkę i żonę, którą kocha, a w dodatku haka w życiorysie. Kiedyś połakomił się na pieniądze. Spore. Jednym słowem, trzymamy go na krótkiej smyczy.

- Zatem niech znajdzie tego Carpentera jak najszybciej i przynajmniej z tym jednym problemem miejmy spokój! - rzekł Wygadany Tom, wstając, co stanowiło widomy znak, że rozmowa dobiegła końca.

Jednak nie dobiegła, bo kiedy Alvarado podała mu rękę, przytrzymał ją w swoim lepkiem uścisku i zadał pytanie, z którym nosił się od początku:

- Jakie są szanse, że go dorwiemy, Florence? Szczerze!

- Gdyby postanowił ukryć się albo uciec, przy jego poziomie zawodowstwa mielibyśmy niewielkie szanse. Na szczęście teraz mamy do czynienia z odwrotną sytuacją. Nie po to oddał się w Abisynii w nasze ręce i pozwolił się przewieźć do Stanów, żeby się tu zadekować.

- W takim razie co zamierza?

- Chce nas dorwać. W tym polowaniu, panie profesorze, nie ma zwierzyny. Są wyłącznie myśliwi.

To mówiąc, obróciła się na pięcie, ale nim wyszła, podszedł do niej Larry Wilcox i pogłaskał ją po policzku.

- Działaj śmiało, dziecinko! My potrafimy się odwdzięczyć.

Zauważyła, że palce pastora, które musnęły jej twarz, są zimne jak lód.

\*

Joe Carpenter zagrał wyjątkowo bezczelnie. Ostatnim miejscem, w którym powinien się schronić, był dom jego przeciwnika. Inna sprawa, że należał do nielicznych, którzy wiedzieli, że pułkownik Butler po rozwodzie zachował nie tylko apartament w centrum Waszyngtonu, ale również mały domek w Derwood, który służył mu jako miejsce wypoczynku (co zdarzało się coraz rzadziej) lub do testowania adeptek do służby (częściej) czy wreszcie do spotkań ze starymi kumplami. Domek leżał nieco na uboczu, przy lasku; nieprzycinane krzaki zasłaniały go przed oczami zarówno sąsiadów, jak i

postronnych spacerowiczów. Było to okolicznością ze wszech miar sprzyjającą planom Joego. Dwu- milowy odcinek od końcowej stacji kolejki w Shady Grove przemierzył w spokojnym tempie dziarskiego staruszka, który walcząc ze zniechęceniem, wybrał się na poranny spacer. Jeśli nawet ktoś go widział - po drodze minęło go parę samochodów - nie powinien zwrócić uwagi na siwowłosego, przygarbionego dziadygę.

Domek Budera oczywiście miał zainstalowany alarm, ale błyskawiczne, przed upływem krytycznych pięciu sekund wprowadzenie hasła: „Helios” spowodowało, że intruz mógł dostać się do domu bez hałasu. Gruba warstwa kurzu wskazywała, że od paru miesięcy nikt nie odwiedzał domostwa, a Glenn pozostał wierny zasadzie: „Żadnych gospoś”. Wprawdzie z produktów spożywczych znalazł jedynie parę butelek bourbona w barku i sześciopak piwa w lodówce plus odrobinę sucharów nadjedzonych przez myszy, lecz przewidziawszy braki aprowizacyjne, nabył kilka kanapek na stacji, co do wieczora powinno mu wystarczyć.

Czy miał gotowy plan? Znając ostrożność Butlera, nie przypuszczał, aby w domu udało się znaleźć jakieś ślady dotyczące „rzezi niewiniątek”, choćby dlatego, że od czasu jej ewentualnego rozpoczęcia Glenn w Derwood najprawdopodobniej nie był. Co nie znaczyło, że jego komputery nie zawierały różnych użytecznych informacji. Joe wiedział sporo o nielegalnych programach, dzięki którym, wykorzystując serwery w rozmaitych punktach świata, pułkownik mógł czerpać pełnymi garściami z baz danych NSA, DEA, CIA, FBI czy podobnych organizacji państw zaprzyjaźnionych. Jednak każde takie grzebanie pozostawiało ślady i mimo wszystko niosło z sobą ryzyko namierzenia, dlatego zdecydował się korzystać z baz zastrzeżonych dopiero w ostateczności.

Na początek zaś postanowił sprawdzić w legalnych źródłach stan poszukiwań sprzysiężenia satanistów. Zastanawiając się, jak tego dokonać, wszedł do archiwum prasowo-telewizyjnego i cofnął się aż do czasu zdarzeń na Florydzie. Przez pierwsze dni

po wybuchu w domu Nika media pełne były wzmianek o parce satanistów podejrzanych o zamach na Rzym. Policja została zasypana doniesieniami o tajemniczych ślepcach widzianych w różnych miejscach. Doszło do szeregu ataków na Bogu ducha winnych niewidomych, a w jednym wypadku zabito psa przewodnika.

Agent Cooper nieźle przykładał się do pracy. Najciekawszy trop zaprowadził go na małe lotnisko w pobliżu stolicy Florydy, Tallahassee, gdzie dwa dni temu kobieta przypominająca rysopisem Summer Atkinson wynajęła czteroosobową cesnę na „lot widokowy do Nowego Orleanu”. Obsługa zauważyła dwóch niewidomych (wysokiego i pękatego) wsiadających na pokład maszyny.

- Po co niewidomym widoki? - zastanawiali się przez dłuższy czas.

Jeden z nich musiał zapłacić za lot, stwierdzono bowiem użycie karty kredytowej Rona Sharky’ego. Wynajęty samolot jednak do Nowego Orleanu nie doleciał. Zarejestrowany nad Pensacolą, na wysokości Mobile skręcił gwałtownie w stronę morza, widziany jeszcze w rejonie Dauphin Island leciał już wolno i bardzo nisko; najprawdopodobniej wkrótce potem runął do Zatoki Meksykańskiej, nie nadając wcześniej żadnego „Mayday”.

Policję zdawała się zadowalać wersja przypadkowej katastrofy, w której zginęli wszyscy podejrzani. W każdym razie skwapliwie przyjęto ją do wiadomości. Faktycznie nikt z obecnych na pokładzie nie użył później żadnej z kart kredytowych Atkinsonów czy Sharky’ego. Niektórzy policjanci podejrzewali symulowane samobójstwo, ale nie było już dalszych doniesień na temat dwójki niewidomych z wyglądu przypominających Don Kichota i Sancho Panse. Jeśli uciekali gdzieś dalej, z pewnością nie korzystali z komunikacji publicznej.

Dlaczego nie zbadano tropu satanistycznego? Czy tylko przypadkiem zbiegło się to z wyjazdem do Waszyngtonu Marka Coopera i jego tragiczną śmiercią?

Joe przejrzał pod tym kątem swoją bazę miłośników ptasich

tryli i natychmiast znalazł niejakiego René Dorevala, weterana wojny wietnamskiej, zamieszkującego dom w pobliżu Bayou La Batre, niedaleko granicy z Luizjaną. Nic nie wskazywało, żeby był niepokojony w związku z tą sprawą, ani z żadną... A przecież można sobie wyobrazić, że zamordowawszy pilota i nieprzydatnego już kurdupla Sharky'ego, serbskie małżeństwo wyskoczyło na spadochronach (oboje w młodości uzyskali odpowiednie kwalifikacje) na pustym krańcu Dauphin Island, skąd mogła ich zabrać łódka miejscowych sojuszników...

Tymczasem media szybko straciły zainteresowanie sprawą. Niektóre po dobroci, inne niekoniecznie. Przestrożą mógł być los dziennikarza śledczego z Savannah, Charlesa Kendalla, który tropiąc satanistów, musiał dojść do podobnych wniosków co Carpenter, ponieważ dotarł aż do Mobile, gdzie zmasakrowany przez niezidentyfikowanych łobuzów trafił na oddział intensywnej terapii w miejscowym szpitalu i przez trzy dni nie wychodził ze śpiączki.

Na marginesie tych informacji Carpenter zwrócił uwagę na szczególne ożywienie antykościelne, które ogarnęło kraj. Wyglądało na to, że po rzymskiej katastrofie jak Ameryka długa i szeroka mnożyły się spontaniczne inicjatywy obywatelskie, popierane przez czołowych aktorów z Hollywood, żądające zmniejszenia aktywności kleru w życiu publicznym. Znany prawnik publiczny z Atlanty Mike Vishnievsky w artykule *Diabelska ofensywa* zapytał galkiem serio, czy prezydent Fanu Matakiki nie zamierza zdelegalizować niektórych Kościołów (z katolickim na czele) oskarżanych o pedofilię, nietolerancję i popieranie wstecznych postaw, na przykład przeciwko małżeństwom homoseksualnym. Publicystę wyśmiano tak skutecznie, że w parę dni wykitował na serce. Jednak Carpenterowi nie było do śmiechu. Gdyby tylko mógł, domagałby się sekcji zwłok zmarłego dziennikarza.

Dalsza lektura dowodziła, że ofensywa antyreligijna z każdym dniem przybierała na sile. Co ciekawe, oddolne akcje skierowane przeciwko symbolom kultu religijnego w przestrzeni publicznej wykazywały daleko posuniętą koordynację. Sądy zalewały pozwy domagające się usunięcia

słowa „Bóg” z przysięgi, z banknotów i z napisów w miejscach publicznych. Żądano zamknięcia prywatnych szkół prowadzonych przez zakony jako ośrodków pedofilii, a także zakazu zatrudniania zakonnic jako pielęgniarek. Niektórzy mówili nawet o drugiej rewolucji amerykańskiej.

- Sam nie dam rady - uznał Joe. - Muszę komuś zaufać.

Tylko gdzie mógł szukać sojusznika? Nasuwał się Ken Miles. Chociaż z byłym dyrektorem pozostawali w szorstkiej przyjaźni, pewny był nie tylko jego uczciwości, ale również chęci odwetu na obecnych szefach Firmy, którzy wykopali go na emeryturę.

Używając pseudonimu „Josephine”, połączył się za pomocą sieci z „Przyjacielem”.

„Witaj, Duduś, tu Józefinka” - zaczął.

Odpowiedź przysłała prawie natychmiast.

„Oszalałaś, dziewczyno, twój stary jak się dowie, że do mnie stukasz, to zabije nas oboje!”

„Nie dowie się, jestem ostrożna. Ciekawe, co robi mój stary kumpel Kálvin”.

„Łowi pstrągi w Mackenzie River” - odparł po dłuższej chwili informator.

Joe domyślił się, że jest na rybach w jakimś ciepłym akwenu, którego nazwa zaczyna się na literę „M”. Może w Zatoce Meksykańskiej?

O tej porze rzeki w kanadyjskiej prowincji Alberta są skute ponadmetrową warstwą lodu.

„Myślałam, że woli gdzie indziej”.

„Jest przywiązany do North Ontario”.

Jeśli dobrze odczytał przesłaną informację, Ken Miles znajdował się w Nowym Orleanie, skąd, jak marzył przez całe życie, wypuszczał się na marliny, licząc pewnie, że nie wszystkie wyginęły z powodu plam ropy.

„Masz do niego jakąś sprawę?” - zapytał „Przyjaciel”.

„Chciałam mu przekazać, że ciągle go kocham, ale nie znam adresu”.

„Postaram się dowiedzieć”.

Odpowiedź przysłała po dziesięciu minutach.

„Siedzi w gospodzie na 145. mili i pije whisky”.

Aluzje zawarte w przekazie nie były zbyt skomplikowane, toteż już po chwili Joe wykoncypował, że chodzi o hotel na Bourbon Street 541 w dzielnicy francuskiej, sercu historycznej części Nowego Orleanu.

„Pozdrów go ode mnie” - zakończył tekst, podpisał: „Józefinka” i przerwał połączenie.

*A więc wypadło pojechać do Luizjany.*

\*

Tymczasem mimo zespolonych wysiłków agencji federalnych przez cały następny dzień nie natrafiono na najmniejszy ślad Carpentera.

- Przyczaił się gdzieś i pewnie miesiącami nie wychyli nosa - twierdzili podwładni pani Alvarado. - Jeśli był tak ostrożny, jak o nim mówią, mógł przygotowywać sobie kryjówkę przez całe lata.

Florence wierzyła w talent Sloane'a, ale pierwsza rozmowa z agentem nie należała do łatwych.

Billy chciał wiedzieć, dlaczego ma tropić człowieka, z którym całe lata dobrze współpracował. Informacja, że „przeszedł na stronę wroga”, bynajmniej go nie zadowalała. Musiał wiedzieć, jaki to wróg, i zadawał mnóstwo denerwujących pytań... Dopiero informacja, że Joe przyczynił się do śmierci swego dowódcy, pułkownika Butlera, w połączeniu z zawołowanymi pogrózkami („Z trudem trzymam prokuraturę z dala od pańskich akt”) zmotywowała go do działania.

W ciągu paru godzin dokonał przeglądu wszystkich znajomych Carpentera oraz dalszej rodziny. Jednak o założenie podsłuchów i objęcie ich obserwacją FBI zadbało już wcześniej. Joe nie odezwał się do nikogo. Nie zbliżył się do swego mieszkania ani do banku.

- A jego zwierzchnicy? - Sloane zapytał Gene'a Cartera, który do tej pory z ramienia FBI sprawował nadzór nad pościgiem. - Wiem, że na początku rzymskiego śledztwa bezpośrednio kontaktował się z generałem Milesem.

- Chyba wiesz, że Ken przeszedł na emeryturę. Oczywiście dzwonił do niego, ale wyjechał na wakacje.

- Wiadomo gdzie?

Po kwadransie było wiadomo.

- Jest w Nowym Orleanie.

- Mam nadzieję, że ktoś go tam kontroluje?

- Nie było powodu. - Carter wydawał się zakłopotany. - To człowiek ogromnych zasług.

- Ale jest osobiście zainteresowany, aby zemsta się Carpenterowi udała.

- Nie uzyskamy zezwolenia na jego inwigilację. Ma za wielu wpływowych przyjaciół w prokuraturze. Oczywiście możemy założyć mu nielegalny podsłuch i posłać paru ludzi na Bourbon Street, żeby mieli na niego oko, ale jeśli się wyda...

- A niby dlaczego miałyby się wydać?

Kolejne posunięcie Sloane'a dotyczyło rozszerzenia obszaru poszukiwań Carpentera.

- Zbadaliście jego kontakty z przyjaciółmi. A co z wrogami?

- Co takiego? - zdziwił się Carter.

- Starzy frontowcy mawiają, że najbezpieczniej jest w leju po bombie. Gdybym to ja zamierzał się ukryć, wykorzystałbym śmierć całego komanda. Wszyscy mieli w Stanach jakieś mieszkania, pewnie i domy... Joe, jako ich były kumpel, mógł znać wiele z nich. Potrzebuję na dziś listy wszystkich obiektów. W pierwszym rzędzie tu, w DC, i w bezpośredniej bliskości Waszyngtonu.

Podsluchująca rozmowę ze swego gabinetu Alvarado uśmiechnęła się. Sloane był właściwym człowiekiem do tej roboty. Inna sprawa, że kiedy zrobi swoje, trzeba będzie się go jakoś pozbyć.

## ROZDZIAŁ XV

### EGZORCYSTA

Człowiek, nawet przechodząc na emeryturę, nie potrafi wyzbyć się dawnych przyzwyczajęń. A do przyzwyczajęń wicedyrektora CIA Kena Milesa należało analizowanie spraw dziwnych, zastanawiających, niepasujących do rutyny i generalnie burzących ustabilizowany porządek świata. Wzmianka o pewnym arabskim księciu, który wygrał zawody balonowe, zaowocowała po kilku miesiącach udaremieniem bakteryjnego zamachu na Atlantę z użyciem sterowca. Podobnie dziwne okoliczności samobójstwa pewnej babysitterki pracującej na czarno u wpływowego kongresmena doprowadziły do rozbicia rosyjskiej siatki szpiegowskiej.

Dlatego wzmiankę treści: „W Baton Rouge zaginał popularny egzorcysta Simon Antonelli” były superagent zakreślił czerwonym ołówkiem, zastanawiając się, czy zamiast na połów (pogoda w ostatnich dniach zdecydowanie się popsuła) nie wybrać się do stolicy Luizjany. Na razie postarał się o informacje. *Padre* Antonelli był osiemdziesięcioletnim dominikaninem z Perugii, zwolnionym z obowiązku zamieszkiwania we wspólnocie i oddelegowanym do Ameryki. Specjalizował się w środowiskach trudnych: pracował z wykolejoną młodzieżą, próbował nawracać prostytutki i dealerów narkotykowych. Z całkiem niezłym skutkiem.

„Niewykluczone, że załatwił go ktoś z jego podopiecznych” - komentował miejscowy pismak.

Kena bardziej zastanowiła wypowiedź samego egzorcysty: „Bardzo często przestępcy tłumaczą, że w momencie popełnienia występku nie byli sobą. Pozostaje odpowiedzieć na pytanie, kim byli”. W swoim notesie zanotował: „Egzorcysta, sataniści, Rzym”, po czym dodał: „Carpenter?”.

Carpenter? Ciekawe, czy powrócił z wakacji. O ile tam się



rzeczywiście udał. Zastanawiający był telefon z centrali, pytający o Joego. Najwyraźniej go szukali. A skoro szukali, to znaczy, że zgubili.

- Coś złego dzieje się z tą Firmą - mruknął do siebie Miles. A miał na myśli zarówno CIA, jak i cały kraj.

Tymczasem wydawało się, że moment ujęcia Carpentera jest bliski.

11 listopada nad ranem oddział komandosów sforsował drzwi wiejskiego domu pułkownika Butlera w Derwood. Za późno, by pochwycić Joego, który musiał opuścić budynek jeszcze poprzedniego wieczora.

„Ktoś go ostrzegł czy zadziałał u niego jakiś szósty zmysł?” - zastanawiał się Sloane.

Każdy, mając taką kryjówkę, zabawiłby w niej dłużej. W dodatku nie wyglądało na to, by Joe uciekał w pośpiechu. Starczyło mu czasu na dokładne zniszczenie komputerów i zabranie z sobą laptopa. W garażu brakowało samochodu. Z rozmowy z sąsiadami dowiedzieli się, że chodzi o luksusowego cadillaca sixteen z 2005 roku, z przepięknym wyposażeniem stylizowanym na lata trzydzieste.

- Łakomiąc się na takie cacko, ten rzekomo genialny Carpenter popełnił błąd - cieszył się Gene Carter. - Takie auto rzuca się w oczy bardziej niż wrona na śniegu.

Sloane tylko się uśmiechnął.

- Z tego właśnie powodu jestem bardziej niż pewny, że już się go pozbył. Schował gdzieś lub utopił i podąży dalej jakimś innym środkiem lokomocji.

Mimo to rozesłano informację o samochodzie do wszystkich posterunków policji w okolicznych stanach: Wirginii, Marylandzie, Delaware, New Jersey i Pensylwanii. Wpłynęła tylko jedna pewna wiadomość: wczesnym rankiem, gdzieś około piątej trzydzięci, widziano go na stacji benzynowej niedaleko Saunton w zachodniej części Wirginii. Jak twierdził pompiarz, wóz prowadziła starsza, krzykliwie umalowana kobieta. I skomentował filozoficznie:

- Na kurewstwie można się dorobić!

Niestety, potem po cadillacu przepadł wszelki ślad. Nie

znaleziono nawet najmniejszej wskazówki, dokąd mógł się udać. Z międzystanowej jedenastki można było spokojnie pojechać na zachód, północ i południe, a także zgubić się na krętych drózkach w masywie Appalachów. Oczywiście federalni i lokalne policje otrzymali polecenie szukania ekskluzywnego wozu. Stracili na to sporo czasu. Szukali go bowiem za Stauton, a nie przed.

Carpenter okazał się chytrzejszy od swego kolegi. Po zatankowaniu zawrócił i unikając płatnej autostrady, cofnął się blisko pięćdziesiąt mil do Charlottesville. Tam starzejąca się kobieta zmieniła się w ciemnowłosego Latynosa z zabójczym wąsikiem. Na peryferiach miasta, cofając się, celowo rozbił o latarnię tył samochodu łącznie z bajerancką lampą, a następnie zajeżdżał do niedużego warsztatu.

- Naprawa zajmie dwa, trzy dni - powiedział właściciel. - Będę musiał zamówić lampę i zderzak. W naszej dziurze nie da się tego załatwić od ręki.

- Bardziej niż na czasie zależy mi na dyskrecji - powiedział półgłosem Joe. - Gdyby moja żona się dowiedziała, że stuknąłem jej gąbłotę, po prostu by mnie zabiła. Dlatego nie interesuje mnie zwrot ubezpieczenia, no i zapłacę gotówką.

Czego się nie robi w imię męskiej solidarności? Blacharz nie tylko przyjął szmal, ale jeszcze pożyczył przestraszonemu pantoflarzowi zdezelowanego pikapa.

- Będę za cztery dni. Do Bostonu i z powrotem - obiecał, ściskając utyłane smarem ręce swego dobroczyńcy.

Pikap wyglądał jak rzęch, ale miał całkiem niezły silnik. Jego kierowca musiałby mieć wielkiego pecha, żeby jego wóz i on sam zwrócił czyjąkolwiek uwagę, toteż zanim Sloane wpadł na pomysł, aby skontrolować sprzedaż wszystkich części zamiennych do cadillaców sixteen i dotrzeć do uczynnego mechanika, upłynęła kolejna doba.

W tym czasie, nie rzucając się nikomu w oczy, pojazd z kierowcą ściśle przestrzegającym dozwolonej prędkości dojechał do Hattiesburga. Stąd do Nowego Orleanu pozostało niewiele ponad sto mil. Tylko tyle i aż tyle. Niestety, w rzęchu poszła chłodnica. W maleńkim warsztacie, który znalazł, mogli

zając się naprawą dopiero rano. Joe rozważył kradzież kolejnego wozu (w końcu ile to roboty?), jednak poniechał tego pomysłu. Nowy Orlean ze swą mnogością mostów i wszędobylskich kamer nie bardzo nadawał się na miejsce, gdzie bezkarnie można poruszać się skradzionym autem. Poza tym nie miał siły walczyć ze zmęczeniem i sennością. Przedzierzgnął się więc znów w budzącego zaufanie staruszką i przespał noc w podłym zajeździe, naturalnie płacąc gotówką. Wóz zreperowano mu do południa. Joe czekał, licząc minuty, przekonany, że lada moment zostanie wytropiony. Ale udało się i wczesnym popołudniem dotarł do najbardziej francuskiego z amerykańskich miast.

Kto nie był nigdy na Bourbon Street o zmierzchu, ten nie jest w stanie wyobrazić sobie całej magii Dixielandu. Lokali, z których jazz po prostu wylewa się na ulice, i tych innych, gdzie do kufła piwa śniade „czokoladki” rozbierają się, tańcząc przy rurach, a następnie dyskretnie proponują kontynuowanie indywidualnych tańców na zapleczu. Przedstawiciele innych orientacji wabią kluby gejów i lesbijek, a atmosferę ogólnego rozbawiania z rzadka mąci niewielka pikiet Armii Zbawienia.

Lokal, w którym Ken Miles spędzał wieczór, znajdował się na Saint Peter Street, nieomal na rogu Jackson Square, którego część najbliższa katedrze nosiła imię papieża Jana Pawła II. Kilkaset metrów dalej, za bulwarem toczyła swe rozlane wody Missisipi. Dobra muzyka robiła na nim zawsze większe wrażenie niż seks, choć oczywiście nie miałby nic przeciwko, gdyby dwie piękne dziewczyny szalejące na elektrycznych fortepianach zaproponowały mu rozbieraną randkę. Niezależnie jednak od poddawania się rytmowi, nie potrafił wyłączyć mózgu i dlatego zamiast się odprężyć, zachodził w głowę, dlaczego już drugą dobę jest inwigilowany.

Oczywiście bardziej czuł obecność anioła stróża, niż go widział, co nie zmieniało istoty rzeczy. Czego mogła chcieć Firma, nagle okazując zainteresowanie jego osobą? A może nie był to nikt z Firmy? W każdym razie zmieniali się: najpierw była to młoda kobieta, potem zluzował ją samotny facet, sączący piwo. Pojawił się i trzeci: na pierwszy rzut oka Anglik,

w kraciastej marynarce, o intensywnie purpurowych policzkach. Korciło go nawet, żeby podejść i nawiązać rozmowę.

Ubiegł go kelner. Pojawił się jak duch i podając mu błękitne moji- to, powiedział konfidentycznie: „To od tej pani”. Uniósł głowę: siedząca przy barze atrakcyjna dziewczyna w kusej sukience uśmiechnęła się do niego pełną klawiaturą olśniewających zębów, jakich nie powstydziliby się żaden krokodyl, a następnie, kołysząc biodrami, zniknęła w drzwiach w głębi.

Normalnie zlekceważyłby propozycję. Chociaż rzadko otrzymywał propozycje od kobiet. Najdziwniejsze jednak było to, że prawie nikt nie wiedział o krótkim okresie jego życia, kiedy pijał błękitne mojito. Dopędził dziewczynę koło toalety i zauważył, że cała jej erotyczna kokieteria nagle zniknęła.

- Ktoś się chce zobaczyć z panem na podwórku. - Wskazała drzwi dla personelu. - Za trzy minuty.

Miles nie musiał czekać nawet dwóch. Joe, który ucharakteryzowany na groteskowego Angola od kwadransa obserwował salę, musiał najpierw zdemaskować inwigilatora. Okazało się to nietrudne. Kiedy Ken wstał, zaraz ruszył za nim facet o wyglądzie gliniarza przebranego za kowboja. Przy toaletach zatrzymał się niezdecydowany, ale zobaczył uchylone drzwi na podwórko. Był tak zaaferowany, że idący za nim Joe ogłuszył go z dziecinną łatwością i wepchnął do jakiejś pakamery. Potem wyszedł na podwórko.

- Domyślałem się, że to możesz być ty - powiedział Miles na jego widok. - Narozrabiałeś, chłopie.

Carpenter nie skomentował jego przenikliwości, tylko pociągnął go w stronę podziemnych garaży. Zadał tylko jedno pytanie:

- Ma pan z sobą komórkę?

Za odpowiedź musiał mu wystarczyć grymas oznaczający: „Uważasz mnie za idiotę?”.

- Chyba wie pan, że na mnie polują - powiedział Joe. - Stąd ta cała zabawa.

- A nie obawiasz się, że i ja należę do nagonki? - zapytał Ken.

- Bardziej się obawiam, że mogli nawet pana zaliczyć już do zwierzyny - odparł.

Miles nie polemizował.

W podziemnym garażu Joe pożyczył sobie jakiś wóz, ale porzucił go po zaledwie dwustu metrach, przesiadając się do zastępczego pikapu.

- W razie czego powie pan, że został przeze mnie sterroryzowany i uprowadzony.

- To przestępstwo federalne - zauważył Ken.

- Mnie i tak nic nie jest w stanie zaszkodzić.

W paru słowach opowiedział o swym kontrowersyjnym sposobie na powrót do Stanów. To pociągnęło konieczność wyznania wszystkiego, co zdarzyło się wcześniej. Na wszelki wypadek, relacjonując ostatnie wydarzenia w Etiopii, Joe pozostał przy wersji, według której Salam Abadi zginęła. Nie dlatego, że nie ufał Kenowi, ale przecież zawsze mógł on wpaść w ręce wroga, a ten dysponował całym arsenałem środków mogących skłonić do mówienia. Z zaskoczeniem przyjął do wiadomości, że były wicedyrektor CIA nic nie wiedział o akcji Butlera. I „rzezi niewiniątek”.

- Masz prawo mi nie wierzyć, ale daję ci słowo, że Firma nie miała pojęcia o tej operacji. Mieliśmy jedynie wytyczne, aby nie przeszkadzać działaniom Glenna podejmowanym, jak twierdzono, „na zlecenie rządu Stanów Zjednoczonych”. Zresztą chyba już wtedy zaczęło się odsuwanie mnie od części informacji, zakończone dymisją.

- Zna pan jej powód?

- Daj spokój z tym panem. Podległość służbowa się skończyła. Jestem Ken. A co do mego odejścia, to podejrzewano, że nie byłbym dość dyspozycyjny w tuszowaniu takich afer jak ta, o której mówisz. - Tu rzucił okiem na drogę. - Widzę, że wyjeżdżamy z miasta. Dowiem się, dokąd mnie zabierasz?

- Chciałbym odwiedzić pewną rezydencję w Alabamie, koło Bayou La Batre. Przypuszczam, że droga zabierze nam około trzech godzin.

- Bayou? A cóż tam jest interesującego poza krewetkami?

- Sądzę, że tam ukryli się Atkinsonowie zaraz po inscenizacji własnej śmierci.

- Sądzisz, że odegrali przed nami spektakl? Dopuszczałem taką możliwość, choć nie sądzę, by jeszcze tam na nas czekali.

- Ale są ich współnicy.

Ton, jaki pojawił się w głosie Milesa, wskazywał, że omawiane sprawy nie są mu obojętne. Mimo to odezwał się bardziej sceptycznie:

- Nadal nie wiem, w czym mógłbym ci pomóc. Jestem na emeryturze, pozbawiony dawnych możliwości.

- Potrzebuję rady i wsparcia. Poza tym wiesz dużo więcej niż ja.

- O czym?

- Choćby o losach mojego raportu na temat odnalezionego prorocтва.

- Przekazałem go wyżej. Do Białego Domu. Zapewne dokument trafił do rąk samego prezydenta. Ale aż do mojego odejścia nie było żadnej reakcji. Kiedy pytałem Carringhama, czy wyciągnięto jakieś wnioski praktyczne, słyszałem w odpowiedzi, że powołano grupę ekspertów od religii, prawa, historii i psychologii, która miała opracować wnioski w sprawie prorocтва. Jednak dopóki byłem na moim stanowisku, nie kiwnięto nawet palcem, żeby taka grupa powstała.

- Pewnie nie powstała do dziś. A sprawę odłożono *ad acta*.

- Mogłem się tego spodziewać. Jednak nawet mnie nie przyszło do głowy, że aby zapobiec ewentualnemu końcowi świata, postanowiono profilaktycznie zabić jego Zbawiciela.

Wyglądało na to, że mówi szczerze i że jest wstrząśnięty.

- Pozostaje jeszcze ustalić, kto dał takie zlecenie Butlerowi - westchnął na koniec.

- Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz. Bo chyba domyślasz się, kto tym steruje. Alvarado?

- Za chuda w uszach! Obstawiałbym profesora Carringhama.

- Carringhama? Ale to oznaczałoby, że rozkazy wydaje... - nazwisko prezydenta Stanów Zjednoczonych zawisło na ustach Joego.

- Niekoniecznie. Może okazać się, że obaj to jedynie

marionetki, którymi kieruje ktoś inny...

-Jeszcze chwila, a powiesz, że sam diabeł! - Carpenter usiłował się zaśmiać.

Jednak Ken bynajmniej nie żartował.

- Wcale tego nie wykluczam. Czy wiesz, że w ciągu ostatnich tygodni zginęło w naszym kraju trzech egzorcystów, a czwarty został uprowadzony? Jeśli kroi się jakaś szersza akcja satanistów, to czy działanie skierowane przeciwko tym, którzy wiedzą, jak z nimi walczyć, nie jest najbardziej rozsądnym posunięciem?

Bayou La Batre, miścina licząca niecałe trzy tysiące dusz, uchodzi za stolicę owoców morza całej Alabamy i jako taka zasłynęła w roli krewetkowego eldorado w powieści i filmie *Forrest Gump*. Joe i Ken przybyli tam nocą i skierowali się na drugą stronę rzeczki, która tworzy naturalny port. Jest to teren częstych zalewów, dodatkowo spustoszony przez huragan Katrina, choć nadal porośnięty przez wysokopienny las. Nie licząc Instytutu Oceanograficznego, zabudowań tam niewiele, a przeważnie są rozrzucone i ukryte w rzadkim lesie.

Carpenter zatrzymał samochód opodal tabliczki: „Droga prywatna. Wstęp wzbroniony”, sugerującej, że pan René Dóréal do gościnnych nie należy.

Do wyposażenia zabranego z domu Butlera należały noktowizyjne gogle, para butów wyczuwających miny przeciwpiechotne, a także radar wykrywający obecność urządzeń elektronicznych, takich jak na przykład kamery. Całość uzupełniał ręczny reflektor i kilka granatów ogłuszających.

Właściciel posiadłości należał najwyraźniej do tradycjonalistów niechętnych technicznym nowinkom. Co nie znaczy, że nie myślał o własnym bezpieczeństwie. Gdy doszli do ogrodzenia z drutu kolczastego, zaraz dobiegło ich ujadanie i pojawiły się trzy dobermany. Przygotowany na tę ewentualność Joe wystrzelił z pistoletu ładunki ze strzykawkami ze środkiem usypiającym i po chwili bestie już spały.

Sierp księżycyca oświetlał cały teren, przydając mu niesamowitego charakteru właściwego filmom grozy. Doszli na

skraj lasku i dostrzegli dom na palach położony kilkadziesiąt metrów od morza, w które wybiegał *pomost*. *Wszystkie okna pozostawały* ciemne i jeśli ktoś tam przebywał, zapewne spał głęboko. Pewien niepokój budziły w nich reflektory na słupach około stu metrów na zachód od domu; gdyby zapalała je fotokomórka, wraz z ich pojawieniem na całym terenie zrobiłoby się jasno jak w dzień.

Odczekali na wszelki wypadek jeszcze kwadrans, a potem ubezpieczając się nawzajem, skokami podbiegli do budynku. Reflektory nie włączyły się. Wokół domu znowu nie dostrzegli żadnej elektroniki. Ani kamer, ani alarmów... Miles uruchomił skaner termiczny. Już po chwili otrzymali ważną informację: dom nie był pusty. Pulsująca czerwona plama wskazywała narożny pokój na piętrze. Plama ta przypominała amebę: poruszała się pulsująco, rozpadła na dwie odrębne, po czym znów złąła się w jedno.

- Dwóch ludzi? Co oni robią? - szepnął Ken.

- Pieprzą się!

Carpenter nie miał zamiaru pozwolić im skończyć, wykorzystując otwarte okno, w którym brak było siatki przeciwko owadom, z szerokim rozmachem cisnął granat ogluszający. Potem z dobytą bronią pobiegli po drewnianych schodach na górę. Joe kopniakiem wywalił drzwi i wpadł do wnętrza. Miles, sapiąc, biegi *pół* kroku za nim.

Zaskoczeni kochankowie, przygwożdżeni światłem latarki Kena, nie stawiali oporu. Starszy, niewątpliwie sam pan Dóréal, i młodszy od niego ze trzydzieści lat Latynos o skórze koloru jasnego brązu, o najdłuższym członku, jaki Joemu zdarzyło się oglądać na żywo. Stali bardzo nadzy i okropnie przerażeni. Z uszu i nosów sączyła się im krew.

- Nie zabijajcie nas! - pisnął młodszy.

Carpenterowi zrobiło się głupio. A jeśli intuicja go zawiodła i miał do czynienia wyłącznie z miłośnikami ptaków (pod różnymi postaciami)? Jednak światło padające na ścianę wy dobyło inny znak: krzyż wiszący do góry nogami. Dóréal pojął, na co patrzy...

- Przekręcił się - wybełkotał.- O Boże! Co wyście zrobili?



Prawie ogłuchłem.

- Moje uszy! Nic nie słyszę! - zawtórował mu młody.

Intruzi zapalili światło.

- Ubierzcie się - powiedział Ken.

Gospodarz dość szybko odzyskiwał rezon.

- Jakim prawem wtargnęliście do mego domu?

- Agencja Bezpieczeństwa Narodowego - rzucił Joe.

- Nie popełniliśmy żadnego przestępstwa, jesteśmy tylko zwykłymi poławiaczami krewetek.

Wszyscy cofnęli się do salonu, na którego ścianach wisiały maski, totemy i włócznie wskazujące na fascynację właściciela kultami z Czarnej Afryki. W tym pomieszczeniu dowody trafności podejrzeń były jeszcze bardziej oczywiste. Pentagram wymalowany na podłodze, mnóstwo śladów stearyny, zapach dziwnych kadzidel...

- Każdemu wolno wierzyć w to, co mu się podoba - powiedział Dóréal, znowu wyprzedzając ich pytania. - Proszę pokazać mi nakaz. I legitymacje.

Joe przyklęknął: na podłodze zauważył smugi krwi, jakie mógł pozostawić ranny człowiek ciągnięty w stronę drzwi. Ślady były całkiem świeże.

- Ktoś musiał nagle opuścić prywatkę? - rzucił w stronę młodego.

Latynos cały drżał. Popracować nad nim chwilę, a pęknie. Ken wpadł na ten sam pomysł, bo poleciał Carpenterowi:

- Skuj ich, a potem przesłuchamy każdego gagatka z osobna.

- Ja wszystko powiem, ja nie mam z tym nic wspólnego - wyrzucił z siebie Latynos. - Jestem tylko męską kurwą.

Ryk, który wydarł się z ust René Dorevala, nie miał w sobie nic ludzkiego. Obaj byli agenci na moment osłupieli. Ta dekoncentracja wystarczyła. Satanista porwał ze ściany długą włócznie i przeszył nią swego partnera, sam zaś skoczył ku oknu. Ken wystrzelił za nim, ale ciało gospodarza było już poza framugą.

- Trafiłem - zawołał, zbiegając po schodach.

Wyskakując, Dóréal wiedział, co robi. Upadł dokładnie na

kłęb sieci leżących pod oknem. Natychmiast poderwał się i nie zważając na krew tryskającą z postrzelonego barku, zniknął między słupami, na których wzniesiono dom. Nie wiadomo skąd w jego rękę pojawiła się dubeltówka. Miles nie miał wyboru. Strzelił dwakroć: w pierś i brzuch. Nie mógł chybić.

Joe pozostał przy Latynosie. Nie mógł mu pomóc. Próba wyciągnięcia włóczni miałyby straszliwe następstwa. Chłopak modlił się po hiszpańsku, a kałuża krwi wokół niego powiększała się z każdą chwilą. Nagle otworzył oczy.

- Różaniec, mój różaniec! - wyszeptał naraz.

Wskazał wzrokiem drugi pokój. To, o co prosił, znajdowało się w nocnej szafce. Joe podał mu różaniec, a chłopak kurczowo zacisnął go w rękach.

- Książd. Nie pozwólcie, by zginął - szeptał. - To ma być w dzień szatana. Jezuu!

- Co ma być? Kiedy?

Ale wybałuszone oczy i wyszczerzone zęby mówiły wszystko. Latynos nie żył.

- Niespecjalnie nam się powiodło! - Ken, wyraźnie wściekły, powrócił na piętro. - Dwa trupy i żadnych informacji. Trzeba przeszukać dom.

Zbadanie laptopa Dorevala odłożyli na później. Jednak efekt przeszukania domu okazał się mizerny. Znaleźli, i owszem, *Biblię szatana* wraz z kilkunastoma publikacjami na podobny temat, trafili na zapas igieł i wosku, świadczący, że mieszkańcy nie gardzili praktykami voodoo, jednak nigdzie nie było żadnych zapisków, kontaktów, namiarów. Dóréval nie używał komórki, a jego zwykły telefon nie posiadał automatycznej sekretarki ani rejestratora roznjów. Dodatkowy dyskomfort stwarzała obawa, że sąsiedzi usłyszeli odgłosy wystrzałów. Jednak czas płynął, a nic nie wskazywało, by ktokolwiek wezwał policję.

Czy czegoś nie przegapili? Odnalezione ślady krwi nie dawały Carpenterowi spokoju, podobnie jak ciemna sutanna znaleziona w szafie gospodarza. Czyżby służyła mu do czarnych mszy? Kolejne ślady poso- ki zauważył na schodach i tak dotarł aż do budynków gospodarczych położonych bliżej morza. Ślady

stóp kończyły się ślepo na skraju piaszczystej wydmy. Wystarczyło jednak rozgarnąć piasek, aby i jego oczom ukazała się metalowa kłapa. Zawołał Milesa. Unieśli ją wspólnie. W głębokiej jamie natychmiast dostrzegli związanego starego człowieka. Był nagi i śmiertelnie przerażony.

- Zabierzcie je, zabierzcie! - jęczał przez nieszczelny knebel.

W wilgotnym dole roilo się od krabów; większość z nich udało się nieborakowi rozgnieść własnym ciałem, ale pozostałe kłębiły się, szarpiąc jego skórę.

Joe znalazł drabinkę i po chwili poraniony nieszczęśnik wyciągnięty został na górę. Widać było od razu, że był torturowany: świadczyły o tym wybite zęby, pozrywane paznokcie. Ktoś wypalił mu papierosem swastykę i odwrócony krzyż na plecach. Wyciągnięty wydawał się kompletnie nieprzytomny i powtarzał w kółko: „Bóg zapłać, Bóg zapłać!”.

- Ksiądz Simon Antonelli? - zapytał Ken. - Proszę się nie obawiać, nic więcej już księdzu nie grozi.

Carpenter zdumiony popatrzył na Milesa, ale natychmiast zorientował się, że właśnie odnaleźli zaginionego egzorcystę.

Obaj agenci nie potrafili się nadziwić, ile hartu ducha kryło się w drobnym ciele tego starca. Po trzech dniach tortur, przesłuchań, bicia, głodzenia i wreszcie wydania na torturę krabów egzorcysta powinien nie żyć, a przynajmniej doznać pomieszania zmysłów. Tymczasem wystarczyło opatrzeć rany, dać gorącej kawy i odrobinę odgrzanej tortilli, a *padre* Antonelli wrócił do sił i nader rezolutnie odpowiadał na zadawane pytania. Porwano go z ulicy obok parafii, w której był rezydentem. Narzucono mu jakiś worek na głowę, potem uśpiono; nie wiedział, jak znalazł się na farmie. Skąd czerpał taką siłę? Z modlitwy!

- Cały czas czułem Bożą opiekę - powtarzał. -1 nie pomyliłem się. Modlitwa jest potężną bronią. Zresztą nie odczuwałem nienawiści do pana René. To biedny człowiek, opętany...

- Przez diabła?

- Wolę powiedzieć: przez złego ducha. Cały czas toczyłem o niego walkę i momentami byłem bliski zwycięstwa.

- Dlaczego księdza porwali?

- Początkowo sam zadawałem sobie to pytanie. Dlaczego mnie nie zabili, skoro tak postąpili z innymi?

- Słyszałem, że były trzy takie wypadki - zauważył Miles.

- Dwadzieścia trzy! - poprawił Antonelli. - Tyle zdarzyło się w ciągu ostatniego kwartału, tyle że poza nielicznym gronem nikt nie wiedział, że byli to egzorcyści.

- Nie miałem pojęcia, że w ogóle jest was tylu! - wyrwało się Carpenterowi.

- Wobec ogromu zagrożenia Kościół też musiał się zmobilizować - odparł ksiądz. - Armagedon jest bliski. I oni doskonale o tym wiedzą. Byli tak zadufani i tak pewni, że nie wydadzą się żywy z ich łap, że mówili o wszystkim otwarcie.

- To znaczy?

- Chępliwi się, że przed paru tygodniami gościł u nich sam sprawca zniszczenia Rzymu.

- Mówili, gdzie się udał dalej?

- Aż tak szczerzy nie byli. Zresztą nie sądzę, by wiedzieli; w ich organizacji mieli status dość pośledni. Panu René wyrwało się jedynie, że wkrótce dojdzie do wielkiego zwycięstwa również w Ameryce. Ale żadnych konkretnych nie podał.

- Czy to może oznaczać jakiś wielki zamach terrorystyczny? - pytał Miles.

- Nie wiem, ale sądzę, że miał na myśli coś, co odmieni stosunek sił na ich korzyść.

- Czy mówił coś o dniu diabła? - Carpenterowi przypomniało się ostatnie zdanie kochanka Dorevala.

Egzorcysta pokręcił głową. Joe jednak nie zrezygnował.

- A mówi księdzu coś takie określenie?

- Dzień diabła. - Antonelli zmarszczył czoło. - Sądzę, że mógł mieć na myśli 13 grudnia, obchodzony w Kościele katolickim jako dzień świętej Łucji. Wie pan, kim była święta Łucja? - zwrócił się do Kena.

Miles wzruszył ramionami.

- Jestem protestantem i mój stosunek do świętych określiłbym jako ambiwalentny.

- Słyszałem, że była to męczennica z Syrakuz, która zginęła w roku 304 podczas wielkich prześladowań zarządzonych przez

cesarza Dioklecjana - powiedział Joe zadowolony, że może się popisać swoją wiedzą historyczną. - Dziewczyna ślubowała czystość i kiedy odrzuciła zaloty pewnego Rzymianina, ten doniósł, że jest chrześcijanką. Można powiedzieć, że była traktowana podobnie jak wielebny ksiądz. Torturowana i zmuszana do wyrzeczenia się swojej wiary...

- Protestuję przeciw takim porównaniom - przerwał egzorcysta. - Nie torturowano mnie z powodu mojej wiary, tylko wiedzy.

- Słucham? - Ken i Joe aż podskoczyli.

- Sataniści zamierzali wydobyć ze mnie wszystkie metody, jakimi posługujemy się w walce z duchem nieczystym. Ponadto chcieli, bym wyjawiał nazwiska wszystkich tajnych egzorcystów, jakich znam...

- Chcieli? - ożywił się Miles. - Czy to znaczy, że w przesłuchaniach uczestniczył również ten chłopak?

- Juanito to biedna, zbląkana dusza! Gdyby aż tak się nie bał, zapewne pomógłby mi w ucieczce. Nie, na farmę przyjeżdżał jeszcze zwierchnik pana René, jakaś znana figura, bo cały czas podczas przesłuchań zakrywał twarz czarną kominiarką. W dodatku musiał być bardzo zajęty, gdyż przebywał tu ledwie parę godzin wieczorami, po czym znikał...

- Wczoraj też był?

- Niestety, był! - Antonelli westchnął ciężko, wspominając własne cierpienia.

- A wie ksiądz, jak tu się dostawał? Łądem? Wodą?

- Przylatywał helikopterem; włączali wtedy wszystkie reflektory. Słyszałem też silnik, ale zawsze trzymali mnie z dala od okna, więc ani razu nie widziałem tej maszyny...

Byli agenci wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- A wracając do świętej Łucji: skazano ją na zamknięcie w domu publicznym i uprawianie prostytucji. Wtedy, aby się oszpecić, wydłubała sobie oczy. Wedle innej wersji wóz, którym miano ją zawieźć do zamtuza, przymarzł do ziemi. I nie pomagało *nawet polewanie wrzącym olejem*. W końcu oprawcy ścięli jej głowę. Miała zaledwie dwadzieścia trzy lata. Uznaje się ją za patronkę walki z ciemnością. To jeden z paradoksów,

podobnie jak ten, że nasz czołowy wróg, ksiązę ciemności, przekornie nosi imię Lucyfer.

- „Niosący światło” - przetłumaczył Joe.

- Dlatego 13 grudnia, dzień kiedyś uznawany za najkrótszy w roku, jest uważany za kulminacyjny moment walki dobra i zła. Podobno siła diabelstwa jest wtedy największa, stąd jest to czas szczególnie sprzyjający czarom i czarnej magii.

- Zabobony! - prychnął Miles.

- Ale dzięki nim możemy się domyślać, na kiedy szykują swoją akcję - odparł Carpenter - i spróbować im trochę poprzeshkadzać. A zaczniemy w sposób dość perfidny.

Wśród sprzętu należącego do Butlera znalazła się doskonała cyfrowa kamera. Joe usadził egzorcystę w zakrwawionej koszuli i kazał mu opowiadać o torturach, satanistycznych obrzędach i zbrodniach, a także o jego losach od chwili porwania. Problem stwarzał batalistyczny finał: egzorcysta wzbraniał się przed kłamstwem nawet w słusznej sprawie i Carpenter musiał rozwinać całą swą umiejętność przekonywania... W końcu stanęło na tym, że ojciec Simon zezna, iż Juanito ujął się za nim i zagroził swemu szefowi pistoletem, a ten przebił go włócznią. Ksiądz wykorzystał ten moment na ucieczkę, ale ścigany zabił Dorevala z dubeltówki w samoobronie.

Po nagraniu wyprowadzili z szopy terenowy wóz Dorevala i ksiądz wyruszył nim do Mobile. Miał tam oddać dysk dziennikarzom miejscowej stacji telewizyjnej, a dopiero potem zgłosić się na policję.

- A panowie nie pojedą ze mną?

- Obawiam się, że nie byłoby to najszybsze rozwiązanie. Na razie mamy największe szanse, pozostając na wolności. Spróbujemy w miarę naszych możliwości roztoczyć nad księdzem opiekę.

Wyjechali koło szóstej rano. Najpierw egzorcysta, potem oni dwaj pikapem. Carpenter chętnie zostałby dłużej. Wręcz marzył, żeby poczekać i zacząć się na tajemniczego gościa.

- Byłaby to absolutna głupota - zgromił go Miles. - Jak sądzisz, ile mamy przewagi nad pościgiem? Pół dnia, parę

godzin? Istnieje prostszy sposób, by się dowiedzieć, kto przez trzy wieczory z rzędu składał wizytę u „poławiacza krewetek”. Mamy w końcu laptop Butlera. I szerokie możliwości wejścia do systemu DEA, a także do codziennych raportów ochrony wybrzeża.

- Zorientują się, że tam zaglądamy.

- Ale nasz sygnał pięć razy okrąży kulę ziemską i jeśli namierzą punkt, z którego wchodziliśmy do sieci, to dopiero za jakieś dwie godziny. Zorientują się, że w chwili połączenia byliśmy w centrum Mobile. Nic więcej!

Dane, które uzyskali, wstrząsnęły nimi. Helikopter należał do władz stanowych, a wieczorami korzystał z niego kongresmen Harry King, demokratą z Alabamy, znany z ostrych wystąpień w obronie najbardziej „postępowych wartości”.

-Jeżeli jeszcze się okaże, że pan kongresmen tkwi po uszy we wspólnocie miłośników ptaszków, to wcale się nie zdziwię - rzekł Miles.

-Jego tam nie ma. Ale jego żona naturalnie figuruje na liście - odparł Joe.

Zanim rozłączyli się z Internetem, ściągnęli jeszcze zdjęcia satelitarne wybrzeża wraz z helikopterem lądującym na rzeźnię w tym momencie oświetlonym placyku koło domu Dorevala. Całość zapakowali w plik i rozesłali do wszystkich stacji radiowych i telewizyjnych, a także do redakcji miejscowych dzienników.

Tymczasem minęła dziesiąta. Godzina, o której przesyłka ojca Simona powinna znaleźć się w telewizji. Zatrzymali samochód w jakimś ustronnym zaułku i włączyli przenośny telewizorek. Działo się, że hej! Nagranie egzorcyisty było już nadawane po raz drugi. Na wielu widzach świadectwo księdza zrobiło piorunujące wrażenie. Na drugiej połowie ekranu widać było migawki z rozmaitych zdarzeń poranka, pokazano Antonellego wchodzącego do gmachu komendy, policję pędzącą w stronę domu Dorevala.

O dziesiątej piętnaście w transmisji na żywo ujrzano, jak kongresmen King ucieka przed dziennikarzami.

- Czy jest pan satanistą?! - wołała za nim jasnowłosa dziennikarka Fox News, ale jedyną odpowiedzią pozostał łomot zatrzasniętych drzwi.

- Udało się! Teraz oni mają większe kłopoty niż my - powiedział Ken i poradził Carpenterowi, aby ruszał. - Zraniliśmy bestię, ale to może ją tylko rozsierdzić.

- Gdzie mam jechać? - zapytał Joe.

- Na razie do Atlanty. Musimy dobrze przycząić się przed następnym ruchem. Tym bardziej że nie wiemy, jaki będzie.



## ROZDZIAŁ XVI

### PRÓBA OGNI

Billy Sloane szedł tropem swego dawnego kolegi z wprawą doskonałego posokowca. Niestety, ciągle znajdował się co najmniej pół dnia za Carpenterem. W południe 12 listopada FBI namierzyło warsztat zamawiający tylną lampę i zderzak cadillaca. Sloane, nie wahając się ani chwili, poleciał do Charlottesville. Mechanik zmiękł bardzo szybko. Podał rysopis klienta, upierając się, że był dość niski. Billy uśmiechnął się: jego były partner doskonale potrafił się garbić. Potem przesłuchiwany, dobrze nastraszony, powiedział jeszcze o wynajętym pikapie.

- Wiadomo, dokąd chciał jechać?

- Mówił o Bostonie, ale pojechał chyba na południe. Opony zimowe kompletnie go nie interesowały.

Tego, że Carpenter przybył do Nowego Orleanu, dowiedział się wieczorem, tyle że cała jego dedukcja okazała się niepotrzebna. Po brawurowej akcji wyprowadzenia Kena Milesa z hotelu na Bourbon Street nikt nie miał wątpliwości, kto tego dokonał. Pozwalało to pani Alvarado ogłosić, że ścigany przestępca „porwał” byłego wiceszefa CIA, co nadało priorytet całej operacji. Jednak blokada dróg i autostrad nie przydała się na nic. Ptaszek wyfrunął, i to nie wiadomo, w jakim kierunku.

- Jak myślisz, co zrobi? - zastanawiał się Carter, lecący do Luizjany razem ze Sloane'em - Ukryje się?

- Raczej będzie kontynuował śledztwo przeciwko satanistom.

- Tylko gdzie ich będzie szukać? Ślad urywa się zaraz po starcie z lotniska pod Tallahassee.

Carter nie dysponował ornitologiczną bazą Carpentera.

- A przeżył ten pobity dziennikarz z Georgii, który podobno

tropił wyznawców szatana i zdrowo za to oberwał? - zapytał Bill.

- Charles Kendall. Ostatnie informacje mam sprzed kilku dni. Nie tylko przeżył, ale nawet odzyskał przytomność.

- Jest nadal w szpitalu w Mobile?

- Zapewne.

- Lecimy tam.

Paradoksalnie na lądowisku szpitalnego kompleksu przy Uniwersytecie Południowej Alabamy znaleźli się dokładnie w tym momencie, w którym obaj poszukiwani opuszczali miasto ośmioletnim fordem mondeo ukradzionym pod centrum handlowym. Zresztą do rozmowy z Kendallem nie doszło. Okazało się, że dziennikarz został wypisany poprzedniego dnia i straciwszy na jakiś czas ochotę do śledzenia czegokolwiek i kogokolwiek, powrócił do rodzinnego Savannah.

Inna sprawa, że wyznania księdza Antonello, a następnie oskarżenie kongresmena Kinga skutecznie zaabsorbowały całą ich uwagę. Dowód w postaci przelotów helikoptera dobry prawnik mógłby próbować obalić, jednak egzorcysta nieomylnie rozpoznał głos „brudnego Harry’ego”, jak okrzyknęły go media na podstawie pięciu wystąpień innych polityków.

Te komplikacje nie oznaczały dla służb rezygnacji z pościgu. Żmudne namierzanie przez NSA pozwoliło następnego dnia precyzyjnie zlokalizować miejsce pobytu Carpentera. Nie było to jednak jednoznaczne z możliwością jego ujęcia. Kiedy Sloane zgromadził już cały materiał, łącznie ze zdjęciami satelitarnymi, i zadowolony z siebie połączył się z dyrektorem Alvarado, mówiąc: „Mamy ich!”, usłyszał najdziwniejszą odpowiedź na świecie:

- I co z tego, kiedy są nieosiągalni?

Jeśli Ken Miles myślał o skutecznym ukryciu się, to farma Beautiful Tara (jedna z kilkudziesięciu ubiegających się o miano tej, na której kiedyś, zanim wszystko przeminęło z wiatrem, żyła Scarlett O’Hara) nadawała się idealnie. I to nie ze względu na jakieś szczególne właściwości terenowe. Posiadłość należała do Chestera Lawrence’a IV - człowieka, z którym

musiał się liczyć każdy, z prezydentem Stanów Zjednoczonych włącznie.

I nie chodziło nawet o fakt, że jeden z przodków Chestera przyплыł na „Mayflower”, a drugi należał do ekskluzywnego grona szczęśliwców, którzy przeżyli pierwszą zimę w Jamestown dzięki pomocy współplemieńców Pocahontas. O pozycji w Stanach Zjednoczonych decydowały od zawsze pieniądze. Im starsze, tym lepsze. Chester Lawrence I zaczynał prawie od zera. Był wprawdzie synem generała Konfederacji, ale niestety z nieprawego łoża, zrodzonym z romansu z piękną kwarteronką z jedną czwartą krwi negroidalnej, co wedle standardów Południa czyniło go wręcz Murzynem. Chester „Bastard” nie przejmował się tym faktem; dorobiwszy się na dostawach dla wojska, odkupił ojcowską farmę, ożenił się ze zbiedniałą szlachcianką z Polski (w kołach amerykańskiej socjety posługiwała się tytułem: hrabina de Kowalska) i zapewnił swemu synowi Chesterowi II (1868-1945) znakomity start. Ow, absolwent Harvardu, dzielnie pomnażał ojcowski majątek metodami stosowanymi przez „Bastarda”. Nie przywiązywał się do żadnego interesu. Kiedy inni zostawali królami węgla, stali czy kolei, on umiejętnie, w zależności od koniunktury, stawiał na rozmaite gałęzie przemysłu. Wcześniej zaczął interesować się przemysłem naftowym, potem wszedł w raczkującą produkcję samochodów, a jego następca Chester IV rocznik 1915 (Chester III poległ bohatersko w pierwszej wojnie światowej, koniecznie pragnąc przetestować samolot własnej konstrukcji w warunkach bojowych), szedł dalej tym kursem: inwestował w chemię, później w przemysł, jeszcze później w media, a na koniec w sieć domów towarowych. W wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat przekazał większość majątku Chesterowi V, urodzonemu w roku 1940, a sam zaszył się w Georgii, obiecując dożyć co najmniej stu dziesięciu lat.

Tu warto nadmienić, że stosunki ojca z synem nie przedstawiały się najlepiej: stary był konserwatywny, młody wściekle postępowy. Może dlatego, że w szóstym pokoleniu ujawniły się cechy murzyńskich przodków. Chester Lawrence V miał wełniste włosy, płaski nos, mięsiste wargi i dość ciemną

karnację. Ksiądz Mendel dopuszczał wprawdzie takie figle genetyki, ale miliardderowi nasuwało to brzydkie podejrzenie, że lady Lawrence mogła puścić się z własnym szoferem albo innym drwalem.

Najważniejsze jednak, że Miles i Lawrence od trzydziestu lat pozostawali w doskonałych stosunkach, a piętrowy domek myśliwski na skraju zagajnika, w którym multimilioner urządził otwarte zoo, zawsze stał dla niego otworem.

Tak było i tym razem. Majordomus wysłany przez Chestera IV czekał przy bramie, sam właściciel zaś zapraszał na kolację.

- Do licha - zawołał Joe, wychodząc spod prysznic - chyba zwariowałem. Widzę za oknem żyrafę.

Ken nie wydawał się zdziwiony. Na terenie liczącego kilka tysięcy hektarów matecznika żyły także lwy, tygrysy, antylopy, słonie i nosorożce, których cyklicznym *odstrzałem zajmował się* Chester Młodszy.

O wiele większe wrażenie zrobiły na nich ostatnie wiadomości. Stacje telewizyjne w kółko pokazywały podjazd do domu kongresmena Kinga.

„Samobójstwo satanisty!” - krzyczały czerwone napisy na dole ekranu.

Okazało się, że po ucieczce przed dziennikarzami King odbył krótką rozmowę z żoną, po czym oboje zażyli silną truciznę. Służba wprawdzie wezwała lekarzy, ale ci nie mieli już nic do roboty.

Carpenter uruchomił komputer i ustalił, że ostatnią czynnością, jakiej dokonał deputowany do Kongresu Stanów Zjednoczonych, było zawieszenie na stronie ornitologicznej głosu pawia. Czy w ten sposób zawiadamiał współwyznawców, co zamierza zrobić? A może udzielał im jakiejś ostatniej wskazówki? W każdym razie istotny trop wiodący do sprzysiężenia satanistów został zdecydowanie przerwany.

\*

Florence Alvarado była zdenerwowana. Więcej: przerażona! Sytuacja ją przerastała. Coraz częściej dochodziła do wniosku,

że dużo by dała, aby móc zrezygnować z tych wszystkich zaszczytów, wrócić do Nebraska .. Ale zdawała sobie sprawę, że nie ma dla niej odwrotu. Za wiele się wydarzyło. Toteż wzięła się jak schwytyany piskorz, czując, jak maleje jej swoboda manewru. Jej szef, dotychczas niezajmujący się operacjami bieżącymi, naraz zaczął wtykać nos we wszystkie akcje. FBI miało coraz więcej wątpliwości co do podejmowanych działań, a Sloane wydawał się prowadzić śledztwo w dwóch kierunkach: z jednej strony niby ścigał Carpentera, ale z drugiej starał się też zrozumieć szerszy kontekst. I jak miała mu tego zabronić?! W dodatku nacisk Białego Domu ciągle się wzmacniał. To prawda, Carringhamowi zawdzięczała swój awans, jednak dotąd myślała, że chodzi o jej profesjonalizm i lojalność, że owszem, od czasu do czasu wyświadczy jakąś drobną przysługę. Tymczasem sprawy poszły za daleko. Wyciszona sprawa spisku powróciła: trupy w domku na plaży, oszalały ksiądz, samobójstwo Kingów...

Jednak kiedy Sloane wytropił wreszcie Carpentera i zlokalizował go w pałacu Chestera Lawrence'a, dęwidziła się, że FBI otrzymało polecenie nieinterweniowania.

- Mamy pilnować farmy, ale nie wkraczać - powiedział Carter.

Czy dlatego, że razem z Joem przebywał tam były wicedyrektor Miles, wobec którego nikt nie wysuwał żadnych zarzutów? W dodatku Ken w swej bezczelności zadzwonił do niej z Georgii i zapytał, czy mógłby jej jakoś pomóc. Powiedziała, że jeśli będzie miała problemy, to się odezwie.

Pół godziny potem skontaktował się z nią prawnik Lawrence'ów z pytaniem, czy są, a jeśli są, to jakie zarzuty przeciwko Joemu Carpenterowi. Bo jeśli Firma koniecznie musi go przesłuchać, jego klient zgadza się odpowiedzieć na wszystkie pytania, zwłaszcza dotyczące operacji grupy „Olimp” w Etiopii, ale może się to odbyć wyłącznie na terenie rezydencji Chestera IV w obecności adwokatów, a w wypadku jakichkolwiek działań siłowych nagrania jego zeznań trafią do wszystkich możliwych telewizji. Florence odparła, gryząc z wściekłości wargi do krwi, że nie widzi w tej chwili

konieczności przesłuchań, tym bardziej że o żadnej tajnej operacji w Afryce nie słyszała, a grupa „Olimp” nie istnieje i nigdy nie istniała.

Miała polecenie, żeby czekać, i to było najgorsze. Nadal nie udało się jej wyjaśnić, na czym polegały ostatnie operacje pułkownika Butlera. Po dramacie nad Nilem pozostała jeszcze sześciuosobowa grupka jego współpracowników, kierowana przez Armanda Borela i rezydująca w centrali w Rio.

Florence Alvarado miała nadzieję spotkać się Borelem na Kajmanach (nikt z grupy nie kwapił się jakoś z przylotem do Stanów). W zamian za amnestię Borel obiecywał pełne informacje o tajnych akcjach grupy „Olimp”. Jednak w przeddzień spotkania wynajęty przez niego samolot rozbił się nad Morzem Karaibskim, niedaleko wybrzeża Wenezueli. Według zdjęć satelitarnych powodem mogła być niewielka rakietka odpalona z wenezuelskiego interioru. Oczywiście miejscowy reżim wszystkiemu zaprzeczył.

Tymczasem 15 listopada do gości w Tarze dołączył jeszcze ksiądz Simon Antonelli; cała trójka wydawała się pochłonięta wyłącznie przygotowaniami do Dnia Dziękczynienia i nie zamierzała wyściubić nosa poza granice posiadłości.

Starając się coś zrobić, Florence Alvarado próbowała jeszcze skontaktować się z Tomem Carringhamem, ale prezydencki doradca nie miał dla niej czasu. Zadzwoiła nawet do Wilcoxa.

- Czyżbyś potrzebowała, córko, duchowej pociechy?

Nie potrafiła nawet odgadnąć, czy pastor mówi serio, czy żartuje.

Tymczasem po wydarzeniach w Bayou La Batre zaniedbana sprawa wątku satanistów ożyła. Przez cały tydzień FBI sprawdzało wszystkich „ornitologów”. Nie znaleziono jednak żadnych dowodów spisku ani nawet satanistycznych praktyk. Diabelska parka Niko i Vesna jakby się pod ziemię zapadła.

Co nie znaczy, że nic się nie stało. Zło wybuchło ze zdwojoną siłą w przeddzień święta. Były to dziesiątki, a może setki wydarzeń, które dostarczając newsów dziennikom, poczęły wstrząsać Ameryką z niespotykaną wcześniej mocą. Czy ludzi ogarnęło szaleństwo? Nagle rzeczywistość stała się remakiem

sensacyjnych filmów klasy B.

Facet z piłą mechaniczną, dwudziestodwuletni portier klubu narciarskiego w Aspen, morduje bez powodu kilkunastu młodych narciarzy. Potem popełnia samobójstwo (jedenaście ofiar).

San Antonio. Gospodyni domowa uzbrojona w ciężki karabin maszynowy sieje grozę przy wejściu do supermarketu. Zastrzelona przez policję (dwadzieścia trzy ofiary).

*Okolice Denver. Nastolatek na pługu śnieżnym kasuje kilkanaście samochodów i strąca w przepaść autobus szkolny (czterdzieści trzy ofiary).*

San Diego. Małoletni piroman podpala dyskotekę na dachu luksusowego hotelu i uszkadza wszystkie windy (sto czterdzieści cztery ofiary).

Nagromadzenie tych faktów wywoływało coraz bardziej gorące dyskusje wśród mieszkańców domku myśliwskiego.

- Co łączy sprawców tych i innych podobnych incydentów? - zastanawiał się Miles. - Chyba tylko stosunkowo młody wiek. Poza tym są to osoby różnej płci, białe, czarne i popielate, z różnych środowisk, o różnym poziomie wykształcenia. Wszystkie, i owszem, wychowały się na grach komputerowych, ale nigdy dotąd nie uzewnętrzniały swojej agresji.

- Diabeł pokazuje swoją moc. Próbuje sprawdzić, czy zostanie rozpoznany - ocenił egzorcysta. - Ci biedacy byli po prostu opętani.

- Z tego, co wiem, żaden ze sprawców nie leczył się psychiatrycznie - odezwał się Joe. - Nie mieli kłopotów z narkotykami ani z alkoholem.

- Opętanie jest chorobą ducha, nie ciała - stwierdził ksiądz Antonelli i dorzucił: - Wem, bo sam to przeszedłem.

Popatrzyli na niego zdumieni.

- Wele lat temu znalazłem się w mocy Złego - rzekł. - Byłem wtedy młodym dziennikarzem pewnej popularnej popołudniówki wychodzącej w Neapolu, mówiąc otwarcie: szmaty zajmującej się zbieraniem wszelkich brudów. Żyłem z dnia na dzień, miałem liczne kochanki i... - spuścił oczy -

kochanków. Płaciłem pieniądze za informacje policjantom, a szmal brałem od kamorry. Byłem bliski zatrąty, jako że dodatkowo przepelniała mnie jeszcze pycha, ta matka wszelkich grzechów.

I paradoksalnie to ona mnie uratowała. Umyśliłem sobie bowiem, że zdemaskuję pewnego popularnego księdza z San Giovanni Roton- do, cieszącego się opinią wizjonera i cudotwórcy. Dla mnie był jeszcze jednym krwiopijną czerpiącym profity z ludzkiej naiwności. Przecież nawet Watykan odnosił się do niego z najwyższą rezerwą. Ledwie go znałem, ale nienawidziłem z całej duszy i pragnąłem zdemaskować.

Moja nienawiść była tak wielka, że własnoręcznie wydrapałem sobie płytkie rany na rękach i nogach, które miały udawać stygmaty. Myślałem, że upodobniając się do tamtego mnicha, zyskam zaufanie. Ależ byłem głupi. Przejrzał mnie w sekundę.

„Jaki ty jesteś biedny” - powiedział, biorąc moją głowę w swoje ręce. Zawylem, czy raczej zawyło to, co we mnie tkwiło. Jego dotyk był niczym ognista obręcz. Wyrwałem się z tego uścisku, złorzeczając mu w językach, które miałem poznać dopiero po latach studiów: po hebrajsku, aramejsku, chaldejsku. Chciałem uciec, ale *padre* sprawił, że nie mogłem otworzyć drzwi. Cały czas przemawiał do mnie zdecydowanie, wzywając Złego, aby opuścił moje ciało. Ja tymczasem gryzłem i kopałem, miotając najstraszliwsze wyzwiska. Trwało to równo trzy dni, które spędziliśmy, nie jedząc i nie pijąc, aż wreszcie Azazel, bo tak kazał się nazywać ów demon, mnie opuścił. Leżeliśmy razem z *padre* jak topielcy, trzymając się jednego starego różańca, który unosił nas na powierzchni świadomości.

- Kim był ten ksiądz?

- *Padre* Pio, całkiem niedawno wyniesiony przez Kościół na ołtarze - odparł Antonelli. - Uratował wielu takich jak ja. Wówczas jeszcze myślałem, że wrócę do normalnego życia, do Neapolu, do mojej redakcji... Ale nie potrafiłem. Po pół roku prób i wahań wstąpiłem do braci dominikanów. Później okazało się, że mam zadatki na egzorcystę.



- Poznać wroga to połowa sukcesu - zgodził się Carpenter.

- Jak dochodzi do opętania? - zapytał Miles. - Czy istnieją jakieś szczególne predyspozycje?

- Każdy przypadek jest inny. Często bywa to młodzieńcza ciekawość, o której powiadają, że jest pierwszym stopniem do piekieł; sprzyjają temu zabawy w czary, wróżby, czarne msze, które niepostrzeżenie zmieniają się w coś dużo groźniejszego. Podobnie jest z grami komputerowymi, gdy w pewnym momencie człowiekowi jeszcze się wydaje, że to on gra, podczas gdy to inni grają nim. Tak samo bywa z uzależnieniem od stron pornograficznych... Człowiek nosi w sobie naturalną odporność na zło, ale jeśli ją mocno osłabi...

- Pojawia się opętanie!

Egzorcysta pokręcił głową.

- Opętanie widoczne gołym okiem to stan szczególny. Występuje ono przeważnie wtedy, kiedy pod wpływem czynników zewnętrznych zło obecne w człowieku czuje zagrożenie. Tak jak gorączka jest objawem walki organizmu z infekcją. Tyle że chorobę organizm może zwalczyć bez pomocy z zewnątrz, a uporać się z demonami samemu potrafi niewielu. Dlatego jesteśmy tak potrzebni i dlatego tak nas nienawidzą.

- Bo potraficie wypędzić demona?

- Teoretycznie jest w stanie dokonać tego każdy ksiądz lub nawet świecki wielkiej wiary o czystej duszy. Stanowimy dla demonów większe zagrożenie, ponieważ umiemy je rozpoznać wtedy, kiedy inni ich nie rozpoznają. Zło może tkwić w człowieku latami, pożerając go od środka, nie ujawniając się na zewnątrz.

- A nas jak by ksiądz zakwalifikował? - zapytał Carpenter.

- Józef przeszedł kiedyś głęboką przemianę - oświadczył Antonelli i przymknął oczy, po czym zaczął mówić bardzo szybko: - Widzę drogę, wioskę w górach, dookoła płonące domy. Umierającą kobietę. Ty obok niej płaczesz. Płaczesz i myślisz: „Czy to kara za to, co dotąd uczyniłem?”.

- Nieprawda - gwałtownie zaprzeczył Joe. - Nie myślałem tak.

- Twoja dusza tak myślała - odparł z uśmiechem ksiądz. -

Czy nie jest prawdą, że od tamtej chwili nie potrafisz już zabijać, a co ważniejsze, nie chcesz? Pojawiła się też druga kobieta i jej dziecko, za które gotowy jesteś oddać życie.

Carpenter już się nie odezwał.

- A ja? - zapytał Miles. - Nie jestem przecież dobrym człowiekiem. Nie wierzę w Boga. Czyż nie byłbym doskonałym siedliskiem dla diabła?

Ojciec Simon obrócił ku niemu twarz. Oczy miał nadal przymknięte.

- Nie byłbyś. Ale to nie twoja zasługa. Wychowano cię jako człowieka prawego i cokolwiek czyniłeś, uważałeś, że robisz tak dla dobra swego kraju... A co do złego: och, próbował się do ciebie dobrać wielokrotnie. Pamiętasz? Wtedy, kiedy chciałeś rozwalić tych ludzi...

- Kiedy? - Ken pobladł.

- Woska, palmy, grube liście bananowców, ponad tobą śmigłowiec, drabinka - mówił ksiądz, znowu zapadając w trans.

- Jest trzech jeńców i dziewczyna, brudni, zakrwawieni, nie możesz ich z sobą zabrać, nie możesz puścić wolno. Unosisz broń...

- To były łotry z Wetkongu, z ich rąk zginął mój najlepszy kumpel! - wykrzyknął Ken.

- A jednak ich nie zabiłeś, pozwoliłeś uciec.

- Nie mogłem, coś stanęło między nimi a mną.

- Twoja matka - powiedział cicho Simon Antonelli. - Twoja matka, która nieustannie oręduje za tobą, chroniąc cię lepiej niż kevlarowa kamizelka kuloodporna.

- Moja matka zmarła, kiedy miałem rok! - zawołał Miles. - Nawet jej nie pamiętam.

- Ale jest z tobą zawsze, szczególnie w sytuacjach trudnych stoi obok ciebie i się modli. Pamiętasz? Na pustyni, kiedy przekonany o rychłej śmierci odnalazłeś manierkę z wodą. Jak myślisz: kto ją napełnił?

Miles milknie, zakrywa twarz rękami, między palcami ściekają grube łzy.

- Skąd ksiądz to wszystko wie? - Joemu też trudno jest zapanować nad emocjami.

- Nie wiem. Czasami widzę... Dużo częściej nie widzę. Może to taka podatność. A może - uśmiecha się łagodnie - Panu się tak podoba, żeby niektórzy widzieli.

- Jednak nie przewidział ksiądz własnego porwania, tortur...

- To prawda. Ale miałem lęki. I słyszałem głos mówiący, że muszę być silny. Może po prostu tak się musiało stać, żebym teraz był z wami.

Milesowi udało się opanować emocje.

- W takim razie proszę się skupić i powiedzieć, co nas czeka - rzekł. - Jakie są zamiary Złego? I co mamy robić, żeby je pokrzyżować?

- Wiem tyle co wy. Zło szykuje wielką ofensywę. Neutralizuje przeciwników. Ale szczegóły...

- A gdybyśmy pokazali księdzu zdjęcia konkretnych ludzi z kręgu władzy, czy będzie mógł ksiądz rozpoznać, którzy są po jasnej, a którzy po ciemnej stronie mocy? - zapytał Miles.

- Nigdy nie zaryzykowałbym takiego werdyktu na podstawie zdjęcia. Bardzo łatwo się pomylić, ocenić niesłusznie. Dopiero bezpośrednia reakcja na mnie potwierdza, czy dany człowiek jest rzeczywiście opętany.

- Jednym słowem, nic nie możemy zrobić.

- Bądźmy czujni. I czekajmy na znak.

Czekali więc, rozmawiając całymi dniami lub odpoczywając we własnych pokojach. Domek, który udostępnił im Lawrence, był wyjątkowo przytulny. Na parterze mieścił się salon łąwiecki, jadalnia, kuchnia, na piętrze pięć przyjemnych pokojów. Gospodarz widywał ich jedynie na kolacjach wyprawianych w pałacyku. Przeważnie był czarujący; choć co jakiś czas doznawał zaćmienia umysłu, nie rozpoznawał gości, to jednak znajdował w sobie dość siły, by opuszczać w porę ich towarzystwo.

Czasami wraz z majordomusem wsiadali do dżipa i ruszali na safari. Otwierała się brama w ogrodzeniu pod napięciem i amerykańskie łąki i zagajniki zamieniały się w afrykańską sawannę. Równowaga utrzymywana przez systematyczny odstrzał drapieźników sprawiała, że te nie atakowały samochodu. W trakcie wycieczki majordomus proponował im

zapolowanie na lwa lub lamparta, ale żaden z gości nie przejawiał ochoty na strzelanie do zwierząt. -

Tak wszystko trwało przez pół miesiąca, aż do 30 listopada. Wieczorem tego dnia przybył do Tary Chester Lawrence Y „mój syn marnotrawny”, jak zwykł mawiać w przypływie dobrego humoru jego dziewięćdziesięcioletni ojciec. Wraz z nim nadjechała trójka jego przyjaciół, aby wziąć udział w „małej imprezie łowieckiej”. Byli jednak tak znużeni, że zamiast na kolację udali się spać. Pawilon myśliwski był wprawdzie zajęty, ale dostali lokum wcale nie gorsze w malowniczym domku ogrodnika.

Simon Antonelli również wymówił się od wzięcia udziału w biesiadzie.

- Źle się dzisiaj czuję, trochę poleżę, poodpoczywam, to mi dobrze zrobi - mówił.

- Złe przecucia? - zapytał Miles.

- Wszystko naraz.

W opiniach na temat murzyńskiego wyglądu Chestera V z pewnością było wiele przesady, ale już pierwszy rzut oka na ojca i syna przekonywał, że obaj musieli pochodzić od innej małpy. Ojciec był pogodny, syn chmurny. Stary Lawrence kochał towarzystwo i sypał anegdotami, młody, jeśli nie dotyczyło to polowań, raczej od niego stronił. „Daleko pada jabłko od jabłoni, zwłaszcza gdy jest to gruszka!” - zwykł mawiać przy takich okazjach nieodżałowany Glenn Butler.

Rozmowa przy kolacji nie kleiła się. Chester V próbował sprawiać wrażenie gościnnego, ale widać było, że najchętniej wysłałby przybyszy do wszystkich diabłów. I z trudem maskował to uczucie.

Carpenter zauważył też, jak obaj panowie różnili się w stosunku do siebie nawzajem. Ojciec traktował syna z pobłażliwością, jakby ten był ciągle uczniakiem, syn zaś ledwie znośił to z niecierpliwością spadkobiercy fortuny. Mimo że w przeważającej mierze już ją przejął.

Biesiada nie trwała długo. Gospodarz dość szybko postanowił się położyć. Zanosilo się na zmianę pogody, a organizm w tym wieku reagował na bodźce, których młodzi

nawet nie zauważali.

- Niesympatyczny typek - ocenił Chestera V Miles, kiedy walcząc ze wzmagającym się wiatrem, spacerem wracali do domku.

Joe myślał zgoła o czym innym: jak by zareagował, gdyby ścieżkę przeciął im jakiś tygrys albo pantera? Wprawdzie obszar łowiecki oddzielały od części mieszkalnej dwie linie elektrycznych pastuchów i bestie nie mogły ich przekroczyć pod groźbą elektrowstrząsów, jednak ich obecność o kilkaset metrów od sypialni mogła przyprawić niejednego gościa o palpitacje.

- Właściwie nie wiadomo, po co przyjechał - kontynuował swe rozważania Ken. - Z tego, co wiem, nie odwiedzał ojca od dawna i trudno przypuszczać, żeby odczuł nagły przypływ miłości do swego rodziciela.

- Może to nas zapragnął poznać. Albo ktoś wysłał go na przeszpiegi.

Minęli stojącą obok domku wysoką drewnianą wieżę z amboną na

wierzchołku, z której można było obserwować zwierzęta, a nawet do nich strzelać.

- Jedno jest pewne: gdyby Chester numer pięć tego chciał, już byśmy byli za płotem.

- Pytanie: za którym? Tym na zewnątrz posiadłości czy wewnątrz zwierzyńca? - roześmiał się Ken.

Zamierzali ułożyć się do snu. Joe z przyzwyczajenia postanowił jeszcze przejrzeć najnowsze doniesienia w Internecie. Jedno zainteresowało go szczególnie. I natychmiast pobiegł do Milesa.

- Już chyba wiem, co się ma wydarzyć 13 grudnia. W dodatku ma to ścisły związek z nami.

- Co takiego?

- Sąd Najwyższy ma rozpatrywać odwołanie obywatelskie od wyroku oddalającego delegalizację działalności egzorcystów.

- Mów jaśniej, bo po tych dwóch butelkach wina nie najlepiej kontaktuję.

- Dziewięciu sędziów rozstrzygnie, czy można zakazać

działalności przeciwnikom szatana.

Przeszli do pokoju Carpentera, dokąd w szlafroku i kapciach przyczłapał *padre* Antonelli. Wyglądał na zatrwożonego tą informacją.

- Nie ma co się przejmować - pocieszał ich Miles. - Co najmniej pięciu sędziów będzie za odrzuceniem tego pomysłu. Łącznie z przewodniczącym. Zresztą przewodniczący Cyrus Darrow ma taki dar przekonywania, że nawet gdyby początkowa proporcja głosów była dziewięć do jednego, w ostatecznym głosowaniu wynik będzie odwrotny.

- Cyrus Darrow, kuzyn słynnego Clarence'a Darrowa? - upewniał się egzorcysta.

- Tak, ale w odróżnieniu od swego agnostycznego krewniaka to zaciekle konserwatysta.

Miles kliknął ikonę i po chwili czerstwa twarz starego sędziego wypełniła cały ekran.

- Mój Boże, mój Boże - szepnęła Antonelli, wpatrując się w fotografię jak zahipnotyzowany. - Zabiją go, zabiją!

- Kiedy?

- Dzisiejszej nocy.

- W takim razie nie mamy na co czekać! - zawołał Joe. - Musimy się stąd wydostać!

- Tylko jak? Zaraz za bramą czekają na nas federalni - powiedział Ken, cały czas pracowicie stukając w klawiaturę. - Gdyby nie to, mielibyśmy spore szanse mu pomóc. Sędzia dziś znajduje się całkiem niedaleko od nas.

- Czyli gdzie?

- W swoim domu w Savannah.

- Równie dobrze mógłby być na Alasce - westchnął Antonelli. - Przecież nie możemy się stąd wydostać.

- Joe nie może, ale ja i ksiądz nie jesteśmy ścigani - odparł Miles. - Inna sprawa, że nas mógłby spotkać przykry wypadek, ale... - Urwał i uniósł głowę, nasłuchując.

Z zewnątrz dobiegły dziwne odgłosy, coś jak brzęk metalowych pojemników.

- Co to takiego?

Antonelli znajdował się najbliżej okna, podszedł więc do

niego. Sekundę potem szyba rozprysła się z brzękiem. Carpenter piłkarskim wślizgiem podciął księdzu nogi właśnie w tym momencie, w którym obok jego głowy świsnęła kolejna kula.

- Wielkie nieba, strzelają do nas! - zawołał egzorcysta.

- Obawiam się, że kule to nie najgorsze, co może nas spotkać - rzekł Ken. - Czujecie ten zapach?

W samej rzeczy: cały domek nabrał już woni starej stacji benzynowej. Po chwili podłożony ogień buchnął ze wszystkich stron. A wiatr tylko wzmaczał pożogę. Rzucili się ku oknom z tyłu domu, ale na wprost nich również czatował strzelec. Carpenter włączył komórkę. Nie było zasięgu. Widocznie sygnał został skutecznie zagłuszony. Przez kogo? Płomienie tymczasem wspinały się po drewnianych ścianach budynku i wnet stanął w ogniu dach z wyschniętych palmowych liści.

- Na dół - zakomenderował Joe. - Do salonu.

Nie wydawało się to logiczne, płonęły już bowiem żaluzje w oknach jadalni, tliły się dywany i skóry na ścianach. Dym drażnił gardła, wywołując ataki kaszlu, a gdy przebiegli przez ścianę ognia w holu, żar opalił księdzu włosy. Jednak w salonie, którego całą ścianę zajmował kamienny kominek, dymu było zdecydowanie mniej. Wiejący wiatr prznosił cały ogień dalej, a przy kominku (na szczęście z zamkniętym szybem) było prawie zacisznie.

- Zrobili błąd, nie biorąc pod uwagę kierunku wiatru - rzekł naraz Joe. - Cały pożar idzie teraz w stronę pałacu. I chyba nic go nie zatrzyma.

- Nie sądzę, by się tym przejmowali - skomentował Miles. - Wcale bym się nie dziwił, gdyby zaplanowali, że ogień pochłonie również starego patriarchę.

Kiedy płomienie przeniosły się dalej, ujrzeli całą czwórkę: Chestera V i trzech „myśliwych” przy samochodzie terenowym, z dala od płomieni. Z bronią gotową do strzału obserwowali płonący pawilon myśliwski. Strzelali, gdy między płomieniami dostrzegali jakąś sylwetkę.

- Czy nie postępują głupio? Ktoś prowadzący śledztwo znajdzie kule i nie będziemy ofiarami pożaru, tylko

morderstwa! - zawołał ksiądz.

- Nie znajdzie, kule są z plastiku - powiedział Miles. - To starannie zaplanowana akcja.

- Tak czy owak, albo nas zastrzelą, albo uwędzimy się i usmażymy - stwierdził Joe.

- Pokładajmy ufność w Panu - Antonelli zaczął się modlić.

- Nie wiem, jak miałby nam pomóc - mruknął sceptycznie Ken.

Mylił się. Nadzieja na ratunek pojawiła się nieoczekiwanie jak

ogień. Płomienie ogarnęły właśnie drewnianą wieżę strzelniczą, która błyskawicznie zmieniła się w pochodnię. Nie minęło pięć minut, a runęła, zrywając linię elektryczną. Zgasły światła w domu i w pałacu.

„Ciekawe, co z płotem pod napięciem” - pomyślał Joe.

Odpowiedzi dostarczyło kilka oszalałych koni, które wyrwawszy się ze stajni, przebiegły przez powalony parkan. A gdyby tak pobiegli ich śladem? Mimo nasączonych wodą z wazonów chustek wszyscy trzej kasłali coraz bardziej. Tymczasem nad sypialniami zarwał się kawałek dachu. Nie było na co dłużej czekać: żar zrobił się nie do wytrzymania i zaczęła się tlić ich odzież.

Carpenter wywalili kopniakiem tylne drzwi. Główna fala ognia przeszła już koło tej części domu, a węgiel zasłaniał ich przed oczami snajperów.

- Idziemy! - zawołał.

Przebiegli po zwalonym ogrodzeniu i przekroczyli niewielki wzgórek. Dopiero w ostatniej chwili siepacze dostrzegli ich ucieczkę i rozpoczęli kanonadę. Szczęściem chybiali.

Nieoczekiwanie na czoło wysforował się ksiądz. Gnał, jakby z pięćdziesiąt lat mu ubyło. Zbiegł z pagórka, znikając z linii strzału, lecz już po chwili zatrzymał się przed żywą ścianą ognia odgradzającą ich od płynącego dołem strumyka. Postąpił naprzód.

Dwaj agenci zawahali się. Jednak Antonelli nakreślił znak krzyża i wołając gromko: „Nie lękajcie się!”, skoczył głową do przodu. Czerwony wał ognia rozstał się przed nim jak morze



przed Mojżeszem. Skoczyli za księdzem i plasnęli w wodę. Dłuższą chwilę leżeli w chłodnym strumyku, gasząc płonąca odzież i kojąc poparzenia, na szczęście niewielkie.

Potem ruszyli korytem wśród szalejącego po obu stronach piekła. Miles objął przywództwo.

- Za trzy mile powinniśmy dojść do drogi, która za bramą posiadłości robi głęboką pętlę - twierdził.

Tymczasem wcześniej zakręcił strumień i naraz wyszli ze strefy pożaru, jednak dzięki lunie i księżycowi w pełni było jasno jak w dzień. Skrajem rzeki i na wzniesieniach ponad ich głowami galopowały stada zwierząt, które pożoga wyгнаła z matecznika. Wiały więc gazy, zebry, żyrafy, czasem śmignęła pomiędzy nimi hiena czy szakal.

- Jednego nie rozumiem - powiedział Carpenter. - Tego Lawren- ce'a nie było na liście „ornitologów”.

- Podejrzewam, że ci sprytniejsi ze spiskowców nie kontaktują się z witryną osobiście. Może robić to za nich kierowca albo kochanka - odparł Miles. - Zauważyliście, że praktycznie nie ma tam żadnych celebrytów, a wielu z nich z pewnością zaprzedało duszę diabłu, prawda, proszę księdza?

Egzorcysta tylko wzniósł oczy do nieba.

Idąc po kamykach, przekroczyli niewielką kaskadę. Koryto się zwięzło, a dolina zmieniła w głęboki, mroczny parów, do którego dna w wielu miejscach nie docierało światło księżyca. Po kolejnym zakręcie oślepiły ich gwałtownie włączone reflektory. Ledwo padli na ziemię, gdy runęła na nich prawdziwa lawina ognia. Wprawdzie ukryli się za głazami, ale kule świstały wokół nich, siekąc wodę lub odłupując okruchy skalne. Ani iść naprzód, ani się wycofać! Joe zorientował się, że samochód ich prześladowców stanął w poprzek wysokiego mostku około stu metrów przed nimi.

- I co teraz? Ma ksiądz jakiś pomysł? - zapytał Miles. - Bo mnie już nic nie przychodzi do głowy.

- Pokładajmy ufność w Panu - powtórzył egzorcysta.

I miał rację. Wnet rozległ się tętent tak głośny, jakby cała kawaleria Stanów Zjednoczonych śpieszyła im z pomocą. Ale były to tylko dwa wielkie nosorożce pędzące ścieżką w stronę

mostku.

Zauważył je Chester i kazał swym ludziom dać ognia, kule jednak chyba tylko rozsierdziły zwierzęta. Całym impetem uderzyły w landrowera, pragnąc jak najszybciej usunąć przeszkodę blokującą im drogę ucieczki przed ogniem. Pękła drewniana poręcz i samochód runął z wysokości jakichś dwudziestu metrów, potem odbił się jeszcze od ścian klifu, skoziołkował i znieruchomiał.

Nie wypuszczając pistoletu z ręki, Miles dobiegł do wraka. Wyglądało na to, że nikt nie przeżył uderzenia. Dwa zmasakrowane ciała leżały na skałach. Z szoferki udało się wyciągnąć martwego kierowcę. Chester V żył jeszcze kwadrans; ze zmiądzonymi nogami skowyczał jak upiór, kiedy Antonelli odmawiał nad nim modlitwę za konających. Naraz szerniał cały, ryknął coś, po czym jego twarz zrobiła się biała i spokojna.

- Opuścił go! - powiedział z wyraźną ulgą egzorcysta.

Tymczasem z oddali dobiegało wycie strażackich i policyjnych wozów, pędzących główną drogą w stronę pałacu.

- Pośpieszmy się, bałagan może okazać się sprzymierzeńcem - powiedział Ken.

Ruszyli ku górze krętą ścieżką. Wydawało się, że już wszystko, co najgorsze, mają za sobą.

Ale niekoniecznie. Naraz usłyszeli ryk i na wprost nich na wąskiej drożynie pojawił się ogromny lew, samiec, kierujący się zapewne w odwrotnym niż oni kierunku. Pistolet Milesa i uzi, które Joe zabrał jednemu z „myśliwych”, wobec króla sawanny wyglądały jak dziecinne zabawki.

Najciekawsze, że Antonelli nie stracił zimnej krwi, tylko powiedział spokojnie:

- Ustąpmy mu drogi, a ty przejdź z Bogiem, bracie.

I olbrzymi kot przemknął między nimi, tylko lekko muskając ich grzywą.

Wnet ukazały się oba płoty wokół terenu łowieckiego. Oba na szczęście pozbawione prądu. Po chwili znaleźli się na zewnątrz posiadłości.

- Ile jeszcze cudów nam ksiądz zafunduje? - zapytał

Carpenter.

- Na razie muszę znaleźć jakieś spodnie i buty - odparł egzorcysta, maszerujący w jednym pantoflu i w mocno poszarpanym szlafroku.

## ROZDZIAŁ XVII

### ARMAGEDON

Ponieważ silny wiatr i noc uniemożliwiały użycie śmigłowca, Billy Sloane został skazany na podróżowanie samochodem. Wyjechał z Adanty niezwłocznie po pierwszym komunikacie, że coś się dzieje w Tarze, jednak droga zajęła mu półtorej godziny.

Wieści od miejscowego szeryfa, które odbierał w trakcie drogi, były przerażające. Ogień nadal szalał, a z samej Tary pozostały jedynie zgliszcza. Najprawdopodobniej nie przeżył nikt z gospodarzy ani gości. Kilkanaście ocalałych osób z personelu, zamieszkałych w budynkach służby, mówiło o nocnej strzelaninie i wybuchu gwałtownego pożaru, który rozprzestrzenił się na znaczną połać posiadłości.

- Co tam się stało? - zachodził w głowę Sloane. - Czyżby Miles i Carpenter rozpoczęli walkę między sobą?

Tymczasem w okolicznych farmach wybuchła panika, w dodatku rozniosła się wieść o wydostaniu się z rezerwatu groźnych, drapieżnych bestii hodowanych tam przez Lawrence'ów. Obudzony gubernator zarządził wprowadzenie gwardii obywatelskiej. Mieszkańcom zalecono pozostanie w domach.

Kolejna wiadomość mówiła o śmierci Chestera Lawrence'a V i trójki jego uzbrojonych kompanów. Choć brzmiało to nieprawdopodobnie, zginęli wskutek zderzenia z nosorożcem.

Sloane znajdował się już niedaleko miejsca dramatu, które wskazywała purpurowa łuna na niebie i las płonący na wzgórzach, kiedy na drodze przed nim pojawił się upiór. Trudno inaczej nazwać bosonogiego starca w podartym szlafroku, który z szeroko rozwartymi ramionami dosłownie wyszedł mu przed maskę. Niesamowitości spotkania dopełniało osmalone oblicze i zmierzwiłone siwe włosy zadziwiającego autostopowicza.

Billy zahamował gwałtownie, a wówczas starzec padł na kolana przed maską. Zmusiło to agenta do wyjścia z samochodu. To samo zrobił jego kierowca Jack. To, że popełnili oczywisty błąd, uświadomiły im lufy przytknięte do pleców.

- Witaj, Billy! - powiedział Ken Miles, który wraz z Carpenterem wyrósł za funkcjonariuszami jak cień. - Nikogo bardziej nie pragnąłem spotkać, jak ciebie.

- Pan dyrektor!

Trudno było wyobrazić sobie bardziej zdumionego człowieka niż Sloane. Był tak zaskoczony, że potulnie pozwolił nałożyć sobie kajdanki i odwiódł Jacka od prób stawiania oporu.

- Wybacz, stary, ale musimy was skuć w waszym własnym, szeroko pojętym interesie - powiedział Ken. - I proszę: nie komplikujcie sytuacji. Jeśli pojawią się tu jacyś strażacy czy policjanci, raczej nie wzywajcie pomocy. Wbrew temu, na co wygląda, my jesteśmy ci dobrzy.

Po chwili wszyscy znaleźli się w samochodzie. Ksiądz siadł za kierownicą, obok posadzono Jacka, a Miles i Carpenter usadowili się po obu stronach Billy'ego Sloane'a.

- Chyba zwariowaliście! - bulgotał wściekły agent. - Nie macie szans, wydając wojnę całej administracji Stanów Zjednoczonych.

- O szansach porozmawiamy potem - powiedział Miles. - Na razie musimy uratować sędziego Darrowa.

- Kogo?

- Cyrusa Darrowa. Sędziego Sądu Najwyższego, którego sataniści spróbują sprzątnąć.

Sloane był bystrym chłopakiem i po dziesięciu minutach wszystko, co mówił były dyrektor, zaczęło mu się układać w logiczną całość. Co więcej, biorąc pod uwagę własne wcześniejsze wnioski, nie widział powodu, żeby nie wierzyć byłemu szefowi. Sprawa śmierdziała mu od początku, tylko nie miał pojęcia, jak ogromny jest to smród.

- Jeśli obawiacie się zamachu, trzeba natychmiast zawiadomić policję w Savannah - zaproponował.

- Niestety, nie możemy mieć zaufania do nikogo poza sobą.

Rozmiary spisku są niewyobrażalne.

- A co ze mną? Nie podejrzewacie, że mogę być zakonspirowanym sługą szatana?

- Jest czysty - mruknął zza kierownicy *padre* Antonelli. - Porządny człowiek, chociaż baptysta.

Zatrzeszczało radio. Miejscowy szeryf dopytywał się, kiedy Sloane będzie na miejscu.

- Muszę zbadać jeszcze jeden trop - odparł enigmatycznie oficer. - Kontynuujcie swoją robotę.

- Ale wszystko w porządku? - dopytywał się szeryf.

- W najlepszym.

Pół godziny później odezwał się Carter. Ale Sloane posłuchał sugestii Milesa i nie odpowiadał, a następnie wyłączył radio.

Dochodziła czwarta rano i było jeszcze całkiem ciemno, kiedy znaleźli się w starej części Savannah. Przed kilku laty Darrow kupił i wyremontował uroczy wiktoriański dom w centrum, ocieniany przez stare dęby, z których na kształt poszarpanej woalki zwieszały się strzępiaste warkocze hiszpańskiego mchu. O tej porze budynek wyglądał jak element filmowej scenerii horroru, a nie jak siedziba jednego z najważniejszych urzędników Stanów Zjednoczonych. Ulice, w dzień pełne turystów, robiły wrażenie wymarłych. Było zadziwiająco chłodno, a kiedy doszli do domu, Carpenter zauważył, że z ust kolegów unosi się para. Wcześniej rozkuli Sloane'a, który wydawał się przekonany o prawdziwości ich słów i podporządkował się rozkazom Milesa.

Furtkę na posesję zastali niezamkniętą, co było niepodobne do pedantycznego Darrowa. Gorzej, że kiedy stanęli przy drzwiach, zamierzając zadzwonić, zauważyli, że są otwarte.

- Czarno to widzę, chyba przyjechaliśmy za późno - mruknął Joe.

Wbiegli do domu, zaglądając do kolejnych pokoi, w których panował ład i porządek. Dopiero w gabinecie, wysokiej dwupiętrowej bibliotece z tysiącami książek w skórzanych oprawkach, ujrzeni postać na fotelu za biurkiem. Jakby na ich powitanie zapłonęła lampa przy biurku. Zielony abażur rzucał dookoła przyjemne światło. Reszta już tak przyjemna nie była.

Mężczyzna w czarnym smokingu, siedzący na ulubionym fotelu sędziego, obrócił się wokół swej osi.

- Trochę długo na panów czekałem, ale się nie zawiodłem - powiedział Niko.

Petkovic *vel* Atkinson.

Wydobyli broń i wycelowali w niego. Nie wydawał się tym zaniepokojony.

- Co zrobiłeś z sędzią, łajdaku?! - zawołał Miles. >

- Zanim zaczniemy się obrażać, proponuję, żeby panowie przywitali się z moją żoną, choć chwilowo obie ręce ma zajęte.

Zapaliło się światło w głębi. We wnęce ujawniła się postawna sylwetka Vesny. Dobrze zbudowaną kobietę oplatała płatanina kabli i ładunków wybuchowych, których ilość wystarczyłaby do wysadzenia kilku okolicznych domostw. W obu rękach ścisnęła coś, co wyglądało na przełączniki.

- Postanowiłeś zrobić z własnej żony szahidkę? - zdumiał się Carpenter.

- My, w odróżnieniu od was, nie boimy się śmierci - powiedziała dobitnie pani Atkinson. - Jeden wasz nieostrożny ruch, a zginiemy wszyscy.

Palce mocno zaciśnięte na detonatorach dowodziły, że mówi prawdę.

Niko wstał i spokojnie pozabierał broń całej trójce.

- A teraz możemy przejść do szczegółów - powiedział. - Żeby było jasne: ja również nie zastałem sędziego w domu. Wieczorem miał drobny wylew i trafił do kliniki, gdzie zgodnie z zaleceniem waszej zwierzchności: „chorych nawiedzać” już wkrótce złożę mu „krótką, roboczą, przyjacielską wizytę”.

- To ci się nie uda! - wykrzyknął Billy.

- Wdź, że opowiedział się pan po przegranej stronie, Sloane! Wasza naiwna wiara w to, że możecie nas powstrzymać, jest zdumiewająca. Dóréval, King, Lawrence - owszem, zbiliście nam parę pionków bez większego znaczenia. Przyszłość należy jednak do nas. I dziś właśnie ta przyszłość się zaczyna. A teraz wybaczcie, muszę was opuścić i zająć się starym capem.

Podszedł do Vesny i ucałował ją w usta.

- Wiesz, co robić, gdyby próbowali jakichś numerów. Wystarczy, że puścisz.

- Wiem, kochanie. - Głos miała niski, nieomal męski. - Wracaj prędko.

Niezatrzymywany „Diabeł” opuścił gabinet Cyrusa Darrowa.

Trzej agenci spoglądali niezdecydowanie to na siebie, to na Vesnę. Wiedzieli, że nie rzuca pogroźek na wiatr. Skoncentrowani na satanistce, nie zwracali uwagi na księdza. Ten wydawał się zbierać siły. Po chwili nagle powiedział uroczyście, wbijając wzrok w panią Atkinson:

- W imię Boga wszechmogącego żądam, Lilith, opuść tę kobietę.

Na twarzy Summer pojawiło się zaskoczenie, a potem z ust wyrwały się słowa wypowiedane niesamowitym basem:

- Skąd znasz moje imię, klecho?

Antonelli zlekceważył pytanie, wy dobył spod brudnego szlafroka krzyż i zaczął mówić:

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...

Bestia siedząca w Atkinsonowej wybuchła śmiechem.

- Marny człowieku, czy wiesz, na kogo się porywasz? Wystarczy jedno drgnienie mej ręki...

- I przeniesiesz się sama do piekła - nie wytrzymał Sloane. - Naprawdę tak się do tego palisz?

Pozostali mimowolnie popatrzyli na pobieliałe kostki jej dłoni.

- Piekło to inni. - Zarechotała. - Mogę dać wam wszystko, czego zechcecie. Chcesz znów zobaczyć Maud, Joe? Przywróć ci ją... A twój utopiony syn, Billy...

- Módlcie się! - syknął do pozostałych egzorcysta, a sam zaczął powtarzać:

- W imię Trójcy Świętej, w imię Dziewicy Niepokalanej, w imię wszystkich świętych i Michała Archanioła, wzywam cię...

Głos miał słaby, na dobitkę zagłuszany przez diabli rechot, jednak zauważyli, że kiedy zaczęli odmawiać *Ojcze nasz*, zrazu nieskładnie, później coraz lepiej przypominając sobie słowa nauczone w dzieciństwie, głos księdza jak gdyby doładowany



wyraźnie się wzmocnił.

- Po trzykroć żądam: opuść tę kobietę, w imię aniołów i archaniołów, mocy, tronów i mocarstw, w imię świętego Ojca Pio, świętego Franciszka i świętego Ignacego...

Tu zaczął wygłaszać teksty egzorcyzmów po łacinie i grecku.

W odpowiedzi usta Summer zaczęły miotać klątwy w pradawnych językach, a obserwatorzy mieli wrażenie, że elektryczne iskry przebiegają pomiędzy walczącymi.

Wzmogli modlitwę. Niesamowite, ale to działało. Lilith słabła.

- Już po was! - ryknęła w pewnym momencie, usiłując cisnąć detonatory na ziemię. Ale nie mogła rozprostować rąk. Wyraźnie nie miała władzy nad własnymi palcami, spomiędzy których zaczęły się sączyć strumyczki krwi.

- To boli - usłyszeli nagle normalny głos kobiecy. - To boli!

- Opuść tę niewiastę! - zawołał jeszcze raz wielkim głosem ksiądz.

I jakby wielki wiatr przeleciał przez gabinet, jakaś siła przewróciła zieloną lampę, otworzyła okno, przez które zamiast wcześniejszego lodowatego zimna wdarło się świeże powietrze poranka.

Usłyszeli łomot. To nieprzytomny ksiądz osunął się na podłogę.

Ken zapalił latarkę. Niezwykle osłabiona Vesna też chwiała się na nogach, tak jakby za chwilę miała upaść. Sloane podbiegł i podtrzymał ją w ostatniej chwili. Z dłoni, ciągle kurczowo zaciśniętych na detonatorach, sączyła się krew.

- Wyłącznik jest z tyłu - powiedziała Vesna głosem śmiertelnie zmęczonej, ale całkowicie zwyczajnej kobiety.

Sloane odnalazł bezpiecznik. Rozległ się krótki trzask, a potem przyciski wypadły z jej rąk, nie wywołując żadnej reakcji. Bomba została już dezaktywowana.

Carpenter klęknął przy księdzu. Antonelli oddychał z trudem, puls miał ledwo wyczuwalny.

Miles chwycił za telefon. Obojętne było, że ktoś może go podsłuchać. Połączył się z miejscową policją i przedstawił - jego nazwisko ciągle robiło wrażenie na funkcjonariuszach.

- Niebezpieczny morderca jest w drodze do szpitala Memorial University Medical Center, zamierza zabić sędziego Darrowa - rzucił zdecydowanie. - Powtarzam: sędzia Darrow w niebezpieczeństwie! Zawiadomcie ochronę szpitala!

\*

Kompleks szpitalny, złożony z kilku betonowych bloków, znajdował się w południowej części miasta, niedaleko lotniska. Dotarcie tam nie powinno zająć Atkinsonowi więcej niż kilkanaście minut. Wybiegając z domu, natknął się jednak na kierowcę Sloane'a. Jack, zaniepokojony brakiem kontaktu z szefem i widząc podejrzanego osobnika, wy dobył broń i pobiegł za mężczyzną w ciemnych okularach, który jak na ślepcę poruszał się zadziwiająco sprawnie.

- Stać, stać, zatrzymać się! - wołał.

Uśpione miasto nie jest najlepszym miejscem do wymiany ognia, toteż Niko zatrzymał się i powoli odwrócił, unosząc obie ręce do góry i wypuszczając małą walizeczkę, która upadła na trotuar.

-Jestem asystentem sędziego Darrowa - powiedział niezwykle uprzejmie. - Szef na skutek szoku spowodowanego otrzymanymi informacjami zasłabł, biegłem właśnie do apteki...

Brzmiało to wiarygodnie, Jack jednak nie opuszczał broni.

- Ma pan jakiś dokument tożsamości? - zapytał.

- Prawo jazdy. Zaraz podam, mogę opuścić jedną rękę?

- W porządku. Wyjmuj powoli. Rzuć do mnie.

Wyglądało na to, że zatrzymany postępował według instrukcji. Jednak to, co wy dobył - płytka o naostrzonych krawędziach - tylko z daleka przypominało plastikową kartę. Ciśnięte wprawnie, przecięło kierowcy krtań.

Petkovic dobił funkcjonariusza gołymi rękami, po czym wrzucił ciało do bagażnika. Następnie wskoczył za kierownicę. Policyjny wóz - czyż mógł marzyć o lepszym środku lokomocji? Chciał ruszyć. Niestety, w stacyjce brakowało kluczyków. Zaklął cicho. Ponownie otworzył bagażnik i przeszukał denata. Ani

śladu. Znalazł je dopiero po dłuższej chwili przy krawężniku. Policjant musiał je upuścić, dobywając broń... Niech to szlag! Stracił co najmniej dziesięć minut. W dodatku był cały zakrwawiony. Przypomniawszy sobie, że ulicę dalej na skwerze znajduje się fontanna. Podjechał tam i umył się. Na zakrwawione ubranie narzucił płaszcz Billy'ego Sloane'a, który znalazł za tylnym siedzeniem.

Zaparkował z tyłu szpitala. Od razu zauważył gorączkowy ruch, niecodzienny o tak wczesnej porze. Udało się im ostrzec ochronę? W jaki sposób? Czyżby Vesna pozwoliła komuś uciec? Ależ idiota ze mnie - zamiast wykończyć wszystkich już wtedy, kiedy oddali broń, zaczął się bawić w jakąś głupią teatralizację. Ale skoro miał to być teatr?...

Z walizeczki wyciągnął swoją składaną laskę i stukając nią w chodnik, podreptał w kierunku bielejących ścian szpitala.

- Przepraszam, ale chwilowo przejścia nie ma - powiedział ochroniarz pilnujący tylnego wejścia.

- Rozumiem, ale czy może pan mnie nakierować na Clark Terrace, bo chyba trochę pobłądziłem?

Uniósł okulary, ujawniając puste oczodoły. To zawsze robiło wrażenie. Ochroniarz zbliżył się i usiłował opiekuńczo wziąć go pod ramię. Niko zaatakował bez uprzedzenia i błyskawicznie skręcił ochroniarzowi kark.

„Nawet nie bardzo zdążył się zdziwić” - skomentował w myśli.

Rozejrzał się czujnie, ale nikogo więcej w pobliżu nie było. Wszedł do szpitala. Dużo wcześniej nauczył się na pamięć jego planu, jednak teraz wszedł od zupełnie innej strony, co znacznie utrudniło orientację w całości kompleksu. Szedł pustawym korytarzem, usiłując obrócić w głowie zapamiętany schemat.

Naraz otworzyły się drzwi i wyszła jakaś pielęgniarka. Na jego widok zaniemówiła, co ułatwiło sprawę: jedną ręką błyskawicznie zakrył jej usta, a drugą przytknął nóż do gardła.

- Sędzia Darrow. Na intensywnej terapii. Gdzie to jest?

Opierała się, więc musiał ją skaleczyć. Miała brzoskwiniową cerę i aż żal było ranić taką miłą buzię.

- Pierwsze piętro, pawilon A, pokój 123 - szepnęła.

- Grzeczna dziewczynka!

Zabił ją szybko, prawie bezboleśnie. Potem pobiegł korytarzem w stronę łącznika.

Tymczasem ze wszystkich stron dobiegały sygnały alarmu, narastał też jazgot nadciągających wozów policyjnych. Pragmatyka nakazywała w takich wypadkach rezygnację i wycofanie się z zagrożonego obszaru. Odrzucił tę myśl: posunął się za daleko i teraz musiał sprawę dokończyć. Pomyśl ewakuacji miał obmyślony. Dopadnie rozdzielni, wyłączy światło, a po ciemku, przełączwszy się na tryb noktowizyjny, zyska potrzebną przewagę...

Znowu uchyliły się jakieś drzwi, za którymi majaczył wysoki cień. Nie ryzykował, strzelił przez szybę i biegł dalej. Oto i pokój 123...

„Witamy w piekle” - taką odzywkę przygotował sobie na spotkanie z Cyrusem. Jednak na łóżku na wprost jego lufy dostrzegł grube ciało starej Murzynki. Pielęgniarka go oszukała. Pewnie wiedziała, że i tak zginie.

Gdzie zatem był Darrow? Znalezienie drugiej pielęgniarki chwilowo nie wchodziło w grę. W dodatku na korytarzu pojawili się dwaj policjanci. Puścił serię i obaj padli. To oczywiście, dziewczyna skłamała, tylko skąd wzięła pomysł, żeby akurat skierować go do pokoju 123? Dostrzegł na drzwiach numer 132. Jasne! Prosta przestawka. Pchnął drzwi. Pielęgniarkę, która dyżurowała przy monitorach, zastrzelił pojedynczą kulą.

- A więc tu jesteś, Darrow!

Sędzia siedział w łóżku wyprostowany. Kroplówki wyraźnie mu pomogły, bo wydawał się zupełnie przytomny, a ręce trzymał pod kocem.

Niko zastanawiał się nad sentencją wyroku, ale nim ją wypowiedział, poczuł uderzenie w kamizelkę kuloodporną.

„Stary skurwiel jest uzbrojony!”

Była to jego ostatnia myśl. Następną kulą rozwalila mu mózg.

„Jakie to dobre przyzwyczajenie: nawet w szpitalu spać z

pistoletem pod poduszką” - pomyślał stary prawnik.

\*

Czy święty Jan, spisując Apokalipsę na wyspie Patmos, podejrzewał, że decydujące starcie rozegra się w telewizji? A jego przebieg dzięki łączom satelitarnym będą mogli obejrzeć również mieszkańcy bliskowschodniego Megiddo?

Pozostając nadal nieufny wobec organów ścigania, Ken Miles odszukał redaktora Charlesa Kendalla i zaproponował mu wywiad na żywo z satanistką. Rozmowa w lokalnym studiu w Savannah rozpoczęła się o ósmej zero pięć i przez następne godziny miała przykuć uwagę całej Ameryki, jako że lokalny sygnał przejęły obydwie wielkie sieci CNN i Fox News, a potem częstowały niezliczonymi powtórkami zadziwioną widownię. Wydawało się, że nic nie może przebić atrakcyjnością informacji o pozodze w rezydencji Lawrence’ów, w której Chester V najprawdopodobniej zabił Chestera IV a sam zginął po ataku nosorożca, czy raportu o działaniach gwardii obywatelskiej ścigającej lwy i tygrysy po przysiółkach Georgii, nie mówiąc już o elektryzującym newsie o zamachu na prezesa Sądu Najwyższego, który został udaremniony osobiście przez starego sędziego. Jednak relacja satanistki, wygłaszana spokojnym tonem przez kobietę o milej aparycji zadbanej gospodyni domowej, która często korzysta z usług klubu fitness i masażystki, pobiła wszelkie rekordy oglądalności.

Spowiedź Vesny Petkovic była długa i treściwa. Jugosłowiańska farmaceutka nie przypuszczała zapewne nigdy, że stanie się gwiazdą amerykańskiej telewizji śniadaniowej. Na pytania Kendalla odpowiadała logicznie i uprzejmie, tak jakby relacjonowała swoją pracę w aptece. Nie ukrywała, jak wielką odczuwa ulgę uwolniona od obecności demona, który zagnieździł się w niej przed laty. I że każde wypowiedane zdanie zmniejsza w niej dławiące poczucie winy.

Opowiadała więc o początkach swej znajomości z Nikiem, o pociągu fizycznym i o tym, jak to uczucie niepostrzeżenie stało się fascynacją złem, które go przepełniało.

- To nastąpiło tak naturalnie: jednego dnia byłam jedynie głupią, zakochaną dziewczyną, drugiego - zdecydowaną na wszystko współniczką.

- Kiedy to się stało?

- Jeszcze przed przybyciem do Ameryki.

- Czego chcieli państwo dokonać? - pytał Kendall.

- Przecież pan wie. - Wzruszyła ramionami. - Program „Armagedon”. Niko tworzył siatkę, ja mu pomagałam. To było jak roznoszenie epidemii. Infekowaliśmy złem. Spotykaliśmy ludzi, znajdowaliśmy ich słabe strony, a potem... Każdy człowiek ma klawisz, który wciśnięty, uruchamia w nim tę gorszą część.

- Miała pani podwójną świadomość?

- Tak, ale to się zmieniało. Z upływem czasu czułam, jak coraz mniej jest we mnie dawnej Vesny, a coraz więcej Lilith, potwornej, przedwiecznej siły zła... Przecież gdybym była sobą, nie dopuściłabym, żeby Niko zabił mego brata. Nie uwierzcie, ale część mojej duszy cały czas cierpiała. Tyle że była to coraz mniejsza część...

- Kto wam wydawał polecenia? - Redaktor Kendall uparcie trzymał się scenariusza.

- Niko słyszał głosy, początkowo pojedyncze, potem całe chóry.

- Głosy demonów?

- I innych sług szatana. Ważniejszych od nas. To one kazały nam dokonać tego, czego dokonaliśmy.

- A czego dokonaliście?

Znów wzruszenie ramion.

- Zniszczyliśmy Rzym.

Przy biurku Thomasa Carringhama zadzwonił telefon. Ten specjalny, przeznaczony dla jednego jedyne rozmówcy.

- Przerwij to - usłyszał głos Fanu Matakiego.

- Natychmiast - dobiegły z drugiego planu słowa Larry'ego Wilcoxa.

Prezydent i jego antypastor byli razem w Gabinetcie Ovalnym.

Do tego poranka Carringhamowi wydawało się, że wszystko

może.

Teraz doskonale skonstruowany świat rozpadał się jak domek z kart.

Połączył się z FBI.

- Jak to: mam zająć studio w Savannah? - pytał zdumiony Carter. - Czy pan wie, czego się domaga? A może mam jeszcze zastrzelić Milesa, Sloane'a i Carpentera przed kamerami?

- Trzeba ich aresztować w imię bezpieczeństwa państwa. To rozkaz! - wrzasnął Carringham.

- Rozkazy przyjmuję jedynie od moich zwierzchników.

- Prezydent jest twoim najwyższym zwierzchnikiem, dupku!

- W takim razie niech wyda mi ten rozkaz na piśmie, a otrzyma moją dymisję.

Nie lepiej mu poszło z Florence Alvarado. Rozdygotana wicedyrektorka CIA właśnie pisała swoją rezygnację. Jej szef na sugestię przerwania emisji programu roześmiał się profesorowi w nos.

Zrozpaczony Thomas rzucił okiem na ekran telewizora.

- Kto zatwierdził zdetonowanie bomby atomowej w Watykanie? - pytał niestrudzony Kendall.

- Kto zatwierdził, nie wiem. Ale o naszej operacji poinformowany był doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, profesor Thomas Carringham.

Na moment w studiu zapanowała śmiertelna cisza. Mimo że za plecami kamerzystów zgromadził się prawie cały personel lokalnej telewizji, Kendall przełknął ślinę i zadał kolejne pytanie:

- Wspomniała już pani o sieci satanistycznej, którą udało się wam stworzyć w Stanach Zjednoczonych. Czy może pani ujawnić nazwiska prominentnych postaci?

- Oczywiście. Arcykapłanem o najwyższym stopniu wtajemniczenia jest Larry Wilcox... Zaprzyjaźniliśmy się podczas ostatniej kampanii prezydenckiej.

Następne kilkanaście godzin miało wstrząsnąć Ameryką. Thomas Carringham popełnił samobójstwo w swoim gabinecie jeszcze przed końcem audycji, strzelając do siebie z odległości paru kroków. Co ciekawe, nie znaleziono ani pistoletu, ani

łusek. Pastora Wikoxa zastrzeliła prezydencka ochrona wezwana przez Matakiego, który wołał, że Larry grozi mu śmiercią. Jeszcze tego dnia przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów zginął w wypadku małego samolotu, a dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego po prostu rozpląnął się w powietrzu. Niektórzy twierdzą, że widziano go w Nowej Zelandii, gdzie zajął się hodowlą owiec.

Dzień później wszczęto procedurę impeachmentu wobec Fanu Matakiego, ale ten wcześniej sam złożył dymisję. Wiceprezydent Herbert Crowley, zaprzysiężony na kolejnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, powołał na swojego zastępcę Cyrusa Darrowa.

Do wyjaśnienia zatrzymano czterech gubernatorów, siedemnastu kongresmenów i sześciu senatorów. Wkrótce zajęła się nimi ekipa kilkudziesięciu najlepszych egzorcystów przybyłych z Europy i Ameryki Łacińskiej.

Brakowało wśród nich tylko Simona Antonellego. Mimo troskliwej opieki szpitalnej dzielny ksiądz zmarł dwa dni po swym życiowym występie. Nie dolegało mu nic konkretnego, a zajmujący się nim lekarze nie potrafili postawić żadnej diagnozy poza stwierdzeniem kompletnego wyczerpania siły życiowej. Umierał w pełni świadomy, spokojny i szczęśliwy. Pożegnał się z Milesem, Sloane'em i Carpenterem. Tego ostatniego skłonił, aby pochylił się nad jego łóżkiem, i wtedy szepnął mu do ucha:

- Opiekuj się dobrze dzieckiem, gdy się urodzi, Józefie!



## ROZDZIAŁ XVIII

### JÓZEF CIEŚLA

To, co zdarzyło się owej nocy z 30 listopada na 1 grudnia, dziennikarze nazwali Armagedonem, choć rozegrało się bardzo daleko od biblijnego Megiddo. Szatan, powtórnie strącony w czeluści piekieł, zniknął, pozostawiając swych adherentów na pastwę losu i wymiaru sprawiedliwości. Znakomitą większość czekały prawdziwe „ścieżki zdrowia” urządzone przez egzorzystów.

Wydarzenia w Ameryce doczekały się swoich następstw na całym świecie. W następnym tygodniu w niewyjaśnionych okolicznościach w rejonie Uralu rozbił się samolot prezydenta Rosji Anatolija Michajłowa, a u przywódcy zjednoczonej Europy Aleksa Mac Brandona wykryto szybko rozwijającą się chorobę, która uniemożliwiła dalsze pełnienie funkcji. Była to nowa odmiana AIDS, która powalała głównie homoseksualistów z szybkością dżumy i potwornością gorączki krwotocznej Ebola. Nie było na nią lekarstwa. Jej pojawienie się uznano za plagę i jeden z ostatecznych znaków poprzedzających koniec świata.

Nikt nigdy więcej nie słyszał o Fanu Matakim. Przywódca Stanów Zjednoczonych po złożeniu dymisji zniknął, jakby święta ziemia go pochłonęła. Jedni mówią, że wstąpił do klasztoru, inni, przeciwnie, że porwał go sam diabeł. W każdym razie jego rola w szatańskim spisku nigdy nie została w pełni wyjaśniona.

Ken Miles wrócił na dotychczasowe stanowisko, Florence Alvarado otworzyła kancelarię adwokacką w Nebrasce, agent Sloane awansował, a stewardesa Betty, zobaczywszy w telewizji Joego Carpentera, oświadczyła wobec kompletu pasażerów: „Spałam z nim!”.

Bohaterów wydarzeń, Kena i Joego, przyjął w Camp David

nowy prezydent i dopiero wówczas dowiedział się o prorocत्वie. Podjęto decyzję o zapoznaniu z nim papieża, którego Joe odwiedził osobiście w Castel Gandolfo, a także ważniejszych przywódców religii świata. W kręgach watykańskich zaczęto przebąkiwać o zwołaniu soboru powszechnego, który miały się zastanowić, co czynić w obliczu dni ostatnich i jak przygotować na nie ludzkość. A także jak się zachować, gdyby okazało się, że świat otrzymał od Stwórcy jakąś prolongatę. Na razie jednak nie pojawiły się na ten temat żadne przecieki do mediów.

- A to dziecko? - pytał prezydent Crowley. - Urodzi się czy zostało zamordowane przez bandziorów Butlera?

- Nie mam na ten temat żadnej wiedzy - skłamał Carpenter.

Coś się działo. Z początkiem nowego roku na niebie pojawiła się ogromna kometa nienotowana dotąd w kronikach astronomicznych, obserwowano też niezwykle ożywienie w całym świecie zwierzęcym. Organizacja Narodów Zjednoczonych ogłosiła pierwszy ogólnoświatowy spis powszechny.

Tymczasem w połowie grudnia Joseph Carpenter przyleciał wreszcie do Abisynii i ponownie wyprawił się na jezioro. Nie widział już powodu, aby Salam nadał pozostawała w pustelni. Zamieszkali więc razem w willi pod Addis Abebą. Tej samej, w której przed zaledwie paru miesiącami wspólnie rozszyfrowali prorocत्वo.

Tak wiele się zmieniło. Zmienił się i Joe. Mimo spokoju, wypoczynku z dnia na dzień wyglądał gorzej. Stracił apetyt, chudł w oczach.

- Co się z tobą dzieje? - pytała coraz bardziej zmartwiona Salam.

Carpenter wyznał jej prawdę. Werdykt doktora Lewisa nie pozostawiał wątpliwości.

- Nie wiem, czy dożyję urodzin dziecka. A tak bardzo chciałbym.

- To niemożliwe, żebyś umarł. Zwłaszcza teraz! Ono do tego nie dopuści! - zawołała Salam, obejmując go bardzo mocno.

Przytulił się do niej całym ciałem. Ciekawe, że nie czuł pożądania, a jedynie ogromną, bezbrzeżną, przepajającą miłość. Emanującą z jej ramion, piersi, brzucha...

- Uwierz, że wszystko będzie dobrze - powtórzyła Salam, a w jej głosie brzmiała ufność, pewność i zawierzenie.

I wtedy poczuł, że dziecko kopnęło.

Następnego dnia odzyskał apetyt. Po tygodniu ze zdziwieniem stwierdził, że poprawiła mu się cera i zaczął nabierać ciała. Był tak zdumiony tym polepszeniem, że udał się na badania do kliniki w Addis Abebie. Zrobili mu tam prześwietlenie, badanie krwi...

- O czym pan mówi? Jaki rak? - dziwił się najlepszy abisyński onkolog. - Ci amerykańscy lekarze to , jacyś kompletni idioci. Jest pan absolutnie zdrowy. Powiem więcej: nie wiem, jakich konserwantów pan używa, ale ma pan organizm trzydziestolatka. Gratuluję.

Wrócił do domu i opowiedział wszystko Salam. Ta wybuchła płaczem, ale tym razem były to łzy szczęścia.

Na całym świecie szło jakby ku lepszemu. Seria zbrodni w Stanach Zjednoczonych ustalała jak ucięta nożem, w Rosji nowy demokratyczny prezydent obiecywał wielkie reformy, które wyprowadzą jego kraj na prawdziwie europejskie tory. W Unii podjęto prace nad nową konstytucją, przekształcającą ją w sojusz państw narodowych z zachowaniem ich odrębności i tradycji, przede wszystkim oparty na zdecydowanym odwołaniu do dziedzictwa chrześcijaństwa i antyku. Rozwiązano większość rozdętych agend w Brukseli. Zamiast nich koordynacją działań miała się zajmować stała rada delegatów i raz do roku konferencja szefów rządów. Europa bez barier miała służyć wygodzie jej obywateli, a nie ich uniformizacji.

Odbudowie Watykanu towarzyszyła wielka odnowa Kościoła. Jan Paweł III z ogromnym dynamizmem przystąpił do odbudowy tego, co wydawało się stracone. Rosła liczba powołań zakonnych i kapłańskich. Ekumenizm po unii z prawosławiem i Kościołem anglikańskim, które zachowując odrębność liturgii, uznały prymat papieża, rozwijał się

bardzo żywo. Coraz lepiej układała się współpraca z umiarkowanymi przywódcami islamu. Równocześnie, jak świat długi i szeroki, mnożyły się informacje o cudach, objawieniach i masowych nawróceniach. Co to miało oznaczać? Liberalne media mówiły o niebezpieczeństwie nowego średniowiecza, ale jakoś bez przekonania.

A gdy nastał czas rozwiązania, zawiózł Józef Cieśla Służebnicę Pokoju do szpitala w Addis Abebie.

Początkowo siostra Joanna, która opuściła swoją wyspę i nie odstępowała Salam ani na krok, zamierzała odebrać poród w domu, jednak po stwierdzeniu nieprawidłowego położenia dziecka postanowiono oddać ciężarną pod opiekę lekarzy, którzy podjęli się przeprowadzenia cesarskiego cięcia.

Nie chcąc narażać przyszłej matki na uciążliwości podróży po wyboistych ulicach, Joe załatwił helikopter, który szerokim lukiem wokół stolicy Abisynii dostarczył Salam do szpitala. I powiadają, bo namnożyło się potem przeróżnych legend wiele, że na ziemi, ponad którą lecieli, mimo suchej pory rozkwitały kwiaty, zieleniły się wyschnięte łąki i były dawno zapomniane źródła.

Carpenter nie usiłował wyobrazić sobie, jak to będzie dalej. Wiedział nazbyt dobrze, że nic dwa razy się nie zdarza, przeto Najnowszy Testament z pewnością nie będzie powtórzeniem Nowego. Salam, z którą wziął ślub 25 grudnia w katedrze w Addis Abebie, twierdziła, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby po okresie połogu byli z sobą jak mąż z żoną...

Ostatnie pół godziny spędził na korytarzu, modląc się żarliwie.

Powiadają, że o trzeciej trzydzieści trzy na całej Ziemi rozdzwoniły się całkowicie bez powodu wszystkie telefony, a każdy z abonentów sieci komórkowych otrzymał SMS-a ze słowem: „Hosanna”. Równocześnie wirus niewiadomego pochodzenia w ciągu sekundy pochłonął w Internecie miliony stron pornograficznych, a zwierzęta domowe w swoich zagrodach przez kilka minut mówiły w ludzkich językach.

W tym samym momencie zza zamkniętych drzwi sali porodowej dobiegł silny płacz noworodka. Joseph zerwał się na

równe nogi. Zmęczony lekarz wyszedł do niego z uśmiechem.

- Gratuluję – powiedział.

- Ma pan piękną, zdrową córkę.

Koniec

Wawer, październik-grudzień 2010

*Dzień Przyjścia nadchodzi.  
A poprzedzać go będzie siedem znaków.  
[...]*

*Pierwszy już się wydarzył.*

*– Oto padnie samo z własnego rozkładu  
sprośne królestwo Szatana Północy.*

*(Rozkład Związku Sowieckiego). [...]*

*– I będzie znak drugi – mówił Połaniec. –*

*Cztery Rumaki Apokalipsy przybędą  
niebem i spadną na miasta Babilonu.*

*I runą dwie wielkie wieże ku niebu  
wzniesione, a wyzwolona nienawiść rzuci  
żagiew wojny w góry i piaski. (Atak na  
Stany Zjednoczone, 11 września 2001  
roku).*

*– Znak trzeci nadejdzie w dzień po święcie  
Narodzenia Pańskiego. Oto morze wystąpi  
z brzegów, zatapiając lądy i miasta.*

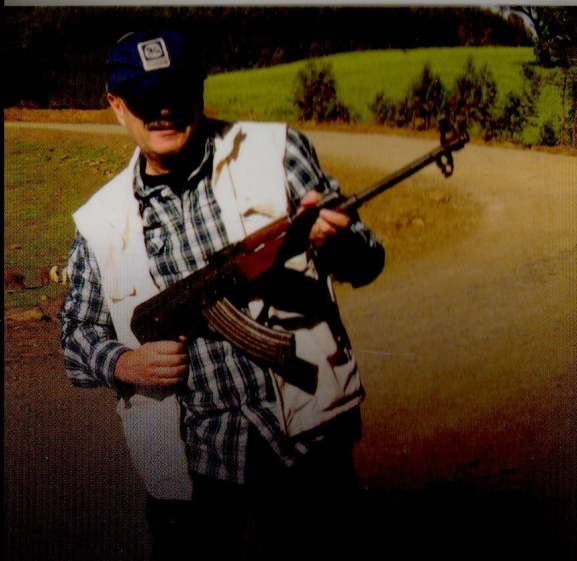
*I potoną setki tysięcy ludzi różnej wiary,  
majątku i pochodzenia. (Tsunami w Azji  
Południowo-Wschodniej, 26 grudnia  
2004 roku).*

*– Znak czwarty. Odejdzie mąż Boży przez  
Tróję Świętą dany, iżby odnowił oblicze  
ziemi. A przed swem odejściem mowę  
utraci i wielki smutek w całym świecie  
uczyni. (Śmierć Jana Pawła II 2 kwietnia  
2005 roku).*

*– Znak piąty. Biali okrzykną królem królów  
czarnego, biorąc go kim innym, niż jest  
w istocie. I będzie to początek upadku  
królestwa. (Wybory w Stanach  
Zjednoczonych, 4 listopada 2008 roku).*

*– Znak szósty. I zdarzy się, iż mały kraj  
doświadczy wielkiej straty i wielkiej  
zbrodni. Spadną z nieba ludzie wielcy,  
dobrzy i szlachetni, a śmierć ich nie  
przyniesie opamiętania ni własnego kraju,  
ni świata, ni sprawców. (Katastrofa  
smoleńska, 10 kwietnia 2010 roku).*

*– Znak siódmy...*



## MARCIN WOLSKI

– pisarz, dziennikarz i satyryk. Ukończył historię na Uniwersytecie Warszawskim. Otrzymał wiele nagród za teksty satyryczne. Jest stałym felietonistą „Gazety Polskiej”, „Wprost” i „Tygodnika Solidarność”, członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Stowarzyszenia Wolnego Słowa. Przez wiele lat współpracował z Programem III Polskiego Radia, obecnie tworzy cotygodniową audycję „ZSYP” w Programie I. Podczas stanu wojennego zwolniony z pracy z zakazem zatrudnienia w mediach. Twórca opozycyjnego kabaretu objazdowego. W 2006 roku prezydent Lech Kaczyński odznaczył Marcina Wolskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, 20 maja 2009 roku otrzymał z rąk ministra kultury i dziedzictwa narodowego Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.



# EWANGELIA *według* HERODA

Główny bohater – Joe Carpenter, amerykański agent służb specjalnych, pasjonat i hobbista poszukujący starożytnych manuskryptów – w niezwykłych okolicznościach trafia na zaszyfrowany tekst. Proroctwo spisane 30 lat wcześniej przez tajemniczego etiopskiego mnicha, strażnika Arki Przymierza, w precyzyjny sposób przepowiada m.in. wybór Baraka Obamy na prezydenta. Światowe mocarstwa bardzo poważnie traktują spełniające się proroctwo. Wspólnymi siłami organizują wielką akcję aborcyjną, która ma doprowadzić do przeciwstawienia się przepowiedni.

*Kolejna książka Marcina Wolskiego napisana z fantazją. Erudycję, znajomość świata i kultur autor łączy z lekką, skrzącą się humorem narracją oraz z toczoną z uśmiechem grą z czytelnikiem. Mamy tu wszystkie elementy bestselleru – tajemnicze, zaszyfrowane pergaminy, klasztory w Abisynii, piękne kobiety i służby specjalne połowy świata. I jeszcze proroctwo, w którym zniszczenie wież World Trade Center czy katastrofa smoleńska wpisują się w szereg znaków zwiastujących nadejście nowej chrześcijańskiej ery.*

Joanna Lichočka, dziennikarka i publicystka

*Bawiąc się tematami współczesnymi i mitologią, Wolski pokazuje, jaki związek może istnieć między wielkimi proroctwami a dniem dzisiejszym. Agenci, tajemniczy mnisi, członkowie elit, spiski, a wreszcie walka dobra ze złem – jest tu wszystko, co przykuwa uwagę. Czy nadejdzie Apokalipsa? Jak będzie wyglądać Armagedon? Pytania te, sugeruje pisarz, nie mają sensu. Apokalipsa nadeszła. Armagedon jest wydarzeniem medialnym. Role rozdano dawno. Lecz czy na pewno wszyscy zagrają je zgodnie z planem?*

Jakub Winiarski, pisarz, krytyk,

Patronat medialny:

**GAZETA POLSKA** niezależna

**fronda.pl**  
PORTAL POWIĘCZONY

**nowa Fantastyko**

ISBN: 9788375953565



9 788377 851173

Cena:  
**29 zł 90**  
(w tym 5% VAT)

*Mi-Baba*